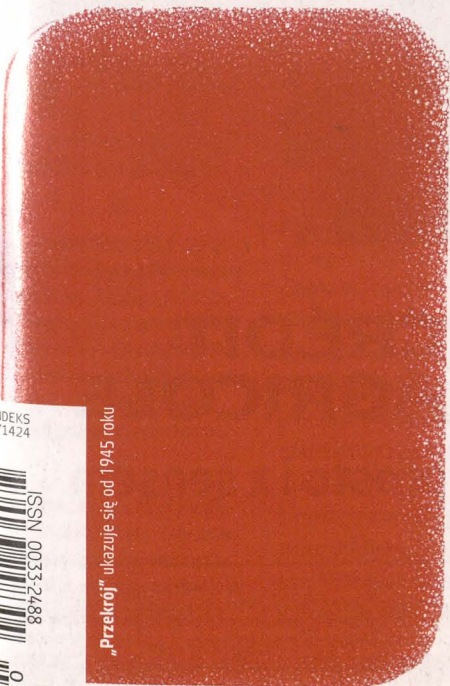
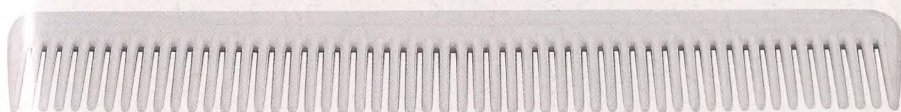
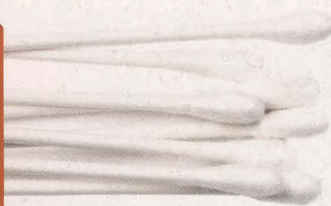


PRZE KROJ

nr 7 (3526), 18 lutego 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl



Polak czysty inaczej

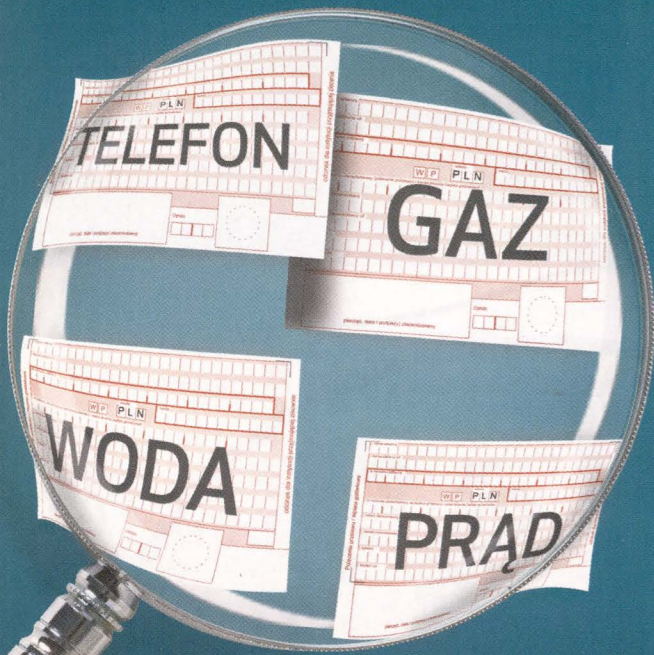
Higieniczna rewolucja → 6
Myj się, Polaku → 12

INDEKS
371424



„Przekroj” ukazuje się od 1945 roku

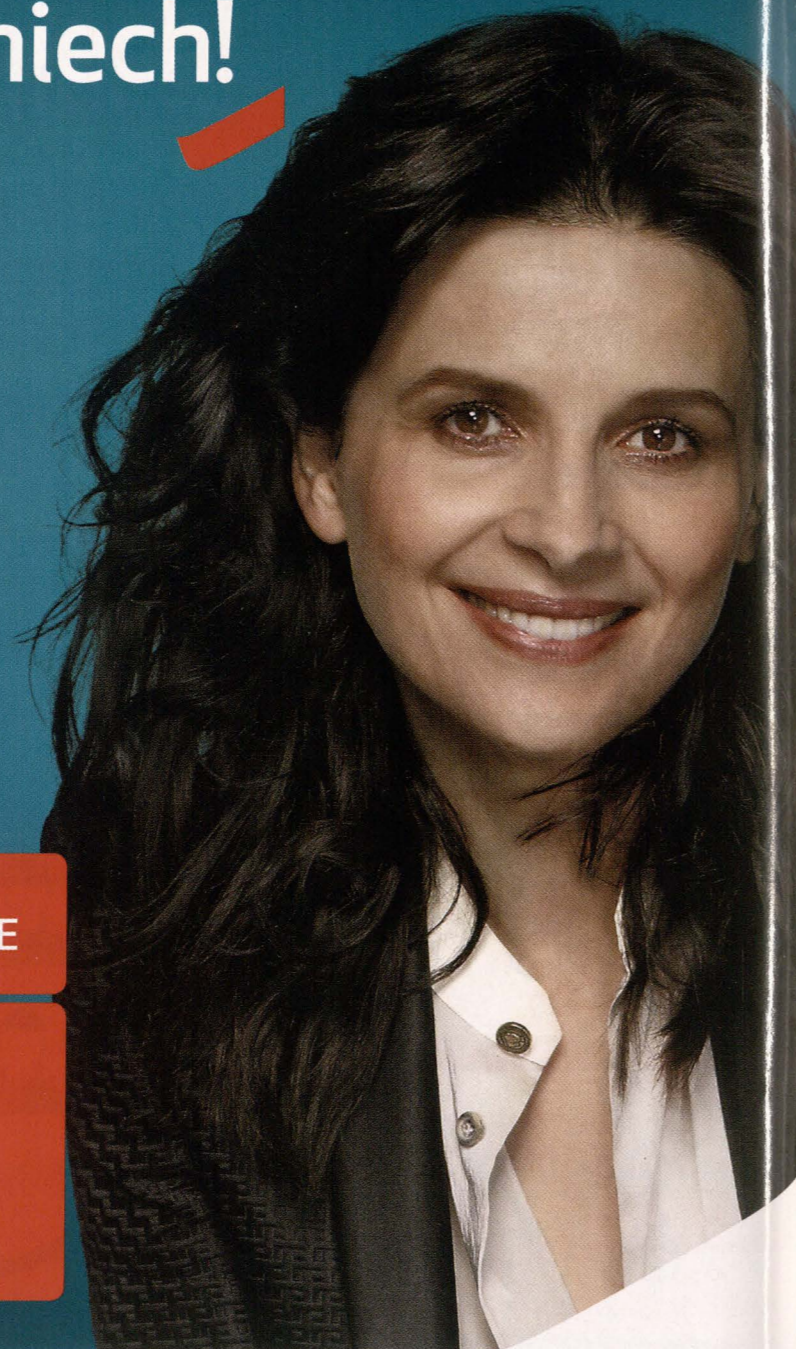
Mniejsze rachunki, większy uśmiech!



NOWE KONTO ODDAJE

-10%

za GAZ, PRĄD, WODĘ i TELEFON!



www.credit-agricole.pl
801 33 11 11
koszt wg stawki operatora

Credit Agricole Bank Polska S.A.

CA CRÉDIT AGRICOLE
prosto i z sensem

PRZE KRÓJ

W tym tygodniu
nie piszemy...

...o tym, że wiceszef polskiej policji generał Krzysztof Gajewski, któremu podlega również pion drogówki, zakazał naszym funkcjonariuszom wycieczek do kin na nowy film Wojtki Smarzowskiego. To chyba najlepsza reklama „Drogówki”.

...o tym, że zespół Enej nie zagra dla Polonii amerykańskiej, bo jego członkowie nie otrzymali wiz do USA. Czyżby ktoś w ambasadzie posłuchał piosenek Eneja i uznał, że artyści mogą wyładować na zmywaku?

...o profesorze Glińskim, potencjalnym premierze rządu bez potencji, któremu Benedykt XVI skradł cały show. Internauci proponują: Gliński na „technicznego papieża”. O tym nie śniło się nawet filozofom.

...o wielkim sukcesie polskich piłkarzy, którym żyją nasi kibice. Nie, nikt nie strzelił pamiętnego gola. Lewandowski, Błaszczykowski i Piszczek reklamują za to z wielkim wdziękiem samochód pewnej marki. Szczerze gratulujemy.

...o naszej ulubienicy, Małguziacie Rozenek a.k.a. Perfekcyjnej Pani Domu. Tabloidy donoszą, że przechodzi ona właśnie przez piekło sławy i dobrobytu. TVN na osłodę uczynił ją jurorką nowego show – „Bitwa o dom”. Już się grzejemy jak odkurzacz.

...o tym, że naukowcy wyłączyli Wielki Zderzacz Hadronów. Przejdzie przegląd techniczny i ma zostać włączony za dwa lata. Zupełnie jak nasz Dreamliner.



ZUZANNA ZIOMECKA

Cywilizacja, jak rozentuzjarmowany małolat, dość często wyjeżdża poza barierki ostrzegawcze i zapuszcza się w chaszczce ekstremizmu. Choć miewa to podłoże ideologiczne, bywa, że pobudki są kulturalne. W kwestii wysokiej kultury osobistej obecnie eksplorujemy chaszczkę po obydwu stronach zdrowego rozsądku. Z jednej stoją niedomocy, cuchnący pasażerowie komunikacji miejskiej wietrzący nam przed nosem spocone pachy (str. 12), a z drugiej – przeszorowani higieniści zasmarowujący skutki działania jednego preparatu kosmetycznego kolejnym. Tymczasem pojawiła się grupa ludzi szukających autorskiej recepty na zachowanie równowagi między tymi skrajnościami (str. 6). Stawiają odpór ogromnemu przemysłowi, który przekonuje, że każdy kawałek ciała o każdej porze dnia potrzebuje innej chemii do szczęścia. Jak reaguje rynek? Wysypem kosmetyków ekologicznych, naturalnie! Kolejnym rozdzieleniem jaźni w tym wydaniu jest spór o wilki (str. 16). Słowacja, Białoruś i Rosja zdecydowały się zezwolić na niemal nieograniczone polowanie na wilki, które zagrażają kurom i bydłu. Tymczasem w wielu krajach Europy, w tym u nas, te same wilki otaczane są ochroną. Pośrodku stoją rządy – czasem zasłuchane w protesty walczących ekologów, a czasem ulegające lobbingsowi myśliwych. Dlatego skrajności są pomocne. Wyznaczają granice tolerancji społeczeństwa. Pod tym kontem Facebook i relacje między fanami a firmami, które swoim „przyjaciołom” coś sprzedają, są interesującym przypadkiem (str. 36). Granice ekstremalnie komercyjnej przyjaźni online dopiero się powoli określają.



MARCIN PROKOP

Papa Benedykt zrobił wszystkim niezłego psikusa. Wszyscy z jednej strony zastanawiają się, co nim kierowało, a z drugiej – kto i dokąd teraz pokieruje Kościołem. My również przyłączamy się do tych spekulacji, jednocześnie argumentując, dlaczego kolejny über-duszpasterz nie powinien pochodzić z Europy (str. 24). Nie chciałbym jednak, aby sprawy watykańskie całkowicie przyćmiły inne ważne, choć może na pozór nie tak ekscytujące tematy. Na przykład fakt, że ponad połowa Polaków w ubiegłym roku nie przeczytała ani jednej książki. O przyczynach takiego stanu rzeczy oraz pomysłach, jak to zmienić, rozmawiamy z ministrem kultury Bogdanem Zdrojewskim (str. 28). Zastanawiam się tylko, czy nie jest to batalia z góry przegrana. I nie jest to wina urzędników, lecz przedstawiającej się właśnie historycznej wajchy, bezpowrotnie zmieniającej nasze zwyczaje konsumowania danych. Wajchy, która nazywa się Internet. „Skoncentrowany umysł linearny zostaje zastąpiony przez nowy typ, który musi przyjmować oraz oddawać informacje w porcjach krótkich i chaotycznych” – pisze Nicholas Carr w wydanej niedawno w Polsce fascynującej książce „Płytki umysł”. Warto przeczytać, dlaczego nie chcemy czytać.

NA POCZĄTEK

RACZKOWSKI



AKTUALNOŚCI

- 6 → **TEMAT TYGODNIA** Higieniczna rewolucja Olga Świącicka
- 12 → **OBYCZAJE** Myj się, Polaku Joanna Cwiek i Kamilla Gębska
- 14 → **TELEWIZJA** Powiedz, kim jesteś Anna Gwozdowska
- 16 → **FAUNA** Dożynanie watah Jerzy Ziemacki

GRUBE SPRAWY

- 24 → **KOŚCIÓŁ** Bóg zmienił adres Marek Zajęc
- 28 → **WYWIAD** Czyta, rozmawia, buduje Z ministrem kultury Bogdanem Zdrojewskim rozmawia Mike Urbaniak
- 32 → **EMIGRANCI** Zapuszczanie korzeni Marianna Saska
- 36 → **BIZNES** Klient nasz fan Jerzy Ziemacki
- 40 → **ODLOTY** Tam i z powrotem Danuta Walewska



- 44 → **PODRÓŻE** Jak Polacy nakręcili koniec świata Marta Mach i Agata Napiórska
- 48 → **SPORT** Życie na kreczę Z Jędrzejem Dobrowolskim rozmawia Paweł Wilkowitz

KULTURA

- 52 → **WYSTAWA** Inni z plastiku Stach Szabłowski
- 56 → **KINO** Sprawca moc kina Adriana Prodeus



- 58 → **MUZYKA** Jestem wszystkoikiem Dominika Węctawek
- 60 → **SZTUKA** Biuro budowy środowiska Wanda Modzelewska
- 64 → **MUZYKA** Głusi na trendy Angelika Kucińska
- 67 → **FILMY** Lot Dorota Chrobak
- 69 → **LITERATURA** Wielki mały realizm Hanna Rydlewska
- 71 → **PO-PATRZ** Pismo, którego nie widać Kuba Dąbrowski

ROZMAITOŚCI

- 72 → **PSYCHE** Oszczędzanie jak odchudzanie Ewa Nieckuła
- 76 → **PIERWSZA PRACA** Prosięta, węgorze i... polskie morze Z Rafałem Bryndalem rozmawiają Bartosiak & Klinke
- 78 → **KUCHNIA** Zimowe przetwory Aga Kozak
- 80 → **WINA** Przyczajony tygrys, ukryty smok Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 19 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Fajny gość Dan
- 21 → **MICHAŁ LIPSZYC GOŚCINNIE** Za grosik
- 23 → **MACIEJ MUSKAT** Bumerang pochwał dla GMO
- 62 → **MACIEJ NOWAK** Fiu-bzdziu

RACZKOWSKI



ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
22 463 03 00, www.przekroj.pl,
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop
Zastępcy redaktorów naczynych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)

Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek
Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnačka

Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Max Cegielski,
Kuba Dąbrowski, Angelika Kucińska,
Marta Mach, Wojciech Mikolusko,
Katarzyna Nowakowska, Agata
Napiórska, Cezary Polak, Marek
Raczkowski, Marianna Saska,
Karolina Sulej, Stach Szabłowski,
Mike Urbaniak, Jerzy Ziemacki

Projekt graficzny:
Magdalena Piwowar
Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski

Fotorecja:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnačka
Korekta: Ling Brett

Strona internetowa: KRCMedia.pl
Wydawca: Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing: Cezary
Pienikowski - p.o. Dyrektora
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska
(p.berska@rp.pl)

Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl

**Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej Witold Trzcinański**
tel. 22 463 05 53

**Dyrektor Działu Agencyjnego
i Magazynów Filip Weichert**
tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,30 zł
Zamówienie na prenumeratę należy
składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803
lub 22 717 59 59 - telefoniczne Biuro
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18.
www.prenumerata.ruch.com.pl
urzędy pocztowe

Prenumerata na e-Wydania:
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl,
www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl

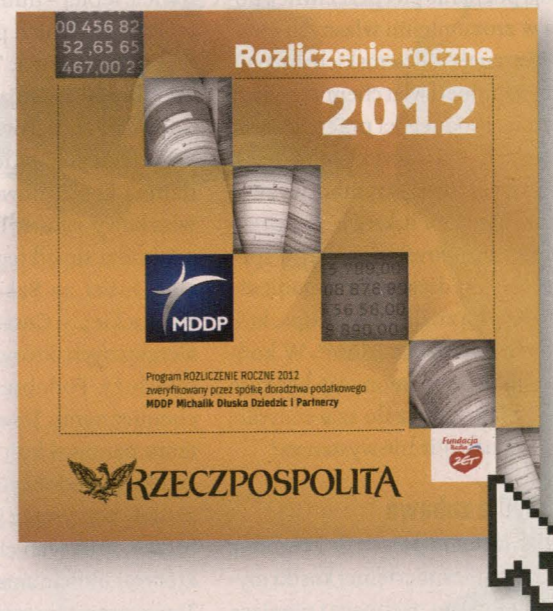
Dostęp na stronie www i wersji na iPada
Prenumerata na iPad przez App Store:
tydzień - 0,79 €, miesiąc - 1,59 €,
rok - 19,99 €

Prenumerata na Android
przez Google Play: tydzień - 3,49 zł,
miesiąc - 6,89 zł, rok - 78,99 zł
Dostęp do serwisu oraz e-wydania
przez przekroj.pl: tydzień - 2,89 zł,
miesiąc - 8,89 zł, rok - 89,00 zł
Informacje: serwisy@przekroj.pl,
tel. 22 46 30 066

Okładka:
Magdalena Piwowar
(AFP - 3, 123f - 7)

Rozlicz PIT z „Rzeczpospolitą”

Skorzystaj z pomocy ekspertów.
Sprawdzone program „Rozliczenie roczne 2012” pomoże Ci bezbłędnie
wypełnić właściwy PIT oraz rozliczyć ulgi.



Pobierz program
www.rp.pl/pit
infolinia 801 15 15 15



Program ROZLICZENIE ROCZNE 2012 zweryfikowany
przez spółkę doradztwa podatkowego
MDDP Michalik Dłuska Dziedzic i Partnerzy

Partner projektu:



OLGA ŚWIĘCICKA, ILUSTRACJE MARTYNA WÓJCIK

Higieniczna rewolucja

Zamiast mydła – gąbka i ciepła woda, zamiast pralki – wietrzenie, a do włosów tylko ekologiczne preparaty. W Polsce trwa higieniczna rewolucja, która na sztandarach ma znane hasło: „Częste mycie skraca życie”.

Współczesny Amerykanin z klasy średniej przez »dbałość o czystość« rozumie prysznic i używanie dezodorantu każdego dnia bez wyjątku» – pisze Katherine Ashenburg w „Historii brudu”. Kanadyjska dziennikarka, która w swojej książce śledzi podejście do higieny w kolejnych stuleciach, przypomina: „Francuski arystokrata z XVII wieku pojmował ją jako codzienną zmianę płócienną koszuli i mycie dłoni, resztę ciała starannie chroniąc przed kontaktem z mydłem czy wodą. Dla Rzymianina w I wieku n.e. troska o higienę wiązała się z co najmniej dwiema godzinami pluskania się, moczenia i parówek w wodzie o różnej temperaturze, usuwania potu i oliwy metalową skrobaczką oraz namaszczenia się oliwą na koniec. To, czy coś uznajemy za czyste, mniej zależy od naszego wzroku czy powonienia, a daleko bardziej od sposobu myślenia”.

Rzeczywiście, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Jeszcze sto lat temu nikomu nawet nie śniły się antyperspiranty w kulce, które działają przez trzy doby, odżywki bez spłukiwania i proszki, które zmyją każdą plamę, także w zimnej wodzie. Dziś stoiszka z chemią pękają w szwach. Wybór może przyprawić o zawrót głowy. Tym bardziej jeśli wierzymy we wszystkie obietnice producentów. Środki czysto-

ści dziś nie tylko służą do mycia, ale też ułatwiają poznanie płci przeciwnej, pomagają w zrozumieniu własnych emocji i są gwarancją niezmiernych doznań. Tak przynajmniej świat chemii wygląda w reklamie. Producenci prześcigają się w pomysłach, które zwykle mydło czy szampon zamieniają w symbol wyzwolenia seksualnego, luksusu czy przynależności do określonej grupy społecznej. Nie jest dziwne, że w gonitwie szczotki z pastą znalazła się grupa, która głośno powiedziała „dość”. W końcu skoro naszym mamom czy babkom do szczęścia wystarczało szare mydło, to dlaczego nam już nie wystarcza?

Nie w mydle zabawa

Ania kilka lat temu porzuciła kolorowe żele na rzecz nieśmiertelnej kostki mydła. – Uwielbiałam pachnące i pieniące się kosmetyki. Do czasu aż zapoznałam się z ich składem. Ilość parabenów i siarczanów, które zawierały płyny, absolutnie mnie przeraziła. Oczywiście po użyciu żelu skóra jest jedwabiście gładka i pachnąca, ale tylko przez chwilę. Po paru godzinach znów jest sucha i nienawilżona – mówi Ania. – Dziś nawet zwykłe mydło stosuję z rozważą. Podstawą mojej kąpieli jest ciepła woda i gąbka. Namydlam tylko te części ciała, które w moim odczuciu są brudne. Od kiedy porzuciłam pachnące pły-

ny, peelingi i żele, moja skóra czuje się o wiele lepiej – tłumaczy.

Ania w swoich przemyśleniach nie jest osamotniona. Trend na niemycie od kilku lat lansują też położne, które odwołują rodziców od intensywnych kąpieli dzieci. – Kiedyś codzienna godzinna kąpiel noworodka to był obowiązkowy rytuał, dziś zdecydowanie odchodzi się od tego pomysłu – mówi Ula Dubel ze Szkoły Rodzenia przy Inflanckiej. – Coraz więcej jest dzieci alergicznych, którym długie moczenie nie służy. Podobnie jest ze środkami chemicznymi. Jeszcze kilkanaście lat temu panował kult kremów i zasypek. Po latach niedoborów matki z rozkoszą zaczęły korzystać z jednorazowych pieluszek, mokrych chusteczek i oliwek, którymi obficie smarowano niemowlę. Teraz przestrzegamy rodziców przed szybkimi rozwiązaniami i namawiamy do powrotu do sprawdzonych metod: tetrowe pieluszki, waciki nasączone wodą i mydło w zupełności wystarczają. Jeśli chcemy stosować specjalne środki, to tylko te, które są przygotowane z myślą o delikatnej skórze niemowlęcia – tłumaczy Dubel.

Częste mycie skraca życie

„Kocie mycie” to hasło, które często pojawia się w domu Joanny – mamy pięcioletniego Stasia. Chłopiec, tak jak





trycholog, niewiele. – Jeżeli stosujemy specjalistyczne preparaty odpowiednio dobrane do skóry naszej głowy, to częstotliwość mycia nie wpływa na strukturę włosów. Jednak należy pamiętać, żeby przy myciu nie drapać paznokciami skóry głowy, ale myć ją delikatnie opuszkami palców. Niestety, niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, jaki ma typ włosów i jak się z nim obchodzić.

Kosmetyki, które są dostępne w drogeriach, zwykle zawierają agresywne dla skóry głowy związki chemiczne naruszające płaszcz hydrolipidowy. Stosowanie ich może być przyczyną licznych problemów z włosami, a nawet doprowadzić do ich wypadania. Niezależnie więc od tego, jak często myjemy głowę, kiedy używamy złych preparatów, szkodzić nam będą.

– Oczywiście dbanie o włosy jest sprawą umowną i zależy od indywidualnych potrzeb. O ile nasza praca nie wymaga od nas idealnie ułożonej fryzury, a skóra głowy jest zdrowa, spokojnie możemy myć włosy rzadziej. Jeżeli sięgniemy po dobry, ekologiczny szampon, nie powinniśmy odczuć dużej różnicy nawet po kilku dniach – tłumaczy trycholog.

Ekoszal

Odpowiedzią na higieniczną rewolucję są kosmetyki ekologiczne, które z roku na rok stają się coraz bardziej popularne w naszym kraju. Bez mydła żyć jest trudno, ale jeśli już trzeba się myć, to warto sięgnąć po dobry produkt. W Internecie roi się od ekodrogerii. Można przebierać nie tylko w szamponach, mydłach i kremach, ale także w detergentach i – co ciekawe – wielorazowych podpaskach. Wybierając produkty ekologiczne, służymy nie tylko naturze, ale przede wszystkim pomagamy sobie. Naturalne kosmetyki nie niszczą skóry i są dużo bardziej wydajne niż tradycyjne rozwiązania.

Anita od pewnego czasu używa tylko mydła z czarnych oliwek, które w konsystencji przypomina plastelinę. – Po-

czątkowo byłam trochę nieufna – opowiada. – Mydło dostałam w prezencie. Mam poważne problemy ze skórą i zwykle preparaty mi nie służyły. Kiedy pierwszy raz wzięłam do ręki przypominający kisiel produkt, nie wierzyłam, że zastąpi mi on prawdziwe mydło. O dziwo, maź pieniała się jak najlepszy żel i świetnie działała na moją skórę. Co prawda po kąpieli nie jest ona śliska i jedwabiście gładka, ale za to dobrze nawilżona. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że ten preparat to świetna alternatywa. Nie dość, że jest ekologiczny, to jeszcze idealnie spełnia swoją funkcję – mówi Anita.

To, co u nas zachwyca nowością, na świecie znane już jest od dawna. Pa-

Niektórzy Polacy świadomie rezygnują z mydła i pewnych zabiegów higienicznych. Detergentów unikają nie z powodu lenistwa, ale dlatego że ekologiczne (nie) mycie wpisuje się w ich styl życia.

trycja spędziła dużo czasu w Stanach Zjednoczonych. Tam od lat furorę robi mydełko Dr. Bronners, które jest wielofunkcyjne, a przy okazji bardzo ekologiczne. – Pamiętam, że byłam zaskoczona, że jeden płyn może mieć tyle zastosowań – opowiada Patrycja. – Mydło w płynie dr. Bronnersa służy zarówno

do mycia głowy, skóry, jak i naczyń oraz podłóg. Podobno można też myć nim zęby, ale tego nigdy nie spróbowałam – żartuje dziewczyna. W jakikolwiek jednak sposób byśmy go używali, jedno jest pewne. Produkt jest w pełni biodegradowalny. Można więc szaleć z nim do woli.

Ten zapach za mną chodzi

Rewolucja higieniczna nie obeszła się też łagodnie z naszym praniem. Jak się okazuje, przykry zapach to sprawa dość umowna, a sposobów na jego zabicie jest wiele i wbrew pozorom nie wszystkie ograniczają się do użycia wody i mydła. W dobie świetnych pralek i detergentów, które piorą nawet na sucho, wciąż

REKLAMA



cafe
night & day
chillout & alternative project vol.1

odkryj relaksujący
dotyk chillout'u - night
imany / layla / jill scott
alicia keys / frank ocean
i wielu innych

poczuj pozytywną
moc alternative - day
awolnation / deacon blue
łaki ian / pati yang / neo retros
i wielu innych

**ekskluzywna kompilacja
cafe night & day
już w sklepach!**

Radio PiN POLSAT Cafe ELLE ELLE.PL Men'sHealth RUNNERS Sime merlin.pl cgm.pl mymusic

kotek, myje tylko wybrane części ciała, czyli zęby, uszy i ręce. Reszta jest tylko spłukiwana ciepłą wodą. – Kąpiel nie jest codzienną praktyką, odbywa się raz na dwa tygodnie. Zgodnie z zasadą „częste mycie skraca życie” pozwalam mojemu dziecku na odrobinę brudu i luzu – mówi mama Stasia. – Sama też robię sobie często wolne od mycia. Szczegół-

nie włosów, które po latach traktowania szamponami typu „2 w 1” potrzebują trochę oddechu – tłumaczy.

Taktyka, którą stosuje Joanna, zyskuje na popularności. Wśród kobiet pokutuje opinia, że częste mycie włosów sprawia, że bardziej się one przetłuszczają. Ile jednak w tej obiegowej opinii prawdy? Jak przyznaje Dominika Trocińska,

W dobie świetnych prelek i detergentów, które piorą nawet na sucho, są ludzie, którzy zamiast moczyć, wietrzą. Zdarza się im też trzymać odzież w zamrażarce, która świetnie zabija roztocza.

jest grupa ludzi, która zamiast moczyć, wietrzy. Łukasz kolekcjonuje markowe jeansy. W swojej szafie ma ponad sto par. Żadnej nigdy nie wyprał. – Kupuję spodnie, które uszyte są z grubego, charakterystycznego denimu. Każdy kontakt z wodą sprawia, że materiał się niszczy i spiera. Dlatego jeansów nie piorę. Jeśli brzydko pachną, wietrzę je na balkonie. Jeżeli zapach jest intensywny i uciążliwy, jak chociażby dym z papierosów, najpierw zostawiam je na dobę na grzejniku, a dopiero potem wystawiam na mróz. Zdarza mi się też trzymać spodnie w zamrażarce, która świetnie zabija roztocza – przekonuje Łukasz.

Sposób Łukasza na jeansy, choć wydaje się mało higieniczny, jest jak najbardziej polecany przez producentów. – Prawdą jest, że każde pranie niszczy strukturę spodni. Jeżeli jeansy zrobione są z domieszką stretchu czy innych sztucznych materiałów, nie trzeba aż tak bardzo się przejmować – mówi Veronika Kirchner ze sklepu z ekskluzywnymi jeansami Hilary Prince. – O prawdziwy denim warto jednak dbać. Jeżeli już zdecydujemy się na pranie, to raczej w zimnej wodzie, bez detergentów i bez wirowania. Koniecznie też trzeba obrócić spodnie na lewą stronę. Osobiście jednak odradzałabym pranie. Ewentualne zabrudzenia można usunąć specjalnymi preparatami do prania na su-

cho, które działają miejscowo – tłumaczy specjalistka.

Sztuczki w praniu to też domena matek, które jak mało kto znają się na plamach. Od kilku lat furorę robią indyjskie orzechy zastępujące proszki. Ekologiczne i wielorazowe, zyskały spore grono zwolenników.

Dobłą metodą na pranie jest też słońce. Agata przyznaje się, że zabrudzone marchewką ubranka pierze na dworze, wystawiając je na działanie promieni słonecznych. – Próbowałam wszystkich możliwych odplamiaczy, ale żaden nie działał – opowiada. – Postanowiłam więc pójść za radą babci, namaczać ubrania w zimnej wodzie i wystawiać na słońce. Plamy od razu zniknęły – ekscytuje się Agata. Szkoda tylko, że w naszej szerokości geograficznej takie pranie możliwe jest tylko przez kilka miesięcy w roku.

Nasze brud powszedni

Coraz więcej Polaków świadomie rezygnuje ze stosowania mydła czy konwencjonalnych zabiegów higienicznych. Detergentów unikają oni nie z powodu lenistwa, ale dlatego że ekologiczne (nie) mycie wpisuje się w ich styl życia. Taka filozofia, coraz bardziej modna, nie zawsze jest jednak zdrowa. Dermatolodzy przestrzegają, że mimo ogólnej niechęci do chemicznych preparatów myjących bez mydła żyć się nie da. – Nasze ciało przez cały dzień narażone jest na kontakt z bakteriami, wirusami, które mogą być przyczyną poważnych chorób – mówi dr n. med Justyna Sicińska, dermatolog. – Samo spłukanie czy pobieżne mycie nie wystarcza, żeby się ich pozbyć. Oczywiście nie oznacza to, że preparatami trzeba się od razu zlewać, ale należy aplikować je z rozsądkiem. Części ciała, które nie są narażone na kontakt z otoczeniem, można potraktować jedynie odrobiną preparatu. Stosowanie odpowiednich kosmetyków zmniejsza ryzyko chorób i odpowiednio nawilża nasze ciało – tłumaczy lekarka. Wierzycie czy wietrzycie?

Ekologiczna alternatywa

KOSMETYKI NATURALNE



→ **Organique** – W ofercie tej polskiej firmy jest wszystko – od mydeł i peelingów przez olejki do masażu po szampony. Szczególnie ciekawe są kosmetyki z różnych stron świata, takie jak marokańskie mydło z oliwek, które jest sprzedawane w formie pasty, czy suszone na słońcu mydło z Syrii.



→ **AVA** – to pierwsza polska firma, która dostała certyfikat Eco Cert. Kosmetyki AVA wytwarzane są z ekologicznych bio składników.



→ **Lavera** – Te w pełni wegańskie kosmetyki zawierają tylko naturalne składniki. Firma jako pierwsza na świecie ma w ofercie produkty, które w 100 proc. zawierają mineralną ochronę przeciwsloneczną.



→ **Femi** – Ekologiczne kosmetyki z Gdańska. Ich produkty są tak naturalne, że można je nawet jeść. W skład olejków, kremów i musów wchodzi między innymi owoce goji, kurkuma i lukrecja.



→ **Bentley Organic** – W ofercie Bentley Organic znajdziemy całą kolekcję ekologicznych detergentów i środków czyszczących. Od płynu do mycia lusterek po płyn do przemywania salatek.



→ **Shanghai Naturals** – To firma, która poszła o krok dalej. Na ich stronie dostaniemy nie tylko gotowe produkty, ale także zestawy, które pozwolą nam samodzielnie wykonać ekologiczny kosmetyk. W zależności od potrzeb i inwencji możemy stworzyć własny krem do ust albo sól do kąpieli.



→ **Fridge** – To linia kosmetyków z lodówki. Świeże, pachnące, nie zawierają ani alkoholu, ani konserwantów.

MATERIAŁY PROMOCYJNE (7)

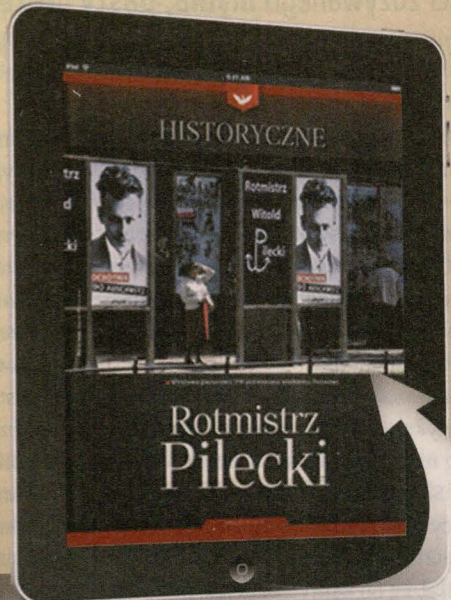
ebooki historyczne „Rzeczpospolitej”

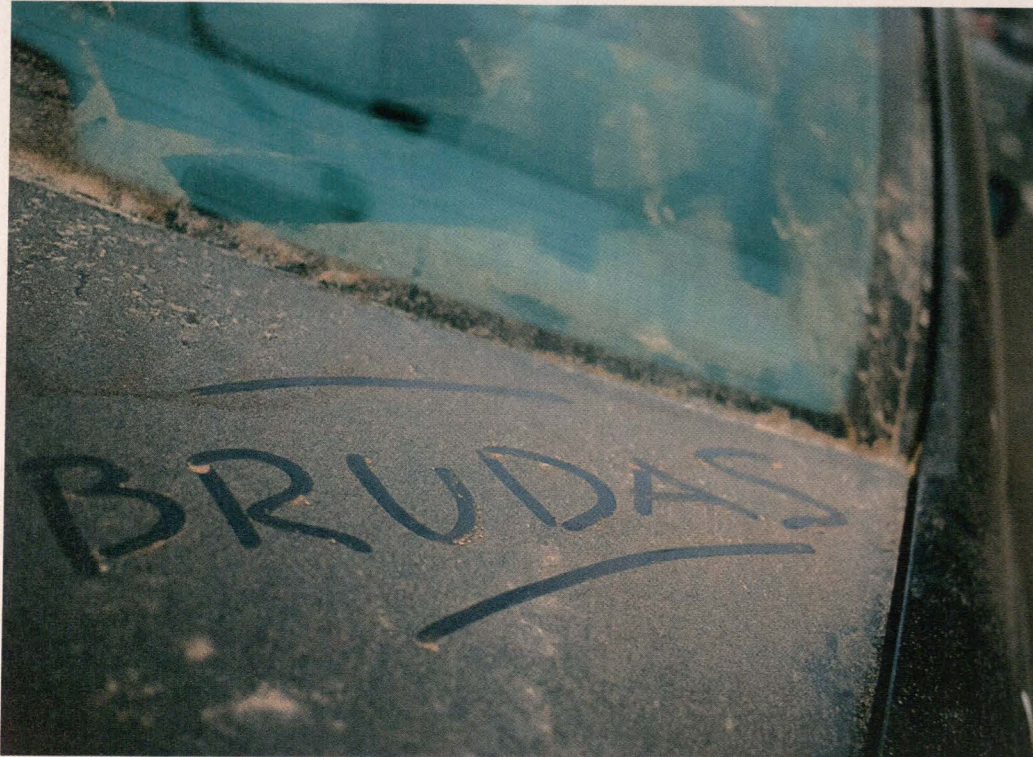


RZECZPOSPOLITA

Rotmistrz Pilecki – Tryptyk odwagi

Przez lata komuniści starali się zatrzeć pamięć o rotmistrzu, dokonując kolejnej zbrodni – tym razem w świadomości Polaków. Pamiętajmy prawdziwego bohatera narodowego, nieugiętego człowieka, najmężniejszego z mężnych żołnierzy II wojny światowej.





KRZYSZTOF SKŁODOWSKI

JOANNA ĆWIEK, KAMILA GĘBSKA

Myj się, Polaku

W szkołach, przedszkolach, kinach i pociągach rządzą wszy, pchły i pluskwy. Zdaniem ekspertów to efekt powszechnego braku higieny. Pod względem ilości zużywanego **mydła, pasty do zębów i szamponów** Polska wśród cywilizowanych krajów jest na szarym końcu.

Jak najszybciej wygonić Polaka z wanny? Wrzucić do niej mydło – to dowcip, który od kilku tygodni robi furorę w niemieckim Internecie. Czy to zasłużona opinia? Niestety, w wielu przypadkach tak, bo w naszych bogato wyposażonych łazienkach często brakuje mydła.

Badania pokazują, że przeciętny Amerykanin zużywa rocznie przeszło 11 kg mydła. Tymczasem Polak – około 7 kg. Skąd taka różnica? Po prostu nasi rodacy dość rzadko po nie sięgają. Z sondażu Grupy IQS z października 2012 r. wynika, że co ósmy Polak nie myje rąk przed jedzeniem, a co piąty po powrocie

do domu. – W dodatku przeszło 60 proc. nie myje rąk po skorzystaniu z toalety. Robiliśmy takie badania na stacjach benzynowych – mówi Andrzej Wojtyła, były główny inspektor sanitarny.

Wstrząsający jest także raport Państwowego Zakładu Higieny. I choć został opracowany w 2006 r., to według ekspertów jest wciąż aktualny. Wynika z niego, że co czwarty mężczyzna myje zęby raz dziennie, kąpie się raz w tygodniu, a bieleźnię zmienia raz na kilka dni. Najgorzej jest z myciem rąk – 60 proc. panów nie przywiązuje do tego żadnej wagi.

Nie oznacza to jednak, że tylko mężczyźni są brudasami. Kobiety pod tym

względem nie ustępują im pola. Z sondażu TNS OBOP dla Rexony wynika, że aż 17 proc. polskich kobiet nie kąpie się codziennie, 3 proc. myje ciało raz w tygodniu lub rzadziej. 12 proc. stosuje dezodorant najwyżej raz w tygodniu. Dlaczego tak rzadko? Co trzecia kobieta nie używa ich w celach higienicznych, ale dlatego że... ładnie pachną.

Słabo wypadamy też, jeśli chodzi o zużycie papierowych artykułów higienicznych – chusteczek higienicznych, papieru toaletowego i ręczników oraz artykułów higieny kobiecej. Z raportu „Rynek chemii gospodarczej i artykułów higienicznych” autorstwa Jacka Ratajczaka i Katarzyny Teleżyńskiej dla branżowego miesięcznika ogólnopolskiego „Poradnik handlowca online” wynika, że statystyczny Polak zużywa rocznie około 5 kg artykułów higienicznych, czyli 2,5 razy mniej niż przeciętny Europejczyk.

– Chociaż od kilku lat poziom dbałości o higienę stale rośnie, to nadal nie udało nam się dogonić bogatych państw zachodnich. Chociaż postęp w tej dziedzinie jest naprawdę bardzo szybki – pociesza Wojtyła.

Pasożyty atakują

Na skutki zaniedbań higienicznych nie trzeba długo czekać.

– Konsekwencją braku higieny bardzo często jest świerzb i wszy – mówi wprost Andrzej Wojtyła.

Problemem jest zwłaszcza wszawica. – Widać wzrost zapadalności na wszawicę o blisko 20 proc. w ciągu ostatnich pięciu lat – mówi warszawski dermatolog Tomasz Pniewski. Jakie są rzeczywiste rozmiary tej plagi, nie wiadomo, bo w 2008 r. zrezygnowano z monitorowania wszawicy.

Teraz jednak powoli się do tego wraca. Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego – PZH opracował kwestionariusz badań, celem którego będzie diagnoza aktualnej sytuacji wszawicy występującej w polskich szkołach. Inspiracją była dla Instytutu rozbieżność pomiędzy

liczbą przypadków zarejestrowanych w badaniach pilotażowych NIZP–PZH a liczbą przypadków wszawicy zgłaszanych drogą oficjalną, a także liczne telefony personelu szkół i przedszkoli z prośbą o porady.

Przedstawiciele firm farmaceutycznych przyznają, że środki przeciwko wszom sprzedają się najszybciej ze wszystkich, a obecnie sytuacja jest na tyle poważna, że nie nadążają z produkcją. – Mamy bardzo wiele telefonów z pytaniami o zakup takich produktów – usłyszeliśmy w dziale marketingu Herbapolu Kraków. – Dla wielu to szokujące, że w XXI w. istnieje wszawica. Jednym z powodów jest brak higieny, ale pamiętajmy, że nie wszystkich ludzi, także w dużych, teoretycznie bogatszych metropoliach, stać na jej zachowanie – mówi Sonia Górnowicz, producent środka przeciw wszom z Sopotu. Na to zjawisko zwraca także uwagę farmaceutka ze stołecznej apteki Wileńska, która zauważa, że sprzedaje coraz więcej takich preparatów.

Gdzie hodzi się wszy

Zdaniem lekarzy wszawica mogła się tak szybko rozprzestrzenić, bo w naszych szkołach zaczęło brakować higienistek, nie sprawdza się już stanu czystości skóry dzieci.

– Kiedyś higienistka lub nauczycielka kontrolowała dzieci kilka razy w roku. Jeśli okazało się, że dziecko ma wszy, leczeniem obejmowano nie tylko całą klasę, ale także jego rodzinę. Dziś, kiedy do sprawdzenia czystości dzieci w szkole potrzebna jest zgoda rodziców, z wszami jest coraz większy problem – mówi Wojtyła, który przed laty pracował jako lekarz w jednej ze szkół.

Ale czystości skóry głowy dzieci nie kontrolują także rodzice. Zdaniem Krzysztofa Puchalskiego, socjologa ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, największy problem jest w tym, że ludzie przestali zauważać, iż problem wszawicy nadal istnieje. – Kiedyś, kie-

Widać wzrost zapadalności na wszawicę o blisko 20 proc. w ciągu ostatnich pięciu lat. Jakie są rzeczywiste rozmiary tej plagi, nie wiadomo, bo w 2008 r. zrezygnowano z jej monitorowania.

dy o tym dużo się mówiło, rodzice wiedzieli, że od czasu do czasu trzeba sprawdzić dzieciom głowy. Dziś rodzice uważają, że ta sprawa dotyczy tylko maluchów z rodzin patologicznych – mówi Puchalski.

Zpracowani rodzice mają dziś coraz mniej czasu dla dzieci, więc często trudno im szybko zareagować. – A kiedy odkrywają, że problem dotyczy także ich dzieci, zdąży już ono pozarażać kolegów – dodaje Puchalski.

W zeszłym roku Państwowa Inspekcja Sanitarna przeprowadziła kontrolę pod kątem obecności wszy w 111 placówkach oświatowych w Warszawie. Były to przedszkola, podstawówki, gimnazja i szkoły ponadgimnazjalne. W 64 placówkach stwierdzono wszawicę. Doktor Tomasz Pniewski opowiada, że ostatnio przyszedł do niego ojciec dwójki córek i poprosił o zaświadczenie, że dzieci nie mają wszy.

– Wspomniał, że dziewczynki od dwóch miesięcy chodzą do przedszkola z przerwami na leczenie tego problemu. A kiedy przejdą już kurację, idą do przedszkola, z którego ponownie przynoszą wszy. I nie mówimy tu o placówce na peryferiach, tylko o prywatnej stołecznej placówce – opowiada.

Brud z biedy

Zdaniem dr. Krzysztofa Puchalskiego zaniedbania higieniczne Polaków mają wiele przyczyn. – Do najważniejszych zaliczyłbym przede wszystkim utrudniony w wielu miejscach dostęp do bieżącej wody, biedę i wynikający

z niej brak pieniędzy nawet na najtańsze kosmetyki oraz brak nawyków higienicznych, które rodzice wciąż przekazują dzieciom – tłumaczy ekspert. – Nie powiem, że mycie staje się luksusem, ale w wielu przypadkach jest tak, że ludzie najzwyczajniej oszczędzają na zużyciu wody, mydła, szamponów, proszków do prania itp. – mówi dr Tomasz Pniewski.

Rezygnacja z mycia to także dla wielu osób oszczędność czasu. – A rzadsze mycie przekłada się na częstsze perfumowanie – dodaje Pniewski.

Eksperci uważają, że najtrudniej jest poradzić sobie z wyplenieniem złych nawyków, bo na to potrzeba czasu. – To problem edukacji. Oczywiście postaw wobec higieny dzieci uczą się przede wszystkim w domu, ale nie zaszkodziłoby także położenie większego nacisku na promocję zdrowia. Chociażby zwracać uwagę na mycie rąk – mówi Andrzej Wojtyła.

Zauważyli to też Amerykanie, którzy mają problem m.in. z zapomnianymi w wielu miejscach chorobami zakaźnymi, jak np. dżuma. Amerykańskie Rządowe Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom opracowało szereg filmików szkolących obywateli, w jakim sposób powinno się myć ręce.

– Polacy też tego nie umieją – mówi Wojtyła i proponuje, żeby przede wszystkim nauczyć tej czynności dzieci. – Niech śpiewają przy tym „wlaź kotek na płótek”. Aby porządnie umyć ręce, trzeba zaśpiewać dwukrotnie – tłumaczy Wojtyła i apeluje, że trzeba zrobić wszystko, aby zmienić nawyki higieniczne młodych Polaków.

Dlaczego to takie ważne? Mycie rąk po wyjściu z toalety i przed jedzeniem może uchronić przed wirusowym zapaleniem wątroby, a także zminimalizować np. wystąpienie biegunki o ponad 40 proc. czy o 25 proc. zapadalność na infekcje oddechowe. A dbałość o higienę okolic intymnych ma znaczący wpływ na zmniejszenie zapadalności na raka szyjki macicy. ☞

ANNA GWOZDOWSKA

Powiedz, kim jesteś

W Polsce tracimy czas na spory, czy powinniśmy badać przeszłość osób publicznych. Tymczasem Brytyjczycy rozpoczęli produkcję kolejnej serii programu telewizyjnego „Who Do You Think You Are”, w którym znani politycy, aktorzy i pisarze publicznie przeświatłają historię własnych rodzin. I choć wśród przodków dogrzebują się nierzadko do bigamistów, złodziei albo zdrajców, żadna gwiazda nie odmówiła jeszcze udziału w programie.

W styczniu nakręcono kolejny odcinek „WDYTYA”, który zostanie wyemitowany latem. Tym razem gwiazdą przeboju BBC jest 52-letni Gary Lineker, piłkarz, legendarny napastnik Tottenhamu, Evertonu i Barcelony. Lineker poinformował niedawno na Twitterze, że producenci programu przez kilka miesięcy badali najpierw przeszłość jego rodziny, a dopiero zimą zdecydowali się na rozpoczęcie zdjęć w Leicester, miejscu urodzenia piłkarza.

Drugą potwierdzoną już gwiazdą nowych odcinków „WDYTYA” będzie Brytyjka Sarah Millican, królowa stand-upów – komediowych show „na stojaka”.

Twoje rodzinne DNA

O tym, jak powstaje program, wiadomo niewiele. Jego twórcy trzymają szczegóły w absolutnej tajemnicy aż do dnia emisji. Nawet uczestniczącym w nim gwiazdom wiedzę o odkrywanych korzeniach dozuje się stopniowo w trakcie powstawania dokumentu z ich udziałem.

„Właśnie nagrywamy. Nie chcę mi za nic powiedzieć, co robimy. Za dwa tygodnie pewnie się dowiem, że moim przodkiem był człowiek słoń, co zresztą wyjaśniałoby parę rzeczy w moim życiu” – tweetował Lineker.

Tytuł programu – „Who Do You Think You Are” – to typowo angielska gra słów: może oznaczać po prostu prośbę: „Powiedz, kim jesteś”, ale równie dobrze negatywnie nacechowane pytanie: „Za kogo ty się właściwie uważasz?”. Kontekst zależy oczywiście od tego, jakie rodzinne tajemnice uda

się odkryć w programie. „WDYTYA”, który regularnie ogląda 6 mln Brytyjczyków, to rodzaj dokumentalnego śledztwa połączonego z telewizyjnym show, za którym stoi iście detektywistyczna praca. Program jest nadawany od 2004 r. Wyprodukowano już dziewięć serii „WDYTYA” i na tym nie koniec. Show ma też swój drukowany magazyn: „Who Do You Think You Are Magazine”. W najnowszym, lutowym numerze można się np. dowiedzieć, jak porządkować rodzinne zdjęcia, zmienić pospolicie brzmiące nazwisko na bardziej „posh” i przeczytać historię rodziny, której kolejne pokolenia wychowywały adoptowane dzieci. Ostatnio producenci wpadli też na pomysł, żeby zebrać w jednym miejscu licznych fanów programu i umożliwić im spotkanie z gwiazdami show. Od 22 do 24 lutego w Londynie będzie można posłuchać uczestników programu i wziąć udział w warsztatach i wykładach dotyczących badań DNA. A przy okazji wyjaśnić wszelkie wątpliwości – uczestnicy będą mogli skorzystać z darmowych testów genetycznych. W końcu zawsze istnieje szansa, że wśród przodków uda się znaleźć postać z wyższych sfer.

Bohater programu dysponuje zazwyczaj szczątkowymi informacjami na temat antenatów. Któż z nas wie cokolwiek pewnego o pradziadkach? Gwiazda programu czasem sama nadaje śledztwu kierunek, domagając się zbadania jednej z rodzinnych gałęzi. Najczęściej jednak jest zaskakiwana przez producentów. W miarę powstawania dokumentu dowiadyuje się coraz więcej,

a na jaw wychodzą czasem nawet nieprzyjemne niespodzianki. W poszukiwaniu rodzinnych śladów bohaterowie podróżują po całej Europie. W 2009 r. jedną z gwiazd programu był Bruce Forsyth, prowadzący show „Strictly Come Dancing”, brytyjski pierwowzór „Tańca z gwiazdami”. Producenci „WDYTYA” dokopali się m.in. do listu, który świadczył o tym, że pradiadek Forsytha, znany ogrodnik, był... bigamistą.

Aż tak smakowite wątki nie zdarzają się jednak zbyt często. Bywa, że wybrana do programu gwiazda ostatecznie z niego wypada. Tak było w przypadku Michaela Parkinsona, prezentera telewizyjnego, którego przeszłość okazała się na tyle nudna i przewidywalna, że po kilku tygodniach szperania w rodzinnych archiwach producenci się poddali.

– Jestem od tego programu uzależniony, ale u mnie, niestety, nie było czego szukać. Ze strony ojca sami górniczy i rolnicy, a ze strony matki kolejjarze i służący – mówił Parkinson w wywiadzie dla „Guardiana”.

Jak słoik miodu

W zgodnej opinii widzów jednym z najbardziej udanych odcinków był dotąd program poświęcony Borisowi Johnsonowi, dziennikarzowi i politykowi Partii Konserwatywnej, obecnemu burmistrzowi Londynu.

– To była fantastyczna okazja, żeby zmierzyć się z rodzinnymi mitami zasłyszany w dzieciństwie – mówił o udziale w programie Johnson. Już na początku odcinka przyznał się, że



J.K. Rowling, autorka „Harry’ego Pottera”, dowiedziała się z programu, że jej francuski pradiadek, bohater I wojny światowej, zmarł w biedzie i został pochowany w zbiorowym grobie.

chce się przede wszystkim dowiedzieć o pochodzeniu babci ze strony matki. Był przekonany, że kryje się za tym jakaś ciekawa historia związana z Francją. Okazało się jednak, że prawdziwą sensacją było życie rodziny jego dziadka Wilfreda Johnsona. Dziadek był w polowie...Turkiem. Jego ojciec Ali Kemal, czyli pradiadek Borisa, był dziennikarzem, a na krótko przed dramatyczną śmiercią został nawet ministrem w tureckim rządzie.

– W czasach dzieciństwa temat tureckiego pradiadka nie istniał, byliśmy zawsze przekonani, że dziadek był typowym małym angielskim far-

merem, tymczasem naprawdę nazywał się Osman Kemal. Nazwisko zmieniła mu dopiero babcia ze strony ojca, która po śmierci Ali Kemala go wychowała – opowiadał w programie zupełnie zdezorientowany Boris Johnson. Odcinek nakręcono zresztą na krótko przed lokalnymi wyborami i jego emisję przesuwano ze względu na kampanię, w której uczestniczył Johnson.

Dzisiejszy burmistrz Londynu ruszył śladami pradiadka do Stambułu. Spotkał się z turecką rodziną i historykami, którzy mieli mu wyjaśnić polityczne perypetie Kemala. Nie było to łatwe, bo jak się okazało, pradiad-

ka Johnsona do dziś uważa się w Turcji za zdrajcę. Został ministrem spraw wewnętrznych w rządzie popieranym przez Anglików i Francuzów na krótko przed dojściem do władzy Atatürka.

To nie był jednak koniec niespodzianek. Babcia ze strony matki, w rodzinie nazywana pieczołowicie Granny Butter, okazała się ogniwem łączącym Borisa Johnsona z większością europejskich rodów panujących.

– Moja rodzina jest jak słoik miodu znaleziony na półce w supermarkecie. W rzeczywistości to mieszanka pochodząca z wielu różnych krajów – tłumaczył Johnson. – Przyznaję, że jestem szczególnie dumny z tego, że w moich żyłach płynie jednak trochę brytyjskiej, w dodatku królewskiej, krwi – mówił pod koniec programu Johnson i podsumował: – Jesteśmy tylko tymczasowymi strażnikami genów, które dostaliśmy od poprzednich pokoleń. Nie wiemy nawet, skąd dokładnie pochodzą i komu przypadną w udziale. W sumie to niezwykle demokratyczna kolej rzeczy.

Wbrew pozorom „WDYTYA” nie jest programem promującym celebrytów, nie jest nawet show o ich rodzinach. To raczej dokument historyczny, który przywraca pamięć o czasami niesamowitych i przerażających wydarzeniach. Przekonała się o tym brytyjska aktorka Samantha Womack, która dowiedziała się, jak zginął jej pradiadek postrzelony w płuco podczas I wojny światowej. Okazało się, że strzelił do niego niemiecki żołnierz, stojąc nad brytyjskim okopem. Jak to ustalono? Producenci programu dotarli do wojskowych archiwów, w których znaleziono świadectwo zgonu pradiadka, a w nim informację, że kula przy wlocie przebiła płuco w wyższym miejscu niż przy wylocie.

Brytyjską serię kupiło już Hollywood. W amerykańskiej wersji programu wystąpiły megagwiazdy kina, m.in. Gwyneth Paltrow i Susan Sarandon, ale to nie gwarantuje sukcesu. Najlepszym miejscem na Ziemi dla szperaczy w rodzinnych archiwach jest przecież Anglia. Czasem można się nawet dokopać do szkieletu króla na budowanym właśnie parkingu. 📺

JERZY ZIEMACKI

Dożywanie watah

W Rosji, na Białorusi, w Szwecji i na Słowacji trwa odstrzeliwanie wilków. Władze tych państw uznały, że wilków jest za dużo. W Polsce wilki są pod ścisłą ochroną. Ale giną, gdy tylko przejdą granicę państwa.

Prezydent rosyjskiej Jakucji, Jegor Borysow, podjął decyzję o masowym wybić wilków w całej republice. Prezydencki dekret z połowy stycznia nakazał odstrzelać 3000 wilków. W regionie ma zostać tylko 500 sztuk, ponieważ atakują przydomowe gospodarstwa i zagryzają drób i bydło. Operacje prowadzą specjalnie sformowane grupy myśliwskie. Władza wyposaża myśliwych w amunicję i paliwo. Ustanowiła wysokie nagrody za wilcze skóry. Dla trzech najskuteczniejszych myśliwych przewidziano premie. Myśliwi w Jakucji dziennie zabijają kilka wilków. Raz na jakiś czas uda się odstrzelić całą watahę: basiora, wilczyce, krewnych i szczenięta. Myśliwi zrywają z nich zakrwawione skóry, za które dostają pieniądze.

Krwawe łowy

Również w innych częściach Rosji trwa wielkie tępienie wilka. Na południu Syberii, w Tuwie, za zabitego wilka obywatel dostaje domowe bydło. Miejscowi polują na wilki, zakładając sidła i montując krwawe wnyki. Stalowe wnyki miażdżą nogę wilka, unieruchamiając go. Mieszkańcy okolicznych wsi twierdzą, że wilki mają na sumieniu wiele grzechów: zagryzają konie i krowy. Miejscowa policja potwierdza, że wilki atakują zwierzęta gospodarskie. Wiele razy rosyjscy policjanci bronili tutejszych terenów, strzelając do wilków z kalasznikowców.

Metody walki z wilkami są znane policji oraz rolnikom również na Białorusi. Mieszkańcy białoruskich wsi od pokoleń nienawidzą wilków, boją się tych zwierząt, uważają je za wcielone



VIKTOR DRACHEN/AFIP

zło. Nie mają dla nich litości. Miejscowi, gdy nakryją norę wilczyce, wykradają nowo narodzone szczenięta (w każdym wilczym miocie jest ich od 4 do 7). Następnie topią szczenięta w wodzie lub podrzynają im gardła. Według oficjalnych danych białoruskiego ministerstwa wilki roznoszą wściekliznę. Dlatego powinny być szybko eliminowane. Przez myśliwych i w czynie społecznym. Władze Białorusi mają w planach odstrzelać 1000 tych zwierząt, choć w całym kraju żyje ich tylko 1500.

Wilki i diabeł

Plany odstrzelać wilków w Rosji to ich eksterminacja. Zabicie 85 proc. popula-

cji nie wpłynie na ograniczenie szkód gospodarczych i nie przyczyni się do rozwiązania problemu – twierdzi Sylwia Szczutkowska ze Stowarzyszenia Pracownia na rzecz Wszystkich Istot, która od lat walczy o prawa dzikich zwierząt. Przekonuje, że wilki to wyjątkowo inteligentne stworzenia. W żadnej mierze nie są niebezpieczne dla człowieka.

Prof. Henryk Okarma, biolog zajmujący się badaniem dzikich zwierząt, jest innego zdania. – Trzeba być realistą. Nie ma miejsca na świecie dla milionów wilków – przekonuje profesor i tłumaczy: – Polowanie na wilki jest jednym ze sposobów gospodarowania tym gatunkiem. Dla jego dobra należy kontrolować wiel-

kość stad. Profesor Okarma jest autorem strategii ochrony wilka w Polsce. Należy również do Polskiego Związku Łowieckiego. Jest myśliwym. Lubi wilki. Nigdy żadnego nie zabił. Uważa jednak, w przeciwieństwie do większości organizacji ekologicznych, że myślistwo i ekologię można łączyć.

W Europie i w Ameryce wilki zawsze były postrzegane negatywnie. Mogła się do tego przyczynić średniowieczna kultura ludowa, w której drapieżny ssak symbolizował diabła i budził głęboki lęk.

Taka świadomość utrzymywała się niemal do końca XX wieku: wystarczy przeczytać bajkę o Czerwonym Kapurku, aby zrozumieć, jak diabelsko perfidny i groźny potrafi być wilk. Wilk zwykle reprezentuje siły zła. Wszędzie, gdzie osiedlali się biali ludzie, wilki były tępiące. To dlatego europejczy przybysze zaczęli kolonizację w Ameryce od wybijania wilków. W XX wieku z 2 mln osobników zamieszkujących Amerykę Północną zostało ich jedynie kilka tysięcy – Najwyższa pora odczarować złego wilka. A jeśli ma pełnić we współczesnym świecie jakąś symboliczną rolę, niech będzie symbolem wolności i dzikości – mówi Sylwia Szczutkowska.

Polityka zmienności

W latach 90. XX w. rozpoczęto akcję reintrodukcji wilka, czyli odbudowę populacji w naturalnych warunkach. W USA przeprowadzono ją w legendarnym Parku Narodowym Yellowstone. Zrozumiano bowiem, że duży drapieżca jest potrzebny lasom. W 1995 r. wpuszczono do Parku Yellowstone siedem par wilków szarych, które rozmnożyły się już kilkunastokrotnie. Podobne próby podjęto m.in. w Anglii, Niemczech, Danii i Polsce. Dziś, po kilkunastu latach powolnej odbudowy gatunku, myśliwi na całym świecie znów chcą strzelać do wilków. A władza coraz częściej im na to pozwala lub nawet, jak pokazują przykłady w Rosji czy Białorusi, inicjuje zorganizowany odstrzał.

W styczniu w Szwecji, gdzie żyje jedynie 270 wilków, rząd zezwolił myśli-

wym na selektywny odstrzał 16 osobników. Przez 46 lat polowanie na te zwierzęta było zabronione. Od 2010 r. znów jest legalne za pozwoleniem. Powód? Wilki zjadają co roku ponad 300 pasterskich owiec. Ekolodzy przekonują, że to absurdalny argument. Owiec w Szwecji jest prawie milion, a za każdą zabitą przez wilka owcę właściciel dostaje wysokie odszkodowanie od Skarbu Państwa. Ekolodzy przypominają, że wilk to zwierzę drapieżne. Gdy brakuje mu pożywienia w lesie, jest zmuszony zjeść owcę. Władze UE zagroziły Szwecji procesem sądowym, twierdząc, że narusza przepisy ochrony środowiska. Szwedzi zaczęli protestować przeciw decyzji swoich władz. Po protestach urzędów i ludzi, w połowie lutego Szwecja zaprzestała wydawania pozwoleń na strzelanie do wilków.

Polski paszport

Odstrzał wilków trwa na Słowacji. Od trzech lat co roku wybijane jest ponad 100 sztuk. Sezon myśliwski trwa

Władza wyposaża myśliwych w amunicję i paliwo. Ustanowiła wysokie nagrody za wilcze skóry. Myśliwi w Jakucji dziennie zabijają kilka wilków. Czasem uda się im odstrzelić całą watahę: basiora, wilczyce i szczenięta.

od 1 listopada do połowy stycznia. Słowaccy myśliwi wykazują się dużą gorliwością. Zwykle przekraczają dopuszczalne limity i zabijają kilka sztuk więcej. W tym roku słowackie Ministerstwo Rolnictwa zaleciło odstrzelać 130 wilków. Ale słowaccy myśliwi już zabili 133.

Polska dzieli ze Słowacją sporą część populacji wilków. Szacuje się, że na Słowacji żyje około 400, a w Polsce od 500 do 700 wilków. Jednak wilk nieustannie migruje. Dziennie potrafi pokonać dystans 60 kilometrów. Dlatego wiele wilków ma podwójne obywatelstwo: polskie i słowackie. U nas nikt nie strzela do wilków od 15 lat. Niestety, chronione w Polsce wilki przechodzą na stronę słowacką. I zostają

tam zastrzelone. Wysokie standardy ochrony, na które Polska wydaje pieniądze, są niweczone przez słowackie polowania tuż przy granicy. W interesie Polski jest szybka zmiana tej sytuacji. Sprawą zajął się rząd. Minister środowiska zaapelował do strony słowackiej o utworzenie transgranicznej strefy wolnej od polowań. Polska ma dowody na pogarszanie się stanu ochrony wilków w Beskidzie Żywieckim i Magurskim Parku Narodowym.

Od 2001 r. wilki znajdują się w Polsce pod ścisłą ochroną. Żyją głównie w województwach: podkarpackim, podlaskim i małopolskim. Ale widziano je również w północnej Wielkopolsce. Są nawet w okolicach Szczecina, na terenach bagiennych.

W czasach PRL wilk był tępiący. Do 1975 r. władza ludowa wypłacała nagrody za upolowanego drapieżcę. Polacy chętnie wymieniali wilcze skóry na bony żywnościowe lub maszyny rolnicze. Doszło do tego, że w Polsce zostało tylko 100 sztuk wilków, choć kiedyś żyły ich tutaj setki tysięcy.

Szlachetne psy

Wilki dały genetycznie początek wszystkim psom. Mają wiele wspólnych cech z naszymi pupilami. Oswojone wilki wykazywały się ekstremalną więzią emocjonalną z opiekunem: były wierne, tęskniły za człowiekiem, bawiły się z dziećmi. Znawcy wilków podkreślają, że są to zwierzęta wyjątkowo inteligentne. Porozumiewają się między sobą rozbudowanym językiem gestów ciała. Badacze zawsze fascynowała zdolność wilków do zachowań społecznych. W watahach istnieje określona hierarchia. Wilki żyją w grupach krewnych, w których każdy osobnik jest ważny i niezastąpiony. Wychowują one młode w duchu wilczego kodeksu.



COLLECTION SIMONNY © ESTATE OF ROY LICHTENSTEIN

WYSTAWA

Lichtenstein w Londynie

Między 21 lutego a 27 maja w muzeum Tate Modern w Londynie będzie można zobaczyć retrospektywną wystawę Roya Lichtensteina. To pierwsza tak duża ekspozycja w całości poświęcona jego pracom od 20 lat. Na równi z Andym Warholem i Jasperem Johnsem Lichtenstein uznawany jest za ikonę amerykańskiego pop-artu. Słynie z wykorzystywania stylistyki komiksu i charakterystycznych kropek nasładowujących tanie reprodukcje. Wybuchy oraz piękne dziewczyny to główne motywy jego najsłynniejszych prac. Zbliżająca się retrospektywa będzie okazją do zobaczenia również tych mniej znanych dzieł, jak na przykład nieprezentowany wcześniej w Europie krótkometrażowy film-instalacja „Three Landscapes”. Nie możecie tego przegapić. → bzc

WYDARZENIE

Bal na tysiąc par



PIOTR NOWAK

za zawsze ma charakter dobroczynny, a zyski z niej przeznaczone są na pomoc dla potrzebujących dzieci. W ubiegłym roku zbierano na stypendia dla najuboższych, w tym roku dochody ze zorganizowanej podczas balu loterii i licytacji zasilili konto świetlic środowiskowych i terapeutycznych. Taka zabawa, naszym zdaniem, ma sens. → bzc

OH, JEFF...
I LOVE
YOU, TOO...
BUT...

FACEBOOK

Bang with Friends

Legenda głosi, że Facebook powstał, bo studenci chcieli oglądać i oceniać zdjęcia swoich koleżanek. Jeżeli to prawda, nowa aplikacja Bang with Friends wpisuje się w te potrzeby, ale idzie o krok dalej. Za pomocą prostych narzędzi (wystarczy się zalogować na Facebooku i zainstalować aplikację) z listy znajomych wybiera się tego, kogo chciałoby się „robić”, czyli – z kim chciałoby się pójść do łóżka. Nasz wybór pozostaje dla wszystkich niewidoczny do momentu, kiedy druga strona również nas zaznaczy. Wtedy obie osoby otrzymują e-maila z odpowiednią informacją. To, co razi najbardziej, to ukazanie seksualności przez heteronormatywny, męski pryzmat – aplikacja została stworzona przez trzech studentów i widać to na każdym kroku. Od fanpage’a, na którym znajdziemy tylko zdjęcia roznegliżowanych kobiet, przez logo przedstawiające pozycję, w której mężczyzna jest stroną czynną, po krótki opis działania aplikacji, w którym koniec zilustrowany jest gotowaty do działania, ubranym w perzerwytywę penisem. Niektórzy twierdzą, że aplikacja jest rewolucyjna. Nawet jeżeli tak, to czy o taką rewolucję nam chodzi? → bzc

Mariusz Ziomecki

Fajny gość Dan



FRANCISZEK MAZUR

Moje pokolenie dorastało w kulcie ludzi bitych w katowniach gestapo i bezpieki. Brak mi odruchu, by patrzeć na sytuację w sali tortur z punktu widzenia tego, który bije.

„Wróg numer 1”, stylizowana na dokument fabuła Kathryn Bigelow o tym, jak CIA wytropiła kryjówkę Osamy bin Ladena i jak przeprowadzono jego egzekucję w maju 2011 r., jest triumfem sztuki kina. Film dostał nominacje do Oscarów, bo mordercze zderzenie islamu z Zachodem ogląda się z zapartym tchem. Ale też – nie tylko w moim przypadku – z narastającym dyskomfortem, który przechodzi w odruch wymiotny.

Jednym z pozytywnych bohaterów filmu jest Dan, oficer Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA). Dan torturuje ludzi. Widzimy go w akcji, jak doprowadza więźnia do granicy obłędu, umiejętnie dozując bicie, podtapianie, zamykanie w klaustrofobicznie ciasnej skrzyni. Perfidnie stosuje też presję psychiczną: wie, kiedy oferować przesłuchiwanemu butelkę soku i dobre słowo, a kiedy kopnięciem znieścaka obalić go na betonową podłogę... Dan nie jest sadystą; to porządny chłop, który stara się dobrze wykonywać konieczną pracę. Po poddaniu obróbce ponad setki podejrzanych czuje się wypalony (żartuje, że dość się już naoglądał nagich facetów) i przenosi się za biurko w centrali Firmy. Tam kamera pokazuje go jako jednego z tych dobrodusznych, superkompetentnych gości w garniturach, którzy mojemu pokoleniu zawsze będą kojarzyli się z Ameryką. Jako widzowie posłusznie poddajemy się woli reżyserki. Nie sposób nie lubić Dana rewelacyjnie zagrane go przez australijskiego przystojniaka Jasona Clarke’a.

Jednak sorry, siostrzo Bigelow, ale odrzucam całą tę cwaną konstrukcję. Dla mnie bezwzględny zakaz tortur jest jednym z dowodów postępu moralnego, jaki jest udziałem naszego gatunku. Bez tego jesteśmy tylko Lemowską „okrutną małpą”. To skandal i monstrialne świństwo, że akurat Stany Zjednoczone zafundowały światu cofkę w tej kwestii. Wszyscy jesteśmy dziś mniej, a nie bardziej, bezpieczni. Zgoda, artysta ma prawo, wręcz obowiązek, patrzeć przekornie. Nasz Pasikowski z Lindą złamali podobną sztamę, gdy czarującym bohaterem „Psów” zrobili ubola. Ale tu mój opór będzie silniejszy. Moje pokolenie dorastało w kulcie ludzi bitych w katowniach gestapo i bezpieki. Brak mi odruchu, by patrzeć na sytuację w sali tortur z punktu widzenia tego, który bije. Nie chcę „obiektywnie” oceniać Dana.

Pewnie mięczak ze mnie i relik. Wciąż słyszę, że teraz mamy inną, „asymetryczną” wojnę. Że agenci wywiadów mnie bronią. Że gdyby – odpukać – pewnego dnia fanatycy odpalili bomby w jakimś polskim mieście, to na pewno spojrzalbym łaskawszym okiem na służby i ich metody. I na naszych polityków z Kwaśniewskim i Millerem na czele, którzy pozwolili CIA stworzyć te hańbiące „czarne dziury” w moim kraju.

Może... Jednak wątpię. Wciąż podziwiam moralną odwagę nowojorskiej pisarki Susan Sontag, która po atakach na wieże World Trade Center przeciwstawiła się szalejącej opinii, mówiąc, że o sprawcach można powiedzieć wiele złego, ale nie to, że byli „tchórzami”. To ona broniła cywilizacji, nie Bush. Żeby wroga móc torturować, trzeba go najpierw odczłowieczyć, odebrać mu honor i wszelką wartość.

Gdy teraz np. redaktor „Rzeczy” Andrzej Talaga stawia w komentarzu tezę, że państwo, w imię racji stanu, może stosować przemoc bez podstaw prawnych i nie powinno ujawniać prawdy o takiej przemocy, jeśli prawda godzi w jego interes (to w nawiązaniu do sporu polskiego rządu z Trybunałem Sprawiedliwości w Strasburgu o informacje o działaniach CIA w Szymanach) – jestem przerażony. Bo odrzucam też wizję państwa jako dobra autonomicznego, stojącego nad głowami obywateli, niekontrolowanego i nierozliczanego z drastycznych poczynań.

Film Bigelow najpewniej szarpnie jakieś Oscary, ale w realnym świecie spór o tortury jest już rozstrzygnięty. FBI (działała wyłącznie na terytorium Stanów Zjednoczonych) od początku „wojny z terrorem” twierdzi, że przesłuchania podejrzanych bez przemocy fizycznej dają lepsze, bo wiarygodne, rezultaty. Niedawne wypowiedzi w Senacie USA Johna Brennana, weterana CIA z 25-letnim stażem, którego prezydent wybrał na następnego szefa agencji, pokazało, że do takiego samego wniosku doszedł też amerykański wywiad.

Wychodzi na koniec, że znów zajadłe toczymy w Polsce debatę z nieaktualną datą świeżości. Spóźniliśmy się o kilka lat. A jak się zastanowić, to nawet jakieś dwieście. ☹

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.



WYSTAWA

Coco w operze

W tym roku obchodziłaby 130. urodziny Coco Chanel znanej przede wszystkim jako przedsiębiorczą kobietę, która swoimi rewolucyjnymi pomysłami ustanowiła kanon współczesnej elegancji. Zrezygnowała z gorsetów na rzecz wygodnych dzianin, wśród pań upowszechniła noszenie garniturowych spodni i prochowca. Znamy mody źródła fenomenu projektantki szukają w jej biografii – Gabrielle Chanel dorastała i tworzyła kolekcje w czasach wielkich społecznych i kulturowych przemian. Otwarta właśnie w Guangzhou Opera House wystawa „Culture Chanel” pokazuje styl Coco przez pryzmat jej związków ze sztuką. Z niektórymi z najważniejszych postaci tamtych czasów współpracowała i znała się osobiście (Jean Cocteau, Pablo Picasso czy uznawany za prekursora surrealizmu w literaturze Pierre Reverdy), z innymi łączyły ją wzajemne inspiracje. Na wystawie w Chinach zgromadzono wiele unikatowych zdjęć, plakatów i rysunków. Ekspozycję otwiera olbrzymia kurtyna pokryta malowidłem Picassa, która powstała na potrzeby baletu „Le Train Bleu”. Według kuratora przedstawia to, co można uznać za kwintesencję stylu Gabrielle Chanel: wolność, łamanie konwenansów i kult sportowej sylwetki. → bzzz

Michał Lipszyc

Za grosik



Nie wiadomo, co pod Śnieżką na każdym rogu robią szyldy z gwarą podhalańską oraz atrapy ciupag i oscypków.

karnet, musimy dosiąść Liczykrupy, przedrzeć się miedzą do Euro, a gdy nas wwiezie, mamy kilka morg do Liczyrzepy. Gdy zaś postawimy na Grosik i Złotówkę, trzeba wjechać Liczykrupą, Euro, po czym brnąć knieją do stóp Grosika. Narciarze robią to spoconą jodełką. Snowboardziści – konwulsyjnymi zakosami ranego winniczka. Zważywszy że Zbyszek zwykle stoi, bo dmucha; że odcinki łączące wyciągi są równie długie jak kolejki chętnych; że orczyki co chwila mrą jak muchy; że awers Grosika skazuje krzyże i deski na renowację kosztowną zarówno w złotych, jak i w euro; że gdy zawieje, to Grosik daje radę, lecz pada Złotówka, łatwo pojąć, że do 16, gdy nieoświetlony kompleks staje, więcej mamy Dążenia do Zjazdów niż Zjazdów. I nasuwa się wniosek, że uciechę z wyciągów mają głównie ich właściciele, a frapujące monetarne nazwy to tylko czytelny sygnał fair play: tu chodzi tylko o drenaż przyjezdnych sakiewek. Lecz może to osąd zbyt okrutny.

Mogło być tak, że gdy Demiurg Kopy nazywał swe orczykowe dzieci i wyczerpał już zasób znanych sobie imion, zaczął sondować otchłań umysłu i znalazł na dnie już tylko te najprostsze, najważniejsze w życiu słowa: złotówka, grosik i euro. Ale podczas gdy jego dzieci mnożyć się będą i zwracać, nie wiadomo, kto zwróci klientom koszta moralne i estetyczne. Podobnie jak nie wiadomo, co pod Śnieżką na każdym rogu robią szyldy z gwarą podhalańską oraz atrapy ciupag i oscypków (cosnecek-zurawinka gratis). Wszystkie te nazwy, stanowiące domostwo ferii naszych, są po prostu mega velmi sehr obłeśne; nie mniej niż smalec z Biedronki i dymiąca kiełbasa babuni.

Jest i kolejny wniosek – może dobrze byłoby skorzystać z postępów techniki i załatwić sprawę ferii statycznie: w ramach systemu MMS (Merkantylne Mikro Ski) przelewamy na konto wyciągowego pewną kwotę, dzięki której Skibiorca tworzy dwa nowe wyciążki, np. Rubelka lub Koronkę, oraz drugi, naszego imienia, jako hołd dla Skidawcy. A najwięksi fani nart zimą będą mogli, nie ruszając się z domu, oglądać w necie na tablecie, jak na skoczni ich imienia Ammann mimo wiatrów znów robi na zimno 200 m. →

Autor jest bajkopisarzem, tłumaczem literatury anglo- i portugalskojęzycznej.

Urodziliśmy się może bez wprawy, ale w tak zwanym dorosłym życiu zwykle stać nas na świadome wybory. Jeśli więc ktoś zechce, na przykład, ponarzącać na warunki kulturowo-lingwistyczne w kurortach południa Polski, zawsze można mu rzec: było dzieci nie płodzić; nie musiałbyś wracać po latach do uciech ferii zimowych, tej (zdawałoby się) dawno zamkniętej bajki. Ale nigdy nie wiadomo, z czego człek zdoła wyciągnąć naukę.

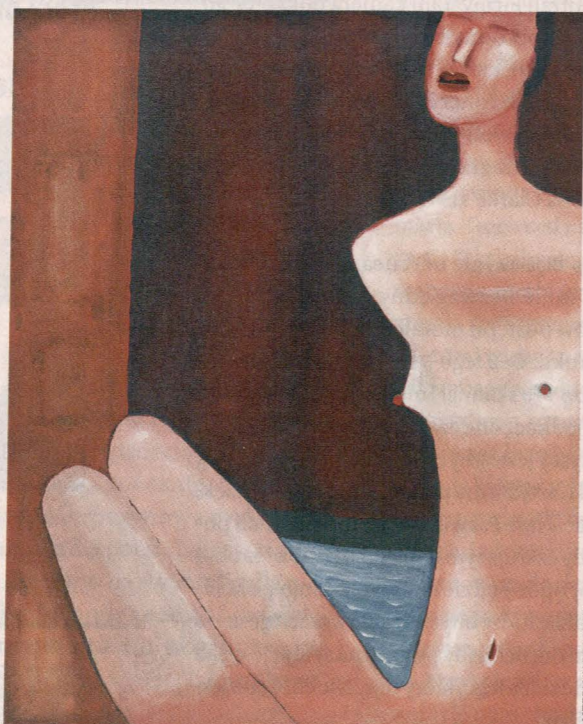
Niemiecka osada Krümmhubel zwie się teraz Karpacz i nomenklaturowe wstrząsy (może pochodne tego źródłowego, etnicznego tąpnięcia) rozchodzą się do dziś jak kręgi na wodzie, obejmując wszystkie sfery życia kurortu. Jako że Krümmhubel żył tradycyjnie z ziołowych mikstur, przemycony, jako Karpacz, w powojenne granice Polski, gdzie zioła nie mają lekko, skupił się wyłącznie na turystyce. Kawalek za city z Biedronką, Żabką, Swojskim Jądłem (łotworte!), hotelami Mieszko i Chrobry jawi się Kompleks Narciarski Śnieżka. Dla psychologów społecznych: Ski-Kompleks jako wykwit utajonych kompleksów.

Kompleks Śnieżka, jak nazwa wskazuje, obejmuje głównie górę Kopa. Na szczyt wiedzie wyciąg Zbyszek. W środkowym odcinku stanął Jan. Ale gdy już czujemy się pewnie, węsząc konsekwentnie słowiański system innienny, nagle zbija nas z tropu inna seria: za Zbyskiem czai się Euro. Jeśli nie wiemy jeszcze, czy to hołd dla Brukseli, czy dla święta futbolu, trzeba przedrzeć się przez jar ku kolejnym wyciągom: to Grosik i Złotówka. By upewnić się w domysłach, brniemy z powrotem ku Kopie i za Zbyskiem odkrywamy jeszcze dwa. Liczyrzepa jest tu pewną zagadką, ale Liczykrupa już sprawę wyjaśnia i można odetchnąć. Ponieważ summa summarum zupełnie nie wiadomo, o co chodzi, właśnie dlatego już wiemy: chodzi o tak zwane pieniądze. Dodajmy, że tylko Zbyszek pozwala dostać się za jednym zamachem na szczyt Kopy i wykonać jedyny poważny zjazd w kompleksie; i właśnie on zwykle nie działa, bo gdy wieje, Zbyskiem buja, co rzecz częsta, bo zimą w Karkonoszach wieje, Zbyszek to zaś krzeselka-single z czasów włochatego Gomułki. A gdy bez Zbyszka chcemy dotrzeć w górne partie Kopy, wykupiwszy

AUKCJA

Nowosielski pod młotek

7 marca w Warszawie może być naprawdę gorąco. To nie zapowiedź pierwszej w tym roku fali upałów, ale wydarzenia bez precedensu na polskim rynku sztuki. 22 prace Jerzego Nowosielskiego w jednym miejscu – 11 sztalug i 11 obrazów na papierze. Wszystkie pójdą pod młotek. To wydarzenie z niecierpliwością wyczekiwane przez polskich kolekcjonerów, zwłaszcza że to pierwsza taka aukcja w Polsce, gdzie licytowane będą tylko i wyłącznie prace Nowosielskiego. Emocje mogą być duże, bo połowa wystawionych na sprzedaż prac w obiegu aukcyjnym pojawi się po raz pierwszy! To dzieła z różnych okresów twórczości artysty. Hitem będą z pewnością jego sportsmenki – gimnastyczki i pływaczki. Najwyższą cenę wywoławczą mają „Dziewczyny na statku” namalowane 13 grudnia 1981 r., które w 1996 r. trafiły do Księgi rekordów Guinnessa jako najdrożej sprzedane dzieło żyjącego artysty z Polski (45 tys. zł). Tym razem cena wywoławcza obrazu będzie ponad sześć razy wyższa. Miłośnicy Nowosielskiego mogą przyjść jednak do Desy przed aukcją i nacieszyć się za darmo widokiem wszystkich prac. Wystawa potrwa do 6 marca w siedzibie domu aukcyjnego Desa Unicum przy ul. Marszałkowskiej 34–50 w Warszawie. Aukcja rozpocznie się 7 marca o godz. 19. → eb



MATERIAŁ PRASOWY



SPEKTAKL

Operowe science fiction

Szwajcar Christoph Marthaler lubi pop, rodzimą muzykę ludową i klasykę. Do każdego z tych gatunków sięga, kiedy realizuje swoje spektakle. Jednak nie tylko z tego powodu stał się jednym z największych twórców teatralnych Europy. Jego przedstawienia łączą ironię i żart z refleksją nad kondycją człowieka we współczesnym świecie, a zawsze są wyreżyserowane z precyzją szwajcarskiego zegarka. Taka właśnie jest „Sprawa Makropulos” w warszawskiej Operze Narodowej. Utwór skomponowany przez Czecha Leoša Janačka w 1926 r. to wyjątkowe połączenie opery z procesem sądowym i science fiction. Oglądamy tu historię sporu o prawo dziedziczenia majątku, a zamieszana jest w nią Elena Makropulos, która posiadała sekret nieśmiertelności i żyje już... 337 lat. Spektakl Christopa Marthalera to koprodukcja Opery Narodowej ze słynnym festiwalem w Salzburgu. Spektakle 19, 21, 23 lutego. → jm

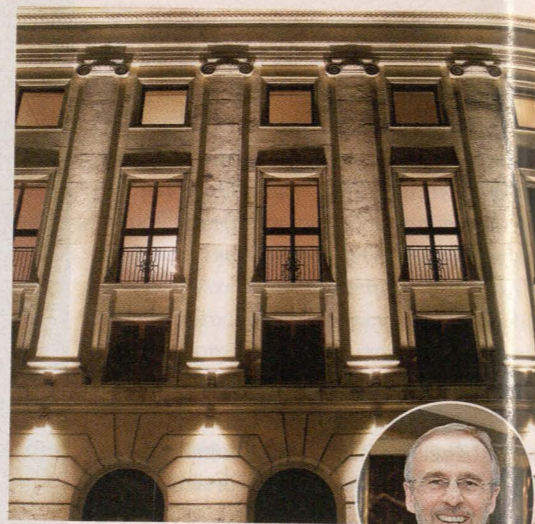


WARSZTATY

Spotlight Kids

Sztuka wcale nie jest dziecinnie prosta, zwłaszcza gdy pytania na jej temat zadają najmłodszy. Czym jest cytat, falsyfikat albo found footage? To właśnie potrzeba zaspokojenia dziecięcej ciekawości pchnęła Ewelinę Krysiak do stworzenia pierwszej

w Polsce platformy promocji sztuki współczesnej dla dzieci Spotlight Kids. Projekt od razu odniósł sukces, co potwierdziły tłumy rodziców i dzieci podczas ubiegłorocznych edycji warsztatów. Nie inaczej będzie z pewnością i w tym roku, 24 lutego, podczas trzeciej odsłony świata sztuki poprzez zabawę. Podobnie jak w poprzednich latach na uczestników czekają spotkania z artystami, specjalnie przygotowane wystawy prac dla najmłodszych, sklep ze sztuką, strefa malca oraz wspólny brunch. A to i tak tylko część atrakcji w magicznych wnętrzach Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W tym roku zajęcia poprowadzą: zwycięzca rankingu Kompas Młodej Sztuki 2012, artysta wizualny – Radek Szlaga, fotograf Szymon Rogiński, malarka Lena Szczęsna, studentka paryskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych Dobra Borkała i specjalizujące się w sztuce nowych mediów, łączące świat cyfrowy z realnym studio Cyber Kids on real. → eb



WYWIAD

Nowoczesna Filharmonia

Nowy dyrektor. Nowe pomysły. Wojciech Nowak o przyszłości Filharmonii Narodowej w Warszawie.

Publiczność koncertów symfonicznych jest coraz starsza. Nie martwi to pana?

Na świecie do filharmonii chodzą ludzie dojrzały, ustabilizowani, często już na emeryturze, bo wtedy mają czas na stały kontakt z muzyką. W porównaniu z wieloma krajami nasza widownia jest znacznie młodsza. Ponadto zabiegamy o kontakt z młodzieżą. Nie nazywam tego edukacją, bo nikomu nie wbijamy do głowy konkretnej wiedzy, ale staramy się, by młodzi ludzie zaczęli muzykę odczuwać.

Może trzeba szukać nowych form przekazu?

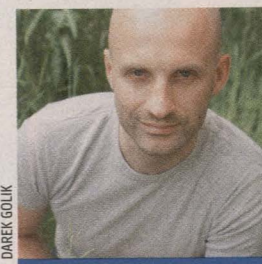
Dlatego ogłosiliśmy przetarg na zaprojektowanie w naszym gmachu studia reżyserskiego, by można było robić nagrania podczas koncertu i szybko umieszczać je w sieci. Internetowe transmisje realizuje szereg filharmonii i nie chcemy pozostawać w tyle. To studio jest nam potrzebne również po to, by stać się atrakcyjnym partnerem dla TVP Kultura, która chętnie skorzysta z zarejestrowanych przez nas koncertów.

Szykuje pan dużo zmian?

Wraz z Jackiem Kaspszykiem, który dostał nominację na dyrektora artystycznego, chcemy przede wszystkim kontynuować dobre tradycje i osiągnięcia Filharmonii Narodowej. A jest ich niemało, by wspomnieć choćby nagrodę Grammy, którą dyrektor Antoni Wit otrzymał kilka dni temu za płytę z utworami Pendereckiego nagranych z naszą orkiestrą. O ile jednak poprzednia dekada była dla nas czasem płyt CD, które zdobywały nagrody w świecie, o tyle w następnych latach chcemy wejść w epokę nagrań audiowizualnych. → Jacek Marczyński

Maciej Muskat

Bumerang pochwał dla GMO



DAREK GOŁIK

Choć debata na temat GMO w Polsce jest chwilowo skończona, powrót do chwaleń tej technologii przez jej rycerzy oznacza, że powinniśmy być czujni.

Z początkiem stycznia tego roku rząd wprowadził zakaz uprawy genetycznie modyfikowanej kukurydzy. Nowe rozporządzenie czyni uprawę kukurydzy MON810 nielegalną w świetle prawa, ale nie oznacza to wcale, że polskie pola zostały skutecznie ochronione. Komisja Europejska może próbować podważyć polski zakaz – jak robiła to wcześniej, nieskutecznie, w przypadku innych państw. Do boju pod sztandarem GMO ruszają już najwięksi piewcy chemicznej rewolucji, ponownie sięgając w mediach krzywdzące ziarna dezinformacji.

Odceny zakaz udało się osiągnąć, mimo że polskie media, zwłaszcza drukowane, były przez lata zdominowane przez apologetów GMO. Papier był cierpliwy i nawet stwierdzenia takie jak „Amerykanie jedzą GMO od 15 lat i nie się nie dzieje” prof. Węgleńskiego nie były kwestionowane przez dziennikarzy, choć z naukowego punktu widzenia to stwierdzenie jest czystym nonsensem. Prawdziwą tragedią jest jednak sytuacja, gdy dziennikarze z działów naukowych serwują nam podobne bzdury i nie spotykają się z żadną kontrą.

Najlepszymi przykładami takich praktyk są redaktorzy Sławomir Zagórski (były szef działu naukowego „Gazety Wyborczej”) i Marcin Rotkiewicz (dziennikarz działu nauki w „Polityce”), którzy nie ustają w próbach wciskania ludziom nauki w wersji light – redukcjonistycznej wersji zjawisk i zdarzeń, ustawionych z góry pod zadaną tezę. Nie chodzi tylko o to, co w swoich tekstach upraszczają czy przekłamują, ale przede wszystkim o to, czego nie mówią. Piszą na przykład o badaniach, które stwierdzają, że GMO są bezpieczne, ale już nie o wielomilionowym projekcie Komisji Europejskiej AMIGA, którego celem jest „zebranie danych na temat możliwych ekologicznych i gospodarczych efektów GMO” i który potrwa do... 2015 r. Dowiadujemy się od Zagórskiego i Rotkiewicza o stanowisku Komitetu Ochrony Roślin PAN, ale o stanowisku Komitetu Ochrony Przyrody PAN już nie. Zgadza się, że nie

istnieje dziennikarstwo obiektywne, ale istnieje coś takiego jak dziennikarstwo uczciwe.

Nie sposób w krótkim tekście odnieść się do wszystkich PR-owych fikcji przemysłu inżynierii genetycznej, które bezrefleksyjnie powtarzają media, ale warto przynajmniej obalić dwa mity, podtrzymujące, że „GMO jest dobre dla przyrody”. Pierwszym jest zapewnianie, że uprawy GMO wymagają mniejszej ilości pestycydów w uprawie niż rolnictwo konwencjonalne. W rzeczywistości GMO powoduje wzrost zużycia pestycydów. Wiele badań to potwierdza. Nie ma w tym nic dziwnego – naukowcy mówili o takim scenariuszu u samego zarania pomysłu na pakiety takie jak „GMO plus Roundup”. Nie jest to zaskoczenie również dlatego, że te same firmy sprzedają zarówno GMO, jak i chemię do ich oprysku. Drugi mit to stwierdzenie, że korzystne dla rolnictwa jest pompowanie w ziemię coraz silniejszej chemii. Nic bardziej mylnego – to jest strategia porażki. W 2011 r. 34 proc. amerykańskich rolników stwierdziło na swoich polach obecność tzw. superchwastów, czyli chwastów, które uodporniły się na środki chwastobójcze. Rok później było ich już 49 proc. W stanach, które zaczęły przygodę z GMO wcześniej – np. w Georgii – ten odsetek wynosi aż 92 proc. Co więcej, stosowanie pestycydów ma wpływ nie tylko na plony – praktycznie z miesiąca na miesiąc nowe badania pokazują negatywny wpływ tych „bezpiecznych substancji” na żywe organizmy, ostatnio przede wszystkim na żaby i inne płazy. Ich użycie wiąże się także z wymieraniem pszczół.

Warto podziękować Bogu lub Latającemu Potworowi Spaghetti za to, że ani Rotkiewicz, ani Zagórski nie decydują o bezpieczeństwie naszej żywności. Choć debata na temat GMO w Polsce jest chwilowo skończona, powrót do chwaleń tej technologii przez jej najskuteczniejszych rycerzy oznacza, że powinniśmy być czujni. Być może utrzymanie zakazu na stałe będzie wymagało dalszych działań. ☞

Autor jest dyrektorem Greenpeace Polska.

MAREK ZAJĄC, ILUSTRACJE DAWID RYSKI

Bóg zmienił adres

Liczba katolików rośnie, ale tylko co czwarty z nich jest dziś Europejczykiem. Czy charyzmatyczny lider, którego potrzebuje Kościół, będzie pochodzić z Południa?

Gdybym wiedział, kto zostanie następcą Benedykta XVI, nie pisałbym tego artykułu, ale sprzedał mieszkanie, oba samochody i jeszcze zaciągnął kredyt. Niestety – nie po to, aby odpowiedzieć na wezwanie Jezusa z Nazaretu i rozdać całą majątność ubogim, ale obstawić u bukmachera. Kłopot w tym, że personalne spekulacje przed konklawe to wróżenie z fusów. Zwłaszcza przed tym konklawe, gdy wyraźnie brak mocnych osobowości wybijających się na pierwszy plan. Co gazeta, to inne nazwiska na liście papabili. Nie brak zresztą typowań zgoła kuriozalnych – na przykład wymieniany z przedmiotnym uporem czarnoskóry kardynał Francis Arinze skończył już osiemdziesiąt lat i stracił prawo głosu na konklawe. A tylko teoretycznie możliwy, ale w praktyce kompletnie nieprawdopodobny jest scenariusz, że zgromadzeni w Sykstyńskim elektorzy wybiorą kogoś spoza własnego grona.

Jako przejaw ignorancji i desperacji potraktować trzeba też chyba fakt, że dziennikarze znowu odkurzyli średniowieczne przepowiednie św. Malachiasza. A właściwie – jak sądzą historycy – fałszywkę z XVI w., która – jak wiele rozpalających wyobrażeń rzekomych prorocत्व – żeruje na wieloznaczności sformułowań. Te pozwalają zaś zręcz-

nym interpretatorom obracać kota ogonem. W przypadku Malachiasza chodzi o krótkie łacińskie sentencje mające ponoć wskazywać kolejnych następców św. Piotra. Moim ulubionym przykładem jest „de medietate Lunae”, co znaczy: z połowy Księżyca. Za tymi słowami miałby się kryć Jan Paweł I, którego nazywano papieżem uśmiechu, a uśmiechnięte usta... przypominają połowę Księżyca. Porażająca argumentacja, nieprawdaż?

W Niemczech, od 1990 r. liczba chrztów spadła o 43 proc., a ślubów o 58 proc. Kościół przeprowadza się na Południe.

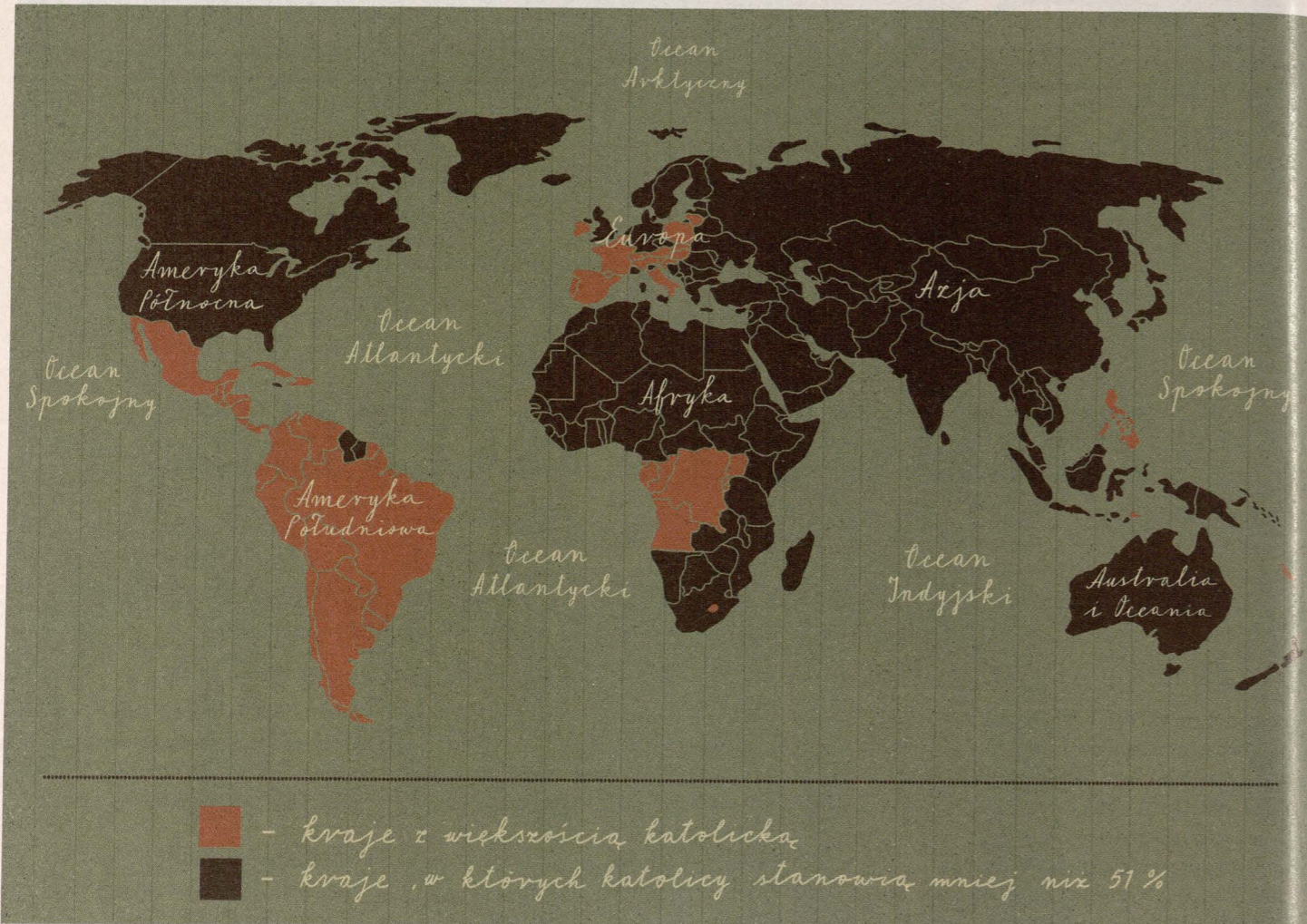
Warto przypomnieć złotą watykańską zasadę: kto na konklawe wchodzi papieżem, ten wychodzi kardynałem. Zresztą w kościelnym świecie bywa identycznie jak w świeckim; rozcześnie, że kardynał X jest murowanym faworytem, służyć może w gruncie rzeczy tylko temu, aby jego kandydaturę skutecznie zatopić. To wszystko jednak nie znaczy, że nakręcana przed konklawe giełda nazwisk jest zupełnie bez sensu. W rankingach odzwierciedla się bowiem odpowiedź na pytanie, jakiego papieża

potrzebuje Kościół – dziś, tu i teraz. Oczywiście diagnozy są różne, ale z informacyjnego chaosu wyłowić można kilka najważniejszych.

Papież spoza Europy

Bóg zmienił adres i wyprowadził się na Południe – takie zdanie usłyszałem w kwietniu 2005 r., tuż po śmierci Jana Pawła II, z ust jednego z wysoko postawionych watykańskich kurialistów. Bo właśnie poza Starym – nomen omen – Kontynentem zaczyna bić serce Kościoła. Na ogół tego nie dostrzegamy, bo chorujemy na europocentryzm. Patrzymy np. na ojczyznę ustępującego Benedykta XVI – i wtedy rzeczywiście trudno nie uderzyć na trwogę. Od 1990 r. liczba katolików uczęszczających na niedzielą mszę zmalała tam o 42 proc., chrztów – o 43 proc., ślubów kościelnych – o 58 proc., a seminarzystów – o 62 proc. To już zakrawa na agonię.

Tyle że w skali całego świata katolików generalnie przybywa, a liczba księży jest dość stabilna i oscyluje wokół 400 tys. Bo Kościół wbrew pozorom nie umiera, zmieniają się natomiast kontynentalne proporcje. Południową półkulę zamieszkuje już ponad połowa katolików, a tylko co czwarty jest Europejczykiem. Podczas gdy w Niemczech, Holandii czy nawet Włoszech puste ko-



kościół sprzedaje się i przerabia na biura albo restauracje, w Afryce i Azji powstają nowe parafie.

Jednak centralne struktury Kościoła w niewielkim stopniu odzwierciedlają zmieniający się układ sił. Wystarczy wziąć pod lupę najbliższe konklawe. Słabnąca Europa dzierży wciąż ponad połowę elektorskich głosów (61). Tymczasem Ameryka Łacińska ma w tym gronie zaledwie 19 purpuratów, Afryka – 11, Azja z Australią – 12. Ale nie jest wykluczone, że szala przeważy się na korzyść kandydata z Południa. To byłby dla katolicyzmu moment przełomowy. I – jak wielu ma nadzieję – nowy zastrzyk optymizmu, pluralizmu i energii.

Papież, który poprawi wizerunek Kościoła

W kwietniu 2005 r. Marco Politi, jeden z czołowych watykanistów, który notabene nie boi się uderzyć w ton krytyczny – podkreślał, że jesteśmy świadkami

wydarzenia bez precedensu w dziejach Kościoła. Otóż przez długie wieki papieństwo było ważnym punktem odniesienia właściwie jedynie dla katolików. Tymczasem Jan Paweł II, czego dowodem i zwieńczeniem była żałoba po jego śmierci, stał się autorytetem globalnym. Z jego głosem nie zawsze się zgadzali, ale w każdym razie liczyli się niemal wszyscy – od protestantów i prawosławnych przez muzułmanów i żydów, hinduistów i buddystów po niewierzących.

Teraz Kościołowi grozi bolesny upadek, zresztą nie z winy samego Benedykta XVI. Z wielką siłą uderzyła nie tyle fala, ile tsunami pedofilskich skandali. Z kolei poufne dokumenty wyciekające z papieskich apartamentów, czyli afera VatiLeaks, upowszechniły obraz Watykanu – po części słusznie, po części przesadnie – jako kłębowiska żmij. Trudno się dziwić tym, którzy dziś spekulują, że to właśnie między innymi seria wizerunkowych porażek podkopała

siłę papieża i przyczyniła się do jego rezygnacji. I chociaż zabrzmi to banalnie, Kościół potrzebuje teraz charyzmatycznego lidera, który w oczach reszty świata odbuduje jego wiarygodność. Znajdzie słowa, argumenty i gesty trafiające do wyobraźni i przekonania współczesnego człowieka, nie tylko wierzącego i praktykującego. Zresztą nawet wewnątrz samego katolicyzmu bezpowrotnie minął już czas, gdy wystarczyło powiedzieć: „Nie, bo nie”.

Papież, który zreformuje rzymską kurię

Od dziesięcioleci kuria, czyli centralny serwer i mózg zarządzający Kościołem powszechnym, czeka na gruntowną przebudowę. Jan Paweł II świadomie zrezygnował z głębokich reform. Zamiast zajmować się administracją, co byłoby czasochłonne i żmudne, wolał głosić Ewangelię. Benedykt XVI, chociaż jako wieloletni prefekt Kongregacji Nauki

Wiary znał kurię od podszewki, też nie forsował zmian. W efekcie dziś palą się już wszystkie lampki ostrzegawcze.

Skutki kurialnych błędów czy zaniechań są opłakane. Pierwszy przykład: burza wokół zdjęcia przez papieża ekskomunikacji z czterech lefebrystowskich biskupów, wśród których znalazł się negujący istnienie nazistowskich komór gazowych bp Richard Williamson. Jak w rozmowie z niemieckim dziennikarzem Peterem Seewaldem przyznał sam Benedykt XVI: „Niestety, nikt od nas nie spojrzął do Internetu i nie dostrzegł, z kim mamy tu do czynienia”. Tak właśnie – nikt w Watykanie nie sprawdził, kim jest Williamson. Nawet go nie wygooglował.

Przykład drugi: w marcu 2009 r. papież leci do Afryki. Na pokładzie samolotu spotyka się z dziennikarzami. Pytany o stanowisko Kościoła w sprawie walki z AIDS odpowiada między innymi, że „nie można zwalczyć plagi przez rozdawanie prezerwatyw: przeciwnie, zwiększają one problem”. Te słowa zderzają się z totalną krytyką. Nie tylko w mediach, np. z dyplomatycznego punktu widzenia dzieją się rzeczy nietypowe – publicznie w polemikę z Benedyktem wchodzi m.in. francuski minister spraw zagranicznych, ministrowie zdrowia z Belgii i Niemiec, hiszpański rząd, premier Luksemburga czy rzecznik UE. Ale dopiero teraz czytelnicy będą musieli zmierzyć się ze sprawą naprawdę trudną do pojęcia: przez kilka dni spędzonych w Kamerunie i Angoli nikt nie informuje papieża o trzęsieniu ziemi,

które wywołała jego wypowiedź. Tak oto pozbawiono go szansy, aby zareagować – i choćby wyjaśnić, co miał na myśli.

Nie będzie łatwo reformować rzymską kurię. To świat zamknięty, rządzący się własnymi prawami i nieufny wobec zmian. Kapitulacja ze strony następcy Benedykta XVI oznaczałaby jednak, że każdego roku pogłębiać się będzie przepaść między zastygłymi strukturami Watykanu i światem przechodzącym kolejną rewolucję mentalną i technologiczną. A sam papież co chwila potykać się będzie o klody, których z jego drogi nie usunie, w najgorszym zaś razie porzuci, sama kuria.

Papież jedności i Ewangelii

Od czasów Soboru Watykańskiego II trwa w Kościele napięcie między konserwatystami i progresistami. Pierwsi chętnie stanęliby w miejscu albo wręcz zrobili krok w tył, drudzy postulują dwa kroki naprzód. W 1978 r. niektórzy komentatorzy zastanawiali się, jaki będzie nowy papież. Czy przyjmie imię Jana XXIV, co oznaczałoby kontynuację kursu otwartego na świat Jana XXIII? A może będzie Pawłem VII, sceptycznym wobec reformatorskich zapędów, podobnie jak jego poprzednik Paweł VI? Jak wiadomo, nowy papież – Albino Luciani – jako pierwszy w historii przyjął imię podwójne, Jana Pawła.

Ta symboliczna decyzja pokazuje, że papież stają ostatnio przed zadaniem skrajnie trudnym: powinni nadać swemu pontyfikatowi wyraziste rysy,

Papież stanie przed dylematem: jak jednoznacznie nauczać, a zarazem nikogo nie wykluczać? Jak iść w ślady Jezusa, który przy jednym stole siadał z celnikami i prostytutkami, a ostry był głównie wobec religijnych hipokrytów?

a jednocześnie nie pogubić owieczek. Tymczasem Kościół ma różnych lokatorów. W Niemczech już nieraz świeccy otwarcie sprzeciwiali się biskupom, w Austrii – liberalni księża weszli niedawno w spór ze zwierzchnikami, prześladowano nawet o schizmie. Z drugiej strony Watykan szuka porozumienia z ultrakonserwatywnymi lefebrystami. A przecież świat wciąż przynosi nowe wyzwania, chociażby w dziedzinie bioetyki – dyskusja o in vitro to dopiero początek. Mówiąc językiem Fredry, przed następcą Benedykta „ambasada diabła śliska”.

W tym kontekście papież stoi jeszcze przed innym dylematem: jak jednoznacznie głosić nauczanie Kościoła, a zarazem nie potępiać i nie wykluczać nikogo z bliźnich? Jak iść w ślady Jezusa, który przy jednym stole siadał z celnikami i prostytutkami, a ostry był przede wszystkim wobec religijnych hipokrytów i przemądrzalców – faryzeuszów i uczonych w Piśmie?

Powiedzmy sobie szczerze: w pewnym sensie wszyscy, nie tylko katolicy, zawsze czekamy na dobrego pasterza, a nie elektrycznego pastucha. ☞

REKLAMA

KRS: 0000097123

1%

Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci

... bo jutro
mnie nie będzie

ROZMAWIA MIKE URBANIAK

Czyta, rozmawia, buduje

Polacy nie czują mięty do książek. Zamiast w gmachu z prawdziwego zdarzenia Muzeum Sztuki Nowoczesnej gnieździ się w byłym pawilonie meblowym. Podobnie jak nagradzany na świecie stołeczny Nowy Teatr Krzysztofa Warlikowskiego z siedzibą w zajezdni śmieciarek. A jednak w kulturze idzie ku lepszemu – upiera się minister **Bogdan Zdrojewski**.

Pozwoli pan, że zacznę od pytania, które przeraża każdego polskiego polityka: co pan ostatnio czytał?

Mnie pan tym nie przerazi. Wczoraj był to Miłosz, wybór poezji. Świetnie wydane wiersze w języku polskim i angielskim. Wcześniej wróciłem do monografii Beethovena.

Ale służbowo pan to czytał czy dla przyjemności?

Wyłącznie dla przyjemności. Biografię Fryderyka Chopina, wydaną z okazji jego roku, czytałem i służbowo, i z naturalnym zainteresowaniem. Dziś służbowo, poza oficjalnymi pismami, czytam także przysyłane scenariusze filmowe. Niestety, te najsłabsze. Dobre przeszły pozytywną weryfikację w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej. Staram się także znać twórczość osób przede mną nagradzanych. Tych najbardziej znanych, ale również debiutantów, jak choćby jeszcze niedawno Dorota Małowska.

Czyta pan w takim razie o wiele więcej niż przeciętny obywatel naszego kraju. Według

badź czytelnictwa połowa Polaków nie bierze do ręki ani jednej książki w roku.

To prawda, czytam sporo. Z czytelnictwem w Polsce rzeczywiście nie jest dobrze. Warto jednak odnotować, iż według najnowszych badań sam proces spadku czytelnictwa został zatrzymany.

Badaj robionych przez kogo?

Przez różne instytucje. Zarówno GUS, jak i wyspecjalizowane instytucje europejskie lokują Polskę co prawda nadal niżej od krajów Skandynawii czy też Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii, ale już nie w końcu tabeli państw Europy. Jesteśmy w środku. Dobrze nie jest, ale proces degradacji polskiego czytelnictwa przy pewnym wysiłku wszystkich stron może wreszcie zostać w sposób trwały przewycożony.

Ale jest jeszcze, panie ministrze, coś takiego jak programy ministerstwa, które mogą pewne rzeczy zmieniać.

Zgadza się. Z tego też powodu każdego roku podnoszę ich znaczenie i zaangażowanie finansowe. To jed-

nak dla resortu zadanie fakultatywne, a nie ustawowe. To, że przywiązuję tak wielką wagę do czytelnictwa, wynika z przekonania, a nie z przepisów prawa. Przypomnę także, że w ciągu pięciu lat prawie potroiłem nakłady na szeroko rozumiane czytelnictwo. Wprowadziliśmy nowy wieloletni program rządowy „Biblioteka+” o wysokiej wartości.

W ciągu kilku ostatnich kilku lat zdigitalizowaliśmy ponad 800 tys. pozycji i z przedostatniego miejsca w Europie wskoczyliśmy na piątą. Do tego dochodzą akcje społeczne, współfinansowane przez ministerstwo, wspomagające promocję czytelnictwa. Mam tu na myśli programy „Cała Polska czyta dzieciom”, „Ojczysty, dodaj do ulubionych”, „Weź kulturę na wakacje” czy ostatnio wielkie czytanie „Pana Tadeusza”.

A co się dzieje z gotowym przecież wieloletnim planem czytelnictwa?

Obywatele Kultury zwrócili się do mnie, żeby datą jego uruchomienia był 1 stycznia 2014 r. Potrzebny jest czas na dodat-

kowe konsultacje i być może korekty. Ministerstwo jest jednak już dziś gotowe. Mało tego, nie czekamy na finalne ustalenia, lecz realizujemy wiele elementów programu, które nie budzą wątpliwości. Rozpoczęliśmy już bój o to, by ratując biblioteki szkolne, dać uczniom szanse korzystania z nich wtedy, gdy mają oni czas na czytanie, czyli w okresie ferii, wakacji. Przypomnę, że dziś biblioteki szkolne są właśnie w tym czasie zamykane.

Tymczasem upadłość ogłaszają kolejne wydawnictwa: Świat Książki, słowo/obraz terytoria. To ostatnie twierdzi, że zostało dobite przez VAT na książki.

5 proc.? Nie sądzę. Zmiany na rynku wydawniczym to efekt bardziej globalnej konkurencji. Myślę także, że przetrwanie na administrację publiczną zasadniczego ciężaru promocji zakupowej nowości wydawniczych jest ścieżką donikąd. To wspólna odpowiedzialność.

Przypomnę też, a propos VAT, że sukcesem zakończyliśmy walkę podję-

Zdrojewski: – Tylko w tym roku prowadzę 200 inwestycji za ponad 1,2 mld zł. W zeszłym było to 800 mln. Dziś mogę spokojnie potwierdzić, iż poważnych problemów finansowych w finale roku 2014 nie przewiduję.

tą w ostatniej chwili, by chronić polski rynek wydawniczy zerową stawką VAT. I to przez maksymalny trzyletni okres finalny. Udało się, choć jedno weto mogło ten sukces zniweczyć. Stawka 5-procentowa to stawka najniższa. Obowiązuje już także na audiobooki. Teraz staramy się również o to, by tą stawką były objęte e-booki.

Panie ministrze, czy nie przeszkadza panu, że Muzeum Historii Żydów Polskich, najważniejsza obecnie budowana w Polsce instytucja kultury, która dodatkowo zajmuje się bardzo ważnym i delikatnym dla naszego kraju tematem, nie ma szefa programowego?

Przeszkadza, ale nie jestem zwolennikiem działania na łąpu-capu. Uważam, że wybranie dyrektora tej placówki powinno się odbyć w ramach międzynarodowego konkursu ogłoszonego przez miasto w porozumieniu z ministerstwem lub odwrotnie. Z mojego punktu widzenia ważne jest, żeby na to stanowisko znaleźć osobę, która łączy funkcję dyplomaty z wiedzą na temat historii i kultury polskich Żydów.

Czy dobrym pomysłem było tworzenie wystawy z darowizn sponsorów? Gdybym przekazał na wystawę parę milionów dolarów, chciałbym mieć na nią wpływ. Myśli pan, że to będzie dobra wystawa?

Nie wiem.

Jakieś obawy?

Oczywiście są i dotyczą raczej tego, czy wystawa nie będzie przegadana albo zwyczajnie nudna, bo skandalem z pewnością nie będzie. Ale im bliżej otwarcia, tym jestem w tej kwestii spokojniejszy i tym bardziej moje obawy maleją. Jeśli pyta mnie pan dzisiaj, czy wystawa będzie znakomita, odpowiem: nie wiem. Kontrowersyjna? Nie sądzę. Mało atrakcyjna? Chyba nie. Czy to był dobry pomysł, by wystawa powstała z darowizn? Zobaczymy po otwarciu. Ale pracowało nad nią 200 naukowców z całego świata i jestem dobrej myśli.

Kiedy muzeum będzie w końcu otwarte?

Od 8 do 12 miesięcy od zakończenia części budowlanej.

Czyli połowa przyszłego roku?

Tak myślę.

Jak się panu podoba polityka kulturalna Warszawy?

Nie oceniam polityki kulturalnej żadnego miasta.

Dlaczego?

Bo to nie przystoi. Jako były wieloletni samorządowiec mogę panu powiedzieć, że nie życzyłbym sobie, żeby mnie recenzował jakikolwiek minister.

W stolicy działają dwa flagowe okręty polskiego teatru: TR Warszawa i Nowy Teatr. Jeden w dziurze w ziemi, drugi w zajezdni śmieciarek. Jeden może zaraz stracić scenę, drugi nie ma jej w ogóle. To chyba naganna sytuacja?

Tak łatwo się nie dam. Mogę natomiast odnieść się do tych konkretnych przykładów i umieścić je w ważnym kontekście.



GRZEGORZ HAWAŁEK

Będę wdzięczny.

Zadne miasto na świecie nie ma tylu scen finansowanych ze środków publicznych co Warszawa. Wszyscy mogą nam zazdrościć takiego zestawu dyrektorskiego: Krzysztof Warlikowski, Grzegorz Jarzyna, Agnieszka Glińska, Maciej Englert, Wojciech Kępczyński, Robert Gliński, Wojciech Malajkat, Tadeusz Słobodzianek. Do tego dochodzą sceny prywatne Krystyny Jandy, Tomasa Karolaka, Emiliana Kamińskiego, Michała Żebrowskiego. Nie zapominajmy też o teatrach prowadzonych przez samorząd wojewódzki i ministerstwo. Oferta teatralna stolicy jest programowo bardzo bogata, ma klasę europejską.

Jeśli chodzi zaś o sytuację finansową, to rzeczywiście wymaga ona mojej interwencji. W zeszłym roku była incydentalna, w tym roku będzie bardziej systemowa. Grzegorz Jarzyna i Krzysztof Warlikowski uzyskają w tym roku podwojenie mojej pomocy na ich aktywność artystyczną. Dostaną pieniądze na nowe spektakle, na eksploatację tych już wyprodukowanych w Polsce i za granicą oraz na programy dodatkowe. Ponadto Narodowy Instytut Audiowizualny otrzyma ode mnie także fundusze na rejestrację spektakli obu teatrów.

A czy z racji swojego znaczenia oba teatry nie powinny być po prostu narodowymi instytucjami kultury?

Nie. Jako minister odpowiadam obecnie za trzy sceny: Teatr Narodowy i Teatr Wielki w Warszawie oraz Teatr Stary w Krakowie. I to już jest, jak na standardy europejskie czy też światowe, za dużo. Nie oznacza to, że mam plany redukcyjne. Szanuję tradycję i uzyskany kompromis. Mam jednak w tej materii swój pogląd: państwo, a więc rząd, powinno odpowiadać konstytucyjnie za jedną instytucję w danej dziedzinie i uczynić z niej wzorcową. Jedną bibliotekę, jedną scenę operową, jedną scenę teatralną, jedno archiwum, jeden obiekt z prawdziwego zdarzenia prezentujący współczesny dorobek sztuk wizualnych i jedynie nieco więcej adresów związanych z dziedzictwem narodowym. Do tego sporo środków finanso-

BOGDAN ZDROJEWSKI

rocznik 1957. Polityk, samorządowiec, senator i poseł. W latach 1990–2001 był prezydentem Wrocławia. Od 2007 r. stoi na czele Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

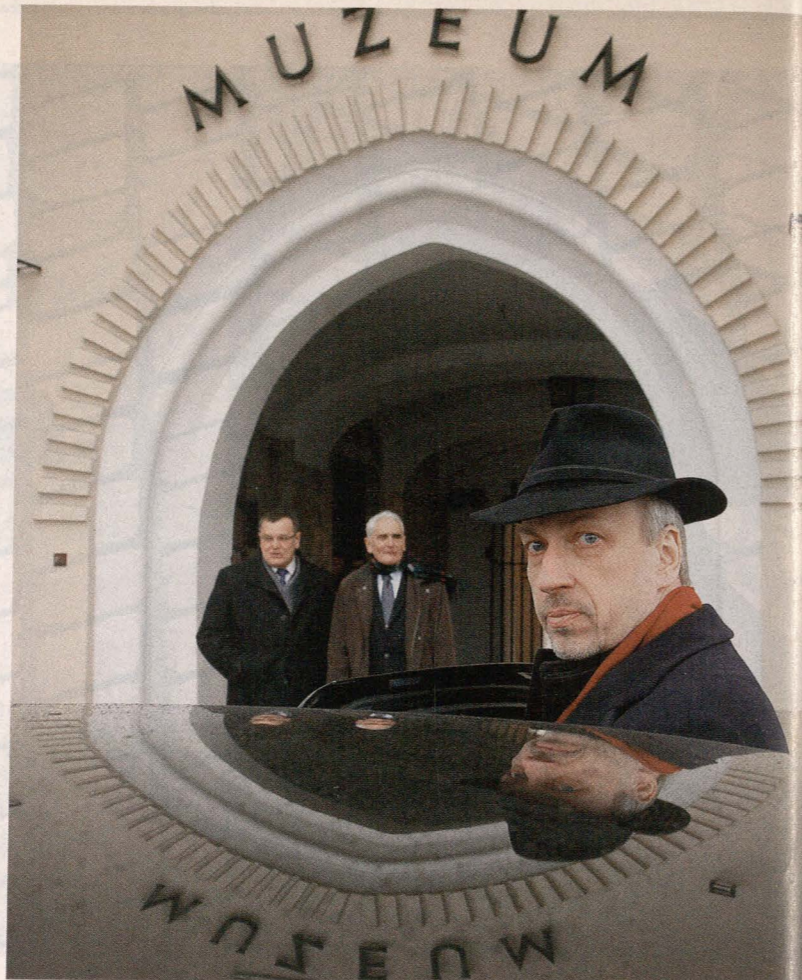
wych na wspieranie projektów innych organizatorów, w tym prywatnych. Przypomnę także, wracając do pańskiego pytania, że Grzegorz Jarzyna miał szansę ubiegać się o dyrekturę Narodowego Starego Teatru w Krakowie, ale wybrał TR i Warszawę. Według mojej oceny słusznie.

Dyrektorem Starego mianował pan w końcu Jana Klatę. To jedna z pańskich błyskotliwych i odważniejszych nominacji.

Nie wszyscy tak uważają.

A w Teatrze Narodowym będą jakieś zmiany?

Ta scena szykuje się do jubileuszu 250-lecia, który będzie za dwa lata, i do tego czasu Jan Englert pozostanie dyrektorem. Pełni tę funkcję bez zarzutu. Potem ogłoszę konkurs albo sam podejmę decyzję i chcę pana zapewnić, że będzie tak samo odważna jak ta krakowska. Jeśli oczywiście dożyje do tego czasu w ministerialnym fotelu. (Śmiech)

Skoro jesteście przy teatrze i personaliach, to w tym roku kończy się kontrakt Macieja

MACIEJ NOWAK

Nowaka, który kieruje Instytutem Teatralnym. Czy będzie przedłużony?

Dzisiaj nie wykluczam żadnej alternatywy. Istnieje więc zarówno możliwość zawarcia nowego kontraktu z panem dyrektorem Maciejem Nowakiem, jak i wyboru nowego szefa placówki. Dla mnie zawsze ważniejsze są rozmowy o przyszłości samego instytutu i jego znaczeniu dla funkcjonowania teatru w Polsce.

Obecna sytuacja, jeśli chodzi o debatę w teatrze, jest fenomenalna i ona będzie określała pozycję i perspektywę instytutu, który w tym roku musi sformułować program na następnych kilka lat. Adres instytutu oraz jego program będą musiały wiązać się z określoną osobowością i gwarancjami na właściwą opiekę nad jednym i drugim.

A co pan myśli o Muzeum Sztuki Nowoczesnej?

To jest bez wątpienia najważniejsze obecnie zadanie administracji publicznej w obszarze kultury w Polsce. Zbudowanie MSN to wyzwanie i zadanie

numer jeden. Jestem przekonany, że to muzeum powstanie, i jestem gotowy do pomocy w tej kwestii, choć dzisiaj główny ciężar leży po stronie Warszawy. Myślę, że konkurs na nowy budynek zostanie ogłoszony w tym roku i w ciągu kilku lat w końcu gmach zostanie zbudowany, bo Warszawa bez wątpienia musi mieć przestrzeń na sztukę nowoczesną o wielkim znaczeniu i prestiżu. Chciałbym też wzmocnić środowisko sztuk wizualnych poprzez organizację międzynarodowego triennale sztuki. Pierwsze powinno się odbyć w stolicy w roku 2015.

Pan dużo buduje?

Tylko w tym roku prowadzę 200 inwestycji za ponad 1,2 mld zł. W zeszłym było to 800 mln. Zbudowana już została między innymi Opera Podlaska, Filharmonia w Kielcach, przebudowano Filharmonię w Opolu, Częstochowie, Teatr Stary w Lublinie, amfiteatry w Opolu, Sopocie. Wspomagamy budowę Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu, siedziby Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, Teatru Szekspirowskiego w Gdańsku. Mnóstwo instytucji przechodzi generalne remonty, prowadzę inwestycje w niemal wszystkich uczelniach artystycznych, także w szkołach muzycznych i plastycznych w całej Polsce. Nigdy nie było tylu inwestycji w kulturalną infrastrukturę.

Będzie miał kto te pałace próżności utrzymywać? Opera Podlaska kosztowała ponad 230 mln zł, roczny koszt jej funkcjonowania to 30 mln. Województwo podlaskie zbudowało sobie instytucję, na której utrzymanie go nie stać.

Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiłem, kiedy zostałem ministrem kultury, był objazd całej Polski i liczenie kosztów planowanych inwestycji. W efekcie skreśliłem wiele projektów, które nie miały szans na realizację głównie z powodów ekonomicznych.

Opera Podlaska została zweryfikowana i mocno uskromniona, i to nie w jakości samego projektu, ale właśnie zobowiązań stałych. Żmudna praca przyniosła pozytywny efekt. Dziś mogę

spokojnie potwierdzić, że poważnych problemów finansowych w finale roku 2014 nie przewiduję.

Julita Wójcik, odbierając tegoroczny Paszport „Polityki”, zaapelowała do pana o zajęcie się problemem ubezpieczeń zdrowotnych dla artystów, którzy często ubezpieczeni nie są. To już kolejny apel do pana w tej sprawie. Czy coś ruszyło?

Szukam rozwiązań, ale to nie jest prosta sprawa. Nawiasem mówiąc, adresatem tych postulatów nie powinien być minister kultury, tylko minister pracy i polityki społecznej Władysław Kosiniak-Kamysz, z którym oczywiście o tym rozmawiałem. Problem jest wielowarstwowy, a protestujący w różnym czasie ludzie

☞ Kiedy minister środowiska jedzie za granicę, to ogląda oczyszczalnie ścieków albo wysypiska śmieci. A mnie to jednak wiozą do La Scali.

sztuki konkretnych pomysłów na jego rozwiązanie nie przedstawili. Padła na przykład propozycja, żeby artyści dostawali takie świadczenia jak medaliści olimpijscy. Proszę mi tylko wskazać, co jest odpowiednikiem olimpiady w kulturze. Nie mówiąc już o tym, że najczęściej ci, którzy te najważniejsze nagrody otrzymują (Nobla czy Oscara), od tego momentu nie potrzebują pomocy państwa. Na razie jedynym sensownym rozwiązaniem wydaje się utworzenie specjalnego funduszu, którym dysponowałoby zewnętrzne gremium powoływane przez ministra kultury i które operowałoby środkami przeznaczonymi na wsparcie dla potrzebujących artystów, stałe i doraźne. Innego pomysłu na razie nie ma.

Powolał pan niedawno Radę ds. Instytucji Artystycznych. To są jakieś spotkania przy kawce czy rada ma konkretne zadania?

Chciałbym, żeby rada dostawała określone informacje o kulturze i je przetwarzała, służąc wiedzą i doświadczeniem,

zarówno mnie, jak i środowisku. Mam wrażenie, że moja wiedza o mechanizmach dziś funkcjonujących, prawach rynkowych, ale też specyfice działalności w obszarze kultury jest rzeczywiście spora. Ale jednak niepełna. Każdego dnia rozmawiam z szefami wielu instytucji kultury i samymi artystami. Rozmowy tego typu gremiów decyzyjnych prowadzone z moim udziałem to specyficzne forum rozmaitych konfrontacji. Mam nadzieję, że pozytywnych.

A jak wyglądają konfrontacje z kulturalną ofertą programową mediów publicznych?

Gdyby miał pan teraz wymienić programy kulturalne emitowane w telewizji lub radiu publicznym w roku 2012, to z dużym prawdopodobieństwem byłyby to projekty wspierane środkami Ministerstwa Kultury: Teatr Telewizji, „Wszystko o kulturze”, „Kultura, głupcze!”, „Informacje kulturalne”, „Hala odlotów” i tak dalej. Oczywiście dają także pieniądze na produkcję filmów dokumentalnych, transmisje koncertów i festiwali, nawet na program o książkach w TVN. To samo z radiem. Szczególne wsparcie ministerstwa ma Dwójka, której przekazujemy środki na przykład na słuchowiska dla dzieci.

Dodam na marginesie, że oferta kulturalna dla najmłodszych jest dla mnie bardzo ważna. Żadna instytucja publiczna nie może ubiegać się o wsparcie finansowe, jeśli nie ma oferty dla dzieci. A wracając do mediów publicznych, w bieżącym roku otrzymają wsparcie w wysokości minimum 15 mln zł na kontynuację wartościowych programów. To oczywiście sytuacja nadzwyczajna, a nie systemowa. Wspieram działania na rzecz kultury, a nie same media.

Tak sobie myślę, że ma pan całkiem przyjemną pracę.

Nie jest to łatwy resort, ale kiedy minister środowiska jedzie za granicę, to ogląda oczyszczalnie ścieków albo wysypiska śmieci, minister rolnictwa pewnie ubojnie. A mnie to jednak wiozą do La Scali (śmiech). ☞

MARIANNA SASKA

Zapuszczanie korzeni

Etyka pracy, łatwość, z jaką się asymilują, pyszna kuchnia. To tylko kilka skojarzeń, jakie wymieniają dziś Brytyjczycy pytani o polskich sąsiadów. W Londynie, Edynburgu, Liverpoolu, Nottingham i Birmingham mieszka już 521 tys. Polaków, a polski stał się drugim po angielskim językiem, którym najczęściej posługują się mieszkańcy Wysp.

POLSKI SKLEP SPECIALITY FOODS



Przyjechałam do Szkocji z tzw. pierwszą falą emigracji, czyli zaraz po wejściu Polski do UE. Jechałam w ciemno. Nie miałam ani pracy, ani miejsca do spania. Znalazłam zajęcie po trzech dniach. Gorzej było z mieszkaniem, ale chociaż kilkakrotnie się na to zносиło, nie spałam w parku na ławce. Byliśmy wtedy nowi. Znajoma Szkotka, z którą na początku pobytu pracowałam w restauracji, powiedziała mi: „To bardzo dziwne. W centrum miasta wszędzie słychać jakiś obcy język, którego w ogóle nie potrafię rozpoznać”. Okazało się, że to polski.

To było latem 2004 r. Dzisiaj, według ogłoszonych w ubiegłym tygodniu przez Brytyjczyków danych, polski jest drugim po angielskim najczęściej używanym językiem w Anglii, a w Walii ustępuje tylko walijskiemu i angielskiemu. O tym, że polski zdeklasował udu i punjabi, wiedzą już nawet Hindusi mieszkający poza Wielką Brytanią. Na Wyspach mieszka w tej chwili ponad pół miliona Polaków. W ubiegłym roku Polki urodziły tu ponad 20 tys. dzieci. Brytyjskie supermarkety: Sainsbury's, Tesco, Waitrose, sprzedają polskie jedzenie. Nasze specjalności powoli zyskują wśród Brytyjczyków rangę smakołyków z kontynentu. A jeszcze kilka lat temu Brytyjczycy obawiali się, że sprzątnięmy im sprzed nosa pracę. Dziś w oficjalnej kampanii PR-owskiej rządu adresowanej do Bułgarów i Rumunów, których spodziewają się tutaj w przyszłym roku po otwarciu rynku pracy, Polaków stawia się za wzór.

Przez żołądek do serca

Raymond Raszkowski Ross, szkocki scenarzysta i wykładowca akademicki polskiego pochodzenia, ocenia, że najmłodszej fali polskiej emigracji szlaki przetrzała ta wojenna, złożona z żołnierzy, którzy po wojnie nie mogli wrócić do Polski. – Prawie każdy Brytyjczyk starszego pokolenia zna tych dawnych

Polaków, a wielu ma polską krew. Polscy żołnierze wsiąkli w brytyjskie społeczeństwo. Niektórzy nie mogli sprowadzić rodzin. Wzlenili się więc w (głównie katolicką) lokalną społeczność – wyjaśnia Raszkowski Ross.

Dzisiaj znowu polska kultura miesza się z brytyjską, ale tym razem to my wieramy większy wpływ. I wiele wskazuje na to, że dzieje się to nie za pośrednictwem polskiego kina, literatury czy teatru, którego zresztą coraz więcej na Wyspach, ale kuchni.

Większość supermarketów sprzedaje polskie produkty, takie jak pierogi, wędliny, soki i słodycze. Oprócz tego dobrze funkcjonują mniejsze polskie sklepy, tzw. Polish Deli. Polskie piwo jest dostępne w prawie każdym supermarkecie i sklepie z alkoholami. Napotkany niedawno w polskiej kawiarni Brytyjczyk zachwycił się naszym wkładem w wyspiarską gastronomię: – To przyjemne przejść się ulicą i znaleźć alter-

Brytyjczycy zaopatrują się dziś w polskich sklepach, a w supermarketach nasze specjalności leżą obok szynki parmeńskiej i jamón serrano.

natywę dla tych wszystkich brytyjskich knajp z tłustym żarciem i nijakich sklepów z kanapkami.

Brytyjczycy rzeczywiście zaczynają chwalić sobie polską kuchnię. W supermarketach nasze kabanosy można znaleźć na półkach obok specjalności takich jak włoska szynka parmeńska i hiszpańskie serrano.

Stwierdzenie, że polska kuchnia podbija Wielką Brytanię, byłoby wciąż grubą przesadą, ale zaczynamy być zauważani. Polish Deli odwiedzają coraz częściej nie tylko Polacy, lecz także żądni kulinarnych przygód Brytyjczycy. Zwłaszcza w Londynie na każ-



W brytyjskich miastach, zwłaszcza w Londynie, na każdym kroku można trafić na polskie delikatesy, bary, a nawet ekskluzywne restauracje. Polacy mają swoje media i księgarnie.

dym kroku trafić można na polskie bary, kawiarnie, a nawet ekskluzywne restauracje.

Krytyk kulinarny Oliver Tring w recenzji londyńskiej restauracji Gessler at Daquise na Thurloe Street napisał: „Dla imigrantów domowa kuchnia jest zawsze sanktuarium narodowej tożsamości. Ale im dłużej zostają, tym bardziej nowy kraj wchłania ich jedzenie. Jednak w przypadku polskiej kuchni nie chodzi tylko o osmozę. Brytyjczycy polubili polskie jedzenie ze względu na jego swojskość, elementarną przyjemność, jaką sprawia pieczony na ogniu prosiak i ziemniaki. To doskonale pasuje do naszej mokrej i wietrznej tożsamości”.

Lata tłuste i chude

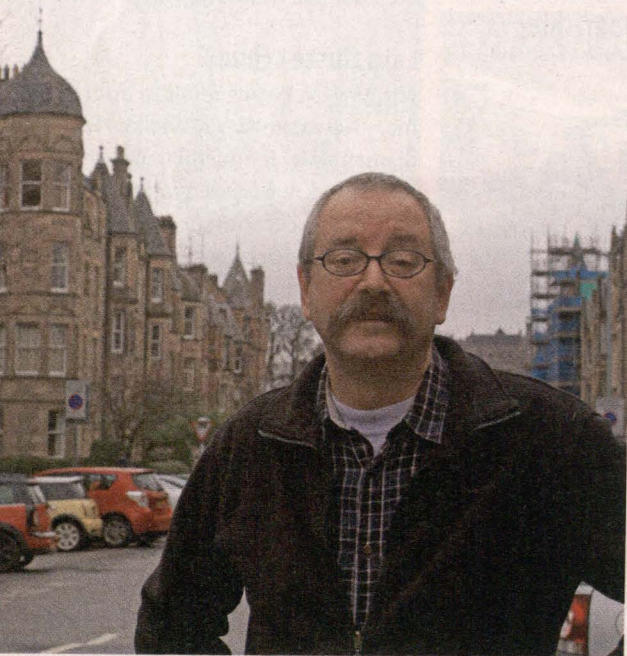
Nie zawsze Polacy mieli tu dobrą opinię. – Nasza sytuacja w Wielkiej Brytanii diametralnie się zmieniła – mówi Dawid Bambynek, zastępca dyrektora czterogwiazdkowego hotelu w Edynburgu. – Ci, którzy przyjechali na początku, przecierali szlak i mieli najtrudniej. Założenie konta, załatwianie formalności, dosłownie ze wszystkim były problemy. Teraz w bankach są polskie okienka, powstały strony internetowe, które krok po kroku pokazują, co zrobić po przyjeździe, działają fora założone przez pierwszych imigrantów.

Polacy są w Szkocji wszechobecni. Już nawet nie zwracam uwagi na to, że ktoś obok mnie mówi po polsku. Tubylcy też zdają się traktować nas jak swo-

ich. Ale wcale nie było tak, że po wejściu do Unii z roku na rok działo się lepiej. Około 2006 r. wyraźnie się Brytyjczykom przejedliśmy. Coraz częściej można było spotkać się z negatywnymi opiniami na temat Polaków. – W tym czasie zaczęli masowo przyjeżdżać polscy cwaniacy, którzy nadszarpnęli dobrą opinię, na którą pracowaliśmy – wspomina Dawid.

Potem nastąpił światowy kryzys i do brze płatnej pracy nie było, nie tylko dla Polaków. Ambicję trzeba było schować do kieszeni. Zaraz po skończeniu studiów miałam trochę wolnego czasu przed rozpoczęciem „dorosłej” pracy i pojechałam do Edynburga na kilka tygodni. Zgłosiłam się do agencji pracy tymczasowej, dla której kelnerowałam jeszcze za czasów studenckich. Okazało się, że jedyna praca, jaka dla mnie została, to zmywanie naczyń w domach spokojnej starości. Zaciśniełam zęby i stanęłam za zmywakiem (czasami obierałam marchewkę). Miałam już wtedy dyplom magistra Uniwersytetu Warszawskiego.

Raymond Raszkowski Ross, szkocki scenarzysta i wykładowca akademicki, narzeka, że młoda emigracja nie interesuje się historią i kulturą.



MARIANNA SASKA

Dawid Bambynek też zaczynał swoją karierę w Szkocji po studiach magisterskich. Pracował jako kelner w kasynie, co, jak mówi, wcale nie było dla niego łatwe do przełknięcia. Miał jednak jasno określony cel, do którego dążył za wszelką cenę: nocami pracował w kasynie, rano chodził do college’u, spał po dwie godziny. Do tego raz w miesiącu latał do Polski na studia podyplomowe na SGH. – Polacy są gotowi podjąć pracę, której Brytyjczykom po prostu nie chce się wykonywać. Dzięki pomocy socjalnej miejscowi mogą dostać od rządu tyle pieniędzy, że wystarczy na skromne życie. Dlatego wolą zostać w domu. Mimo to często się słyszy, że zabieramy pracę Brytyjczykom, bo jesteśmy tanią siłą roboczą. Bzdura. Płacą nam tyle samo. Wymaga tego prawo, a Brytyjczycy są legalistami – przekonuje Bambynek.

W końcu także Polacy nauczyli się korzystać z socjalu, co zresztą zarzucają im od czasu do czasu brytyjscy publicyści. Z 371 tys. obcokrajowców pobierających zasiłki dla bezrobotnych prawie 14 tys. to Polacy. Na dzień przed terminem składania zeznań podatkowych, wybuchła afera dotycząca zasiłków na dzieci. Okazało się, że 50 tys. maluchów mieszkających na stałe poza Wielką Brytanią dostaje pieniądze od brytyjskiego rządu, a ich rodzicom przysługują ulgi podatkowe. Ponad połowa tych dzieci mieszka w Polsce.

Polskie getta to rzadkość

W niedzielę, po mszy w katolickiej katedrze, spotykam się w przytulnej, przykościelnej kawiarni z panią Izabelą Brodzińską, która od 16 lat jest prezesem Scottish Polish Cultural Association. – Nowa polska fala emigracji bardzo dobrze zrobiła Szkocji. Byliśmy tu zresztą gorąco zapraszani. Szkocja zaczynała być krajem emerytów, brakowało rąk do pracy, zwłaszcza w gastronomii. Nie mówiąc już o kościołach,

które świeciły pustkami, a teraz są wypełnione przez młodych Polaków. Ważne, że nasi rodacy zaczynają się tu czuć jak u siebie, zakładają rodziny, polskie szkoły i pracują w swoich zawodach – mówi Brodzińska.

Chociaż powszechnie uważa się, że integrujemy się z Brytyjczykami, a oni sami nas za to chwala, są i rodacy, których asymilacja nie interesuje. Powielają stereotyp Polaka nieznającego angielskiego, zatrudnianego do najcięższych fizycznych prac. – Istnieją grupy i rodziny zapraszane tutaj przez innych Polaków, którzy tworzą swoiste getta. Takie osoby pracują razem, mieszkają obok siebie i zdarza się, że po kilku latach pobytu nadal nie umieją mówić po angielsku. Ale nie jest to powszechne zjawisko. Nie mamy tu do czynienia z zamkniętą społecznością – mówi Dawid.

Polacy w Wielkiej Brytanii nie tworzą dzielnic w stylu amerykańskiego Jackowa czy Greenpointu. Na ulicy Leith Walk w Edynburgu mieszkają co prawda wielu naszych rodaków, mają swoje sklepy, kawiarnie, a nawet księgarnię, ale są wymieszani z miejscowymi i innymi obcokrajowcami.

W całym kraju znajdziemy zresztą miejsca, w których jest szczególnie dużo skupisk Polaków. Tradycyjnie już mowa tu o zachodnim Londynie, Liverpoolu, Birmingham, Nottingham i Slough, ale powstają też nowe centra, np. w Carlisle i na północy Szkocji. W Southampton, na południu Anglii prawie 10 proc. mieszkańców to Polacy.

Polscy Szkoci, szkoccy Polacy

Na Wyspach nie brakuje polskich stowarzyszeń organizujących wystawy, przedstawienia i inne wydarzenia związane z promocją polskiej kultury i tradycji, ale tzw. nowa emigracja raczej z tej oferty nie korzysta. Raymond Raszkowski Ross wystawił w zeszłym roku sztukę o niedźwiedziu Wojtku, który razem z polskimi żołnierzami z armii Andersa



Dawid Bambynek: Polacy są w Szkocji wszechobecni. Już nawet nie zwracam uwagi na to, że ktoś obok mnie mówi po polsku. Tubyłcy też zdają się traktować nas jak swoich. Powszechnie uważa się, że integrujemy się z Brytyjczykami, oni sami nas za to chwala.

MARIANNA SASKA

pensja. Tej bariery nie dało się przeskoczyć. – Liczyłem się z niższymi zarobkami, ale nie na taką skalę. To jednak nie znaczy, że zamykam się na Polskę. Chętnie spróbuję jeszcze raz, jeśli nadarzy się taka okazja. Problem w tym, że ja chciałbym przenieść się do Polski, ale moja dziewczyna, Polka, wcale nie ma na to ochoty – przyznaje Kelso.

Za to turystyka w kierunku wschodnim kwitnie. Brytyjczycy są jednym z narodów, który najliczniej odwiedza Polskę. Być może to właśnie polska obecność w Zjednoczonym Królestwie wywołuje u nich ciekawość naszego kraju. Jedna z klientek polskich delikatesów napisała: „Właśnie wróciłam z Polski i mam obsesję na punkcie waszej kuchni. Niestety, przygotowywanie potraw samemu, gdy za oknem leje deszcz, ma się nijak do spędzania czasu w kawiarence na krakowskim rynku”.

Polak jak nowy

Raz na jakiś czas na Wyspach wybucha skandal, który dociera do Polski. Nasze media biją na alarm: w Anglii śmieją się z Polaków! Rzeczywiście, niektóre dowcipy są mało wyszukane. Ale warto pamiętać, że Wielka Brytania to kraj komedii, stand-upów i rozrywkowych quizów. To w końcu jedyne w swoim rodzaju poczucie humoru. Dlatego nie można się obrażać. W publicznej telewizji BBC opowiada się dosadne dowcipy na temat królowej, która jest przecież nie tylko głową państwa, ale i Kościoła. Nie ma tematów tabu.

– Jest taki bardzo śmieszny skecz („Armstrong and Miller Polish Plumbers” – red.) o tym, jak dwóch brytyjskich hydraulików udaje Polaków, bo inaczej nie znajdą pracy. Kiedy kilka lat temu go zobaczyłem, bardzo się ucieszyłem. Zdałem sobie wówczas sprawę, że powstaje nowy, pozytywny stereotyp Polaka, który solidnie wykonuje swoją pracę i jest za nią ceniony – konkluduje Raszkowski Ross. ☞

walczył pod Monte Cassino, a po wojnie trafił do Szkocji. Ross wspomina, że na jego sztukę przyjeżdżali Polacy z całego kraju, z dziećmi i wnukami. – Niestety, młodzi emigranci nie dopisali. Może ta obecna fala emigrantów nie jest zainteresowana teatrem? – zastanawia się Ross.

Czy możliwe, że nie interesuje się też historią? To starszemu pokoleniu emigrantów nie mieści się w głowie. – Przecież starsi Brytyjczycy bardzo dobrze wspominają polskich żołnierzy. Pracowali ciężko fizycznie, bo nie znali języka, ale to się zmieniało, zdobywali wykształcenie, zakładali biznesy – wspo-

mina Izabela Brodzińska. – Zresztą nie zawsze emigracja odbywała się tylko w tę stronę. W XVI i XVII wieku, w czasie represji religijnych skierowanych przeciwko katolikom, bardzo wielu Szkotów wyemigrowało do Polski. Czasem zastanawiam się, ilu dzisiejszych emigrantów to ich potomkowie – dodaje Brodzińska.

Zresztą i dziś emigracja mogłaby się odbywać w dwie strony. William Kelso, analityk finansowy w dużym banku, był w Polsce wielokrotnie. Starał się nawet o pracę. Niestety, zaproponowane mu wynagrodzenie było prawie czterokrotnie niższe niż jego ówczesna brytyjska

JERZY ZIEMACKI, ILUSTRACJE KAROLINA KOTOWSKA

Klient nasz fan

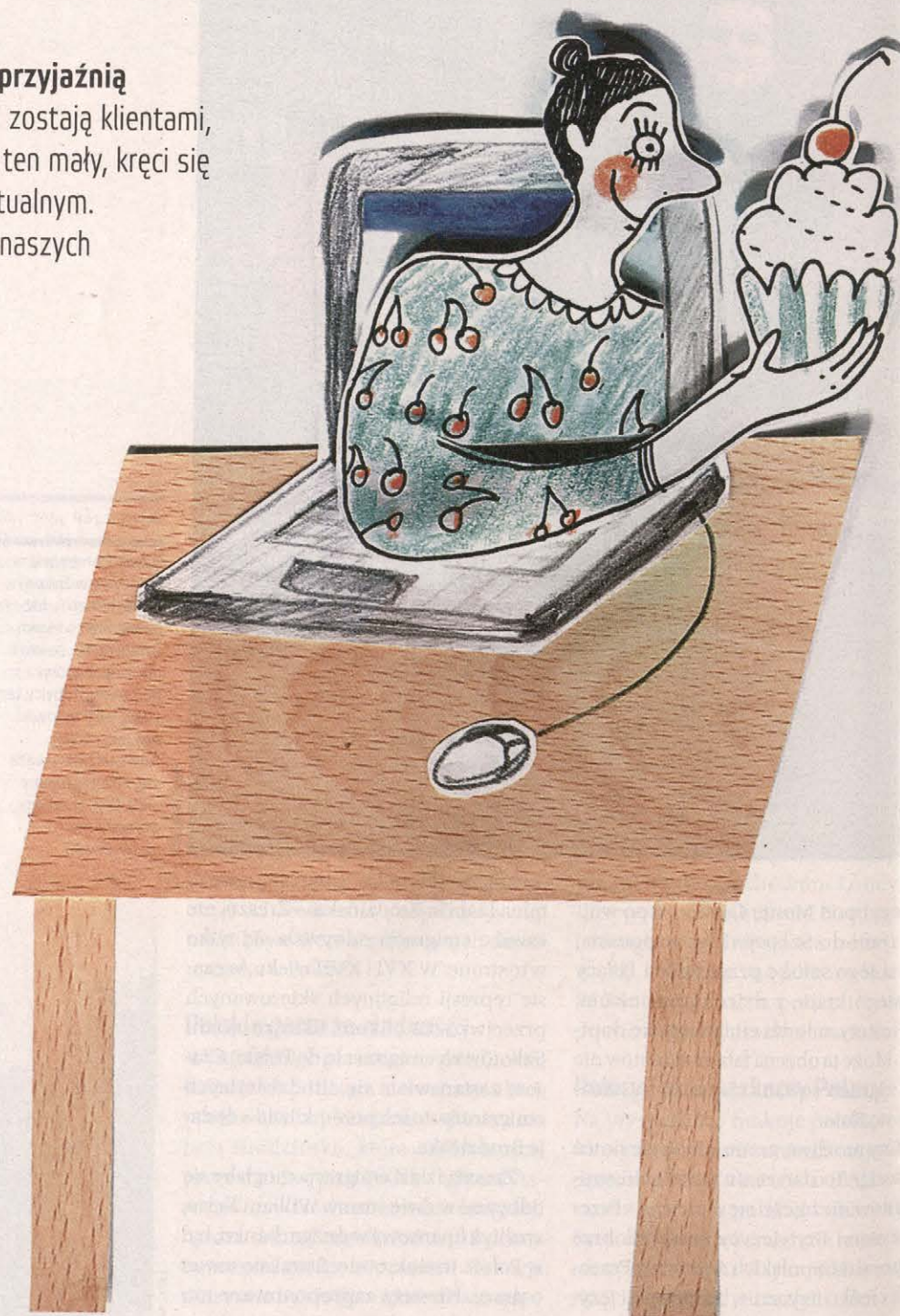
Na Facebooku granice między przyjaźnią a biznesem nie są wyraźne. Fani zostają klientami, klienci fanami. Biznes, zwłaszcza ten mały, kręci się dzięki przyjaciółom: realnym i wirtualnym. Jaką wybrać strategię? Oto kilka naszych przykładów i podpowiedzi.

W ostatnich trzech latach wiele firm zbudowało swoją markę dzięki portalom społecznościowym. Małe przedsiębiorstwa traktują Facebooka jako najlepsze miejsce promocji produktów i usług. Znajomości przekładają się tu na sukcesy w życiu. Sukcesy przekładają się na kolejne znajomości. A znajomości na dalsze sukcesy. Tak to działa.

O własną markę walczą również artyści, którzy wykorzystują Facebooka do prezentowania twórczości, zakładają tutaj wirtualne galerie. „Przekrój” zapytał polskie projektantki mody, cukierniczki i wybitną artystkę o ich relacje z fanami, internetowe kariery i sukcesy. Jak to działa?

Magia ryzyka

Życie jest fajne, ciuchy są fajne i fajnie jest robić fajne rzeczy. Taką prostą filozofię mają przyjaciółki Antonina i Klara, trzydziestolatki z Warszawy. Zawsze uśmiechnięte. Pracują razem w wydawnictwie. Antonina robi wywiady z projektantami Gucciego, Diesla, Love. Klara po pracy bawi się w krawiectwo. Ciuchy to ich hobby. Szczególnie upodobały sobie jeden materiał: dres, szary dres. I właśnie z dresu zaczynają szyc: bluzy, bluzki, tuniki i sukienki. Jest początek 2012 r. Życie jest fajne, dresy są fajne i fajnie jest dzielić się



z ludźmi tym, co się robi. Dlatego zakładają fanpage Risk. Made in Warsaw.

Wśród znajomych wybucha wielki entuzjazm. Lajkują. Udostępniają. Piszą pozytywne komentarze: „Te wasze ubranka są cudne”, „Serce mi rośnie, jak patrzę na te zdjęcia”, „Bardzo stylowe”. Najczęstszy komentarz: „Lubię to i chcę mieć to!”. Z tygodnia na tydzień coraz więcej pragnie „mieć to”. Już nie tylko znajomi, ale znajomi znajomych, znajomi znajomych znajomych, tajemniczy nieznajomi... Antonina i Klara zakładają firmę. Tworzą markę modową Risk. Made in Warsaw. Zwalniają się z pracy. Do pomocy zatrudniają krawcowe. Zaczyna się produkcja, zbieranie zamówień, wysyłka.

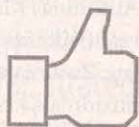
Oprócz stylowych ubrań tworzą magiczną atmosferę na fanpage'u. Codziennie wrzucają zdjęcia zrobione przez siebie lub zaprzyjaźnionych fotografów. Na tych fotkach życie jest fajne i ciuchy są fajne. Miękkie, bawełniane, szary dres staje się symbolem wygody, luzu i słodkiej nonszalancji. Przez rok strona zyskuje kilka tysięcy fanów. Fanpage zyskuje prawdziwych entuzjastów marki. Czekać na nowości, lajkują, komentują, prowadzą dyskusje, wymieniają opinie. Współtworzą markę. Sami siebie nazywają szarą eminencją (bo kochają szary dres).

Mija rok od debiutu. Zamówień jest coraz więcej. – Szyjemy szalik. Wrzucamy zdjęcie na Fejsa. W godzinę mamy trzysta lajków. To znaczy, że szaliki bardzo się podobają. Trzeba będzie ich uszyć kilkadziesiąt – tłumaczy prosty mechanizm produkcji Antonina. Jak mówi: – Traktujemy naszych fanów jak dobrych znajomych. Bardzo się wszyscy lubimy. Podkreśla, że prowadzenie strony na Facebooku jest czasochłonne. Jest jak praca na etacie. Trzeba być stale na bieżąco, bo ludzie szybko się nudzą. Warto ich słuchać, interesować się ich opinią, dbać o dobre relacje.

Warto, bo jak wyjaśnia Antonina: – Nasi fani to entuzjaści. Piszą do nas, przesyłają zdjęcia, wpadają na eventy. Są entuzjastami naszych projektów, ale również specyficznego, życiowego flow,

które jest nam wszystkim wspólne. Czujemy, że życie jest fajne, nasze ciuchy są fajne i fajnie jest robić fajne rzeczy. Dzięki sesjom modowym, w których występują znajomi, dzięki klientom, którzy codziennie przysyłają zdjęcia, na których są ubrani w dresy Risk, strona jest nieustannie w ruchu.

Fanpage Risk. Made in Warsaw ma już 10 tys. fanów.



Słodkie zwycięstwo

Siostry Weronika i Paulina trzy lata temu otworzyły cukiernię artystyczną. Zrobiły furorę słodkimi muffinami z dekoracjami. Do ich cukierni nie można wejść: nie ma lady, stolików, krzeseł i salatek. Jest tylko pracownia ukryta w kamienicy i strona SoSweetProject. – Naszym głównym kontaktem z klientami jest Facebook. Na razie całkowicie nam to wystarcza – przekonuje Ania. Od rana ich pracownia na stołecznym placu Konstytucji pachnie biskoptem, czekoladą i wanilią. A fanpage zbiera dziesiątki lajków.

Fani oglądają zdjęcia artystycznych cupcake'ów. Lajkują, udostępniają, piszą komentarze. Bo ciasteczka mają wyszukany design: wyglądają jak postać



z kreskówki, mają napis lub logo, wyrażają uczucia: śmieją się, są smutne, zawstydzone lub zdrosne. To swoiste rękodzieła do jedzenia. Siostry wymyślają wzory, dobierają szczegóły, dbają o detale ciastek, ciasteczek i ciast. Po wyjęciu ich z piekarnika robią zdjęcia i wrzucają na tablicę.

Na Facebooku starają się być cały czas. Odpowiadają na każdy wpis, prowadzą rozległą korespondencję, na bieżąco informują o wydarzeniach i planowanych imprezach. Tworzą rodzinny klimat na stronie. Dzięki Facebookowi udaje im się nawiązać współpracę barterową z innymi firmami. Poznają coraz to nowych ludzi. Ale te znajomości nie są chłodne jak biznesowe znajomości zawierane w biurach, korporacjach, urzędach, wydawnictwach. Te facebookowe znajomości wynikają ze wspólnej pasji i wzajemnego zaufania.

Ciastka doręczają na terenie Warszawy, jeszcze ciepłe. Siostry pogodziły się już z tym, że mają więcej zamówień, niż mogą zrealizować. Cukiernia artystyczna nie ma schematycznego formularza dla klientów. Ludzie piszą wiadomości. A gdy dzielą się z Weroniką i Pauliną pomysłami, siostry starają się je zrealizować.

Pracują we dwie. Wszystko robią same. Facebook działa błyskawicznie. Zadowoleni klienci piszą komentarze zaraz po zjedzeniu ciasteczka. Niektórzy robią sobie zdjęcia ze słodyczami, zanim je zjedzą, i wrzucają fotkę na fanpage SoSweetProject.

Po roku działalności, w maju 2011 r., siostry postanowiły urządzić



urodziny internetowej cukierni. Utworzyły na Fejsie wydarzenie otwarte. Dla wszystkich. Nad Wisłę, na piknik pod chmurką, przyszło wtedy kilkaset osób. Paulina była zaskoczona. Ludzie, których znała dotychczas jako internetowe awatary, teraz ściskali jej ręce, gratulowali, przynosili prezenty. – Byłam bardzo wzruszona. Ludzie przez rok istnienia strony bardzo się z nami zżyli. Czuję, że traktują nas jak dwie siostry, a nie jak dwuosobową firmę. To było dla mnie przełomowe doświadczenie – wspomina Paulina.

Fanpage SoSweetProject ma już ponad 28 tys. fanów.



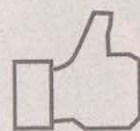
Artyści

– Mój fanpage założył w 2009 r. Assaf Kintzer, anarchista z Izraela. Zamieścił parę zdjęć, poprosił mnie o napisanie kilku słów o sobie. Na tym się skończyło. Moi znajomi mieli strony fanowskie, które sami prowadzili. Mogli tam wrzucać ciągle nowe prace i był ruch. Pozazdrościłam im tego i w grudniu zeszłego roku poprosiłam Assafa o możliwość współadministrowania – mówi malarka Aleksandra Waliszewska. Pamięta czasy, kiedy założenie strony w Internecie stwarzało wiele problemów. Trzeba było wybierać długą, dziwną nazwę, prosić znajomych o uaktualnianie zdjęć itd. Trudności się mnożyły. Facebook wszystko ułatwił.

– Prowadzenie tej strony sprawia mi wiele próżnej przyjemności. Podobają mi się taka forma prezentacji. Daje ona całkowitą niezależność: nie trzeba robić wystaw, podobać się krytykom sztuki, a można znaleźć szerokie grono odbiorców – twierdzi Waliszewska. Jej prace na Facebooku znalazł włoski rzeźbiarz Maurizio Cattelan czy grecka reżyserka Athina Rachel Tsangari, któ-

ra w zeszłym roku, zainspirowana twórczością Waliszewskiej, nakręciła film „The Capsule”. Jej prace wydano w publikacjach książkowych we Francji, w Anglii i Hiszpanii. – Wszystkim artystom polecam taką formę prezentacji własnej twórczości – zachęca Waliszewska.

Jej **fanpage** ma już ponad 7 tys. fanów.



Emocje i biznes

– Facebook to nowoczesny program lojalnościowy. W wielu przypadkach zastąpił wszystkie inne narzędzia kontaktu z odbiorcą – tłumaczy dr Jan Zajac, psycholog Internetu z Uniwersytetu Warszawskiego, prezes sotrender.com, firmy zajmującej się analizą portali społecznościowych. – Lojalność najlepiej budować na emocjach. Rodzinne przedsiębiorstwo, mały biznes, unikatowe rękodzieło będzie wzbudzało zawsze więcej emocji niż bezduszna korporacja, która wydaje miliony na reklamę – mówi Zajac.

Tłumaczy, że nie tak nie przywiązują ludzi do marki jak emocje. Każda marka chciałaby wzbudzać pozytywne skojarzenia. Ale nie we wszystkich branżach przychodzi to bez trudu. Firmom sprzedającym markizy i montującym żaluzje nie jest tak łatwo nawiązać więzi emocjonalnej z klientem jak firmom z branży mody, mediów, designu czy branży kreatywnej. Łatwiej nam polubić modne ciuszki i wyjątkowe ciasteczka niż firmę montującą rolety. Bo nasze aspiracje do bycia modnym i wyjątkowym są większe niż do bycia posiadaczem rolet w oknach. Dr Jan Zajac tłumaczy, że marki takie jak Risk. Made in Warsaw czy SoSweetProject to marki aspiracyjne. Dlatego na Facebooku SoSweetProject ma ponad 28 tys. fanów,



a Grako Design – Rolety, Żaluzje, Markizy tylko 141.

Projektom SoSweet i Risk udało się rozbudzić emocje, więc zaistniały na rynku, w czym niewątpliwie pomógł im Facebook. A wielu się nie udaje. Tworzenie sprawnego fanpage'a nie jest zadaniem łatwym. Liczy się systematyczność i intuicja. Fanów należy zaskakiwać, najlepiej kilka razy dziennie. To praca u podstaw: liczy się każdy komentarz. Warto o nie dbać, bo przecież na Facebook zagłada 12 mln Polaków.

Fanów w każdej chwili można zapytać, co im się podoba, co chcieliby zmienić. Można im się zwierzyć lub pochwalić, można ich zaprosić na wydarzenie lub pożartować. Facebook pozwala na codzienną, spersonalizowaną komunikację. I dlatego fani w coraz większym stopniu stają się aktywnymi współtwórcami: włączają się w działalność fanstron, często okazuje się, że nie tylko wirtualnie. Gdy trzeba, pożyczą przyrzepę do samochodu, подарują stare meble, dadzą parawan (aby służył za tymczasową przebieralnię). To znajomi na dobre i na złe. Również w realu.

Gdy na początku lutego fanpage Risk. Made in Warsaw zaatakował turecki wirus, Antonina była załamana. Myślała, że to już koniec. Przez trzy dni chodziła po informatykach, ale żaden nie mógł pomóc. Strona była zawirusowana. Wtedy do pomocy wkroczyli fani. Jedni dzwoniли do administratorów, uspokajali i pocieszali, inni organizowali pomoc techniczną. Kiedy wreszcie udało się wirus usunąć, setki entuzjastów świętowało sukces na osi czasu Riska. Administratorzy gorąco dziękowały za cierpliwość i lojalność.

Ale fani Risk i SoSweetProject są przyjaciółmi i klientami: dają realny pieniądź. Jak pogodzić przyjaźnię na Facebooku i biznes?

Wiele małych biznesów chce zatrzeć wrażenie, że chodzi o pieniądze. Na fanpage'ach nie umieszczają zachęty do kupna,

Dawidy i goliaty

→ Czy to wiele? Największe strony fanowskie w Polsce to Serce i Rozum (1,7 mln), Demotywatory (1,6 mln), Play (1,4 mln), Orange Polska (1,3 mln). W porównaniu z nimi fanpage naszych bohaterów to mikrusy. Wiodące polskie firmy telekomunikacyjne (Play, Orange, Plus, TP SA) za punkt honoru postawiły sobie mieć więcej lajków od konkurencji. Klóć się nawet o to, kto jest większy. 15 stycznia rzecznik firmy Orange Wojciech Jabczyński rzucił oskarżenie wobec firmy Play, która rzekomo kupuje lajki z Azji. Było to dwa dni po naszym artykule „Zmierzyć ery lajków” („Przekrój”, 13 stycznia). Orange zarzuciło Play, że kupuje lajki, bo ma ponad 150 000 lajków z Indii, Malezji, Pakistanu. Przypomnijmy: w naszym reportażu pokazaliśmy, jak wygląda handel lajkami na Facebooku. Można je kupować telefonicznie, kupowanie jest legalne, agencje zajmujące się ich sprzedażą działają oficjalnie na całym świecie, również w Polsce. Rzecznik firmy Play jest oburzony: – Te zarzuty są tak słabe, że nie będę tego komentował – mówi Marcin Gruszka i przyznaje: – Gdybyśmy naprawdę chcieli kupować fanów, mielibyśmy ich o wiele więcej. Bo dziś każdy może kupić fanów, ile chce.

→ Dlatego myślenie kategoriami ilości odchodzi do lamusa. Liczy się jakość oraz zaangażowanie emocjonalne, aktywność fanów, czyli autentyczny feedback. Nie chodzi o to, aby stworzyć fanpage, który będzie anonimowym molochem, lecz raczej wspólną ludzi szczerze zainteresowanych treścią, lojalnych i życzliwych. Jeśli fani kliknęli na naszą stronę tylko dlatego, że chcieli wygrać coś w konkursie, to ich lajk jest wymuszony, interesowny, słaby. Jeśli kliknęli na nas, bo chcą być z nami i zależy im na nas: wygraliśmy. W oparciu o taki autentyczny kapitał społeczny należy dziś budować markę.

promocyjnych ofert ani cen. Do handlu służy internetowy sklep lub strona, której adres znajduje się w informacjach. Użytkownicy Facebooka nie lubią być nagabywani. Nie można być nachalnym. Fanpage to przecież wspólnota. Dobre towarzystwo, komunikacja, pozytywna energia. Fanpage to fanpage. ☺



Małe przedsiębiorstwa traktują Facebooka jako najlepsze miejsce promocji produktów i usług. Znajomości przekładają się tu na sukcesy w życiu. Sukcesy przekładają się na kolejne znajomości. A znajomości na dalsze sukcesy. Tak to działa.

DANUTA WALEWSKA

Tam i z powrotem

Muszą panować nad stresem. Własnym i pasażerów. Jedzą marnie, nie zarabiają kokosów, są wiecznie na walizkach. A mimo to **chętnych do pracy stewardesy wciąż nie brakuje**. Ostatnio nabór w Polsce prowadziły dwie linie – Emirates i Qatar Airways.

Stewardesy Turkish Airlines muszą się regularnie ważyć, ponieważ marketing uznał, że tęga obsługa w samolotach źle wpływa na wizerunek linii. Dziewczyny pracujące w Korean Air nie mogą mieć więcej niż 27 lat i muszą mierzyć co najmniej 164 cm wzrostu, ale nie więcej niż 170, przy wadze nieprzekraczającej 60 kg. No chyba że są wyjątkowo piękne i mówią perfekcyjnie po angielsku oraz potrafią się odpowiednio kłaniać. Stewardesy LOT-u często narzekają na toczki, które mają na głowach do startu i po wylądowaniu, oraz służbowe walizki, które się przewracają.

Kiedy przed laty robiłam reportaż i wzięłam udział w konkursie na stewardesę LOT-u, usłyszałam, że jestem za niska, za gruba i mam niechlujnie uczesane włosy, które nie mają prawa leżeć na kołnierzu mundurka. Jeśli są długie, najlepiej upiąć je w kok, ewentualnie zapleść w siatkę.

Ostatnio nabór w Polsce prowadziły dwie linie – Emirates i Qatar Airways. Chętnych było znacznie więcej niż miejsc, a linie nadal szukają odpowiednich pracowników pokładowych. Kiedyś Emirates, rekrutując stewardesy

w Polsce, nie chciały, aby kandydatki miały doświadczenie, by nie przenosiły złych nawyków z innych linii.

Czy warto zostać stewardesą arabskich przewoźników? Dziewczyny mieszkają w luksusowych apartamentach w Dauha i w Dubaju. To zapewnia komfort po długich lotach. Do tego dochodzą zakupy i inne bonusy.

Polecieć i zahandlować

Personel pokładowy na trasach europejskich najczęściej nie opuszcza samolotów w portach docelowych. Na trasach dalekiego zasięgu rzadko się zdarza, żeby stewardesy i stewardzi mieli więcej niż 24–48 godzin przerwy w jakiejś atrakcyjnej miejscowości. – Jedyne, co możemy wówczas zrobić, to szybko do hotelu, wyspać się, pójść do sauny, jakieś krótkie zakupy i znów busem na lotnisko – mówi stewardesa PLL LOT, która często lata na trasach atlantyckich linii. Nie chce ujawnić nazwiska. Rejsy do Chicago i Nowego Jorku są uznawane w LOT jako dostępne dla elity, bo można tam zrobić dobre zakupy. Podobnie jest z trasą do Pekinu, która, ku rozżaleniu lotowskich załóg, jest zagrożona, jeśli Dreamliner nie po-

wróci do normalnej eksploatacji przed końcem lata. Na pekińskim Silk Market coraz łatwiej jest już dogadać się po polsku. To w dużej mierze zasługa właśnie polskich załóg i wożonych przez nich pasażerów. Przy tym Pekin jest dzisiaj jedynym portem docelowym polskich samolotów, gdzie załogi przebywają ponad 48 godzin.

Są jeszcze inne przywileje – bezpłatne bilety na przeloty dla pracowników i ich rodzin. Tyle że tak całkiem bezpłatne to one nie są. Dostępne są jedynie wówczas, jeśli w samolocie jest wolne miejsce tuż przed odlotem. A pracow-



BLAINE HARRINGTON III/CORBIS

nik i jego rodzina musi zapłacić wszystkie dopłaty i podatki stanowiące najczęstszą połowę ceny biletu.

Nerwy i złość

To jednak nieliczne zalety. Wad jest znacznie więcej. Jedną z podstawowych jest nieustanna walka ze stresem. I nie idzie tu wyłącznie o sytuacje ekstremalne, jak ta, którą przeżyła Doreen Welsh, szefowa pokładu lotu US Airways 1549, który wylądował w styczniu 2009 r. na rzece Hudson w Nowym Jorku. O pilocie „Sullym” Sullenbergerze opowiedziano wszystko. Ale to Doreen

dopilnowała ewakuacji wszystkich pasażerów. – Dopiero kiedy powiedziałam kapitanowi, że samolot jest pusty i podpłynęła łódź ratunkowa po załogę, sanitariusze powiedzieli, że stoję na złamanej nodze. Nic nie czułam – mówiła. Teraz razem z „Sullym” objeżdża świat i opowiada o traumie, jaką przeżyli.

Stewardesy mają prawo stracić też nerwy, pracując w przepełnionych samolotach, troszcząc się o nie zawsze miło pachnących i uprzejmych pasażerów i przy kurczących się zarobkach. Ostatnio słynne stało się wydarzenie w American Eagle, tanim przewoźniku

należącym do American Airlines. Jose Serrano, słysząc narzekania pasażerów na złą pogodę, powiedział: „Jeszcze jedno słowo skargi i wysiadam”. Jego kolega z niskokosztowego JetBlue Steven Slater poszedł dalej. Po kolejnych skargach pasażerów powiedział: „To by było na tyle”. I trapiem ratunkowym opuścił samolot.

– Zdarza się, że mam ochotę wykrzyknąć: „Przepraszam, nie mamy już poduszek i dodatkowych koców, jest mi przykro, że w samolocie jest za zimno/za gorąco, że nie siedzi pan/pani na ulubionym miejscu. Że siedzący z tyłu dziecko kopie w oparcie. Że

Mimo fatalnego jedzenia, wiecznie niezadowolonych pasażerów i stresu chętnych do pracy stewardesy nie brakuje. Magnezem wciąż są zarobki. W zagranicznych liniach szefowa pokładu może dojść nawet do 80 tys. dolarów rocznie.

pasażer z boku stale spycha pana/pani łokieć z oparcia albo że wygląda jak terrorysta. Przepraszam za wszystko i za wszystkich” – mówi. O wyczerpaniu cierpliwości opowiada również stewardesa United: – Kiedy pasażer się skarży, że nie podajemy darmowego jedzenia, a dodatkowo musiał zapłacić za bagaż, mam ochotę mu odwarnąć: „To nie trzeba było szukać najtańszego biletu”.

Nie wszyscy tak reagują. Andrew Norton z United Express przy opóźnieniu lotu embraera 145 z Detroit do Chicago dwoił się i troił, żeby uspokoić 50 pasażerów, którzy mieli świadomość, że jeśli samolot natychmiast nie wystartuje, stracą dalsze połączenia. Andrew otworzył bar, serwował bezpłatne drinki, przepraszając pasażerów w ostatnich rzędach, że „zabrakło mu parasolek do koktajli”, czym udało mu się rozśmieszyć najbardziej zdenerwowanych. A kiedy płyn do odlodzenia maszyny przez niedomknięte drzwi wylał się na podłogę kuchenki, Andrew dolał tam jeszcze puszkę pepsi. „Lepiej nich się lepi, niż mielibyśmy się ślizgać” – tłumaczył pasażerom. Napisałam do kierownictwa linii, chwalać Nortona. Dostałam odpowiedź, że został nagrodzony, bo chwalać go pasażerów było więcej.

Flirty i romanse na poważnie są nieodłączną częścią życia personelu pokładowego. Ale można też zgłosić dwie osoby: pilota i członka personelu pokładowego, jako „no fly”, z którym nie chce się lecieć.

stewardesa British Airways, uważa, że Kozlenko źle zrobiła. – Takie wpisy psują reputację linii. I to wystarczy – mówi Poole, autorka bestsellera „Wysokość przelotowa: Opowieści o kłopotach, dramatach załogi i szalonych pasażerach na wysokości 11 tys. metrów”. – Linie lotnicze bardzo rygorystycznie dbają o wizerunek. Jeden fałszywy krok i adios, sayonara – mówi Poole.

Jarzyny i gorzka czekolada

Poza stresem jednym z największych problemów załóg samolotowych jest jedzenie. Piloci dostają regularne posiłki, więc nie narzekają. Personel pokładowy ma trudniej. Często, idąc do toalety, widzimy skuloną na krzeselku stewardesę, która stara się jak najszybciej zjeść posiłek. – Najczęściej jednak jest tak, że uda mi się złapać kawałek czekolady. Jedzenie na pokładzie rzadko jest smaczne – mówi stewardesa LOT-u. Zastrzega, że nie ma na myśli bułek mażniętych majonezem czy margaryną z przezroczywym plasterkiem jakiejś wędliny bądź listkiem zwiędniętej sałaty w wersji wegetariańskiej. Na jedzenie bez żadnego smaku skarżą się nawet w najlepszych liniach świata – na przy-

kład Singapore Airlines. Stewardesy przyznają, że często zamiast jeść, sączą sprite'a z puszek i starają się przetrwać do lądowania. Do tego 1,5 litra niegazowanej wody i herbata miętowa. Najważniejsze, żeby organizm się nie odwodnił. – Na wysokości 11 kilometrów powietrze w kabinie jest tak rzadkie, że wszystko smakuje paskudnie – mówi jedna z nich. To dlatego ci, którym udało się przelecieć Dreamlinerem, chwalą posiłki na pokładzie, bo w boeingu 787 powietrze ma zupełnie inną jakość.

Stewardesy przyznają, że jeśli już jedzą, to inteligentnie. Nie sery podawane w klasie biznes czy resztki kawioru pozostawione przez pasażerów klasy pierwszej. Jarzyny bądź kawałek gorzkiej czekolady potrafią rozwiązać problem.

Amarantowy jaguar

Do niedawna stresującą pracę na pokładzie mogły osłodzić stewardesom prezenty. Hojni byli zwłaszcza ci pierwszej klasy i biznesu. – Zdarzało mi się dostać perfumy czy kosmetyki ze sprzedaży wolnocłowej – mówi Polka, która pracowała w PanAmie, a potem w Delcie. – Raz pewien pasażer powiedział, że

chce mi dać prezent, bo przypominam mu jego zmarłą siostrę.

Najdroższy prezent otrzymała w latach 60. stewardesa brytyjskiego poprzednika BA – BOAC, Katie Howe. Była tak miła dla szejka z Bahrajnu, że zapytał: „Czy jest coś, o czym marzysz?”. Zażartowała, że amarantowy jaguar E-type. Po kilku dniach auto zaparkowało pod jej domem.

Lody na szpilkach

Pytania typu „Coffee, tea or me?” to już przeszłość. Amerykańska linia Braniff w spocie reklamowym napisała kiedyś: „Czy twoja żona wie, że latasz z nami?”. Zaś jej konkurencja, Eastern Airlines, wręczała nawet pasażerom malutkie notesiki, do których mieli wpisywać numery telefonów stewardes. – Nieste-

zem czy z oliwą?”. Jestem przekonana, że nie pamiętają potem naszych twarzy. A nasza praca sprowadza się do wydeklamowania formułki o konieczności wyłączenia telefonów komórkowych.

Żeby zwrócić uwagę pasażerów, w liniach Virgin stewardesy noszą szpilki, a kiedy podają lody, rozpinają kilka guzików bluzki. To działa.

Polskie stewardesy też mają swoich adoratorów. Najczęściej jednak sprowadza się to do tego, że pasażer częściej, niż jest to uzasadnione, wzywa obsługę. – Po kilku takich wezwaniach i wyczerpaniu się dowcipów, jakie mam przygotowane na taką okazję, proszę kogoś z kolegów, żeby podszedł zamiast mnie. Pomaga – mówi jedna z najbardziej urodziwych stewardes LOT-u, często latająca na trasach atlantyckich. – Ale mamy

Rejsy do Chicago i Nowego Jorku są uznawane w LOT jako dostępne dla elity personelu pokładowego, bo można tam zrobić dobre zakupy. Podobnie jest z trasą do Pekinu, która jest niestety zagrożona, jeśli Dreamliner nie powróci do normalnej eksploatacji.

dawno przyjętej do Star Alliance. Jak uniknąć takich sytuacji? Większość linii pozwala załogom zgłosić dwie osoby: pilota i członka personelu pokładowego, jako „no fly”, z którym nie chcą latać.

– Zdarza się, że mamy „służbowych” chłopaków – opowiada stewardesa LOT-u. – Fajnie jest z nimi pogadać, pójść na kolację. Czasami po locie spotykam się z pasażerami, ale wiem, że muszę być dyskretna. Choć seks w powietrzu nie jest niczym specjalnym, często widzę, jak para pasażerów wchodzi razem do toalety. Potem szybko z niej wychodzą, bo strasznie tam ciasno – dodaje.

– Kiedy brytyjski pilot przysłał mi SMS-a z pytaniem, czy chcę trochę jego lodów, byłam zaskoczona – mówi stewardesa azjatyckiej linii. Ale takie SMS-owe romanse są w samolotach na porządku dziennym. Tyle że od natrętnego wielbiciela nie ma jak się odczepić, kiedy leci się tysiące kilometrów nad ziemią – mówi.

Ale w Qatar Airways i Emirates, gdzie pracuje coraz więcej Polek i Polaków, romanse są nie do pomyślenia. Miejscowe obyczaje są święte.

Czy warto?

Mimo fatalnego jedzenia, wiecznie niezadowolonych pasażerów i stresu chętnych do takiej pracy nie brakuje. Liczą się przecież zarobki. Zaczyna się skromnie. W zachodnich liniach stewardesa otrzymuje początkowo ok. tysiąc dolarów miesięcznie. Szefowa pokładu może dojść nawet do 80 tys. dolarów rocznie, ale to zależy od wylatanych godzin. Średnio zagraniczna stewardesa spędza w powietrzu ok. 90 godzin miesięcznie. Do tego dochodzi jeszcze 50 godzin na ziemi, bo czas pracy liczy się od zamknięcia drzwi samolotu do ich otwarcia na lotnisku docelowym. Przy dłuższych lotach jest to 12 godzin dziennie albo nawet dłużej. Stewardesy LOT-u mają średnią ok. 59 godzin miesięcznie. Mimo ciężej zatrudnienia w lotnictwie nieustannie rośnie popularność tego zawodu. Kiedy linia ogłasza nabór, zazwyczaj na każde miejsce jest 100 chętnych. ☞



RICHARD BAKER/CORBIS



MACIEJ MURANSKI/AGENCJA GAZETA

ty, pasażerowie coraz częściej postrzegają samoloty jako środek publicznego transportu. Czasy romantyzmu minęły – uważa Patricia A. Friend, która zaczęła latać z United w 1966 r. I lata dalej. Wtórkuje jej stewardesa Air France: – Czasami chciałabym pogadać z którymś z pasażerów, ale dzisiaj oni tego nie chcą. Mają swoje iPody i e-booki, więc kiedy podaję jedzenie, mój kontakt ogranicza się do pytania: „Sos do sałaty z majone-

ulubionych pasażerów. Wtedy częściej niż innym podajemy drinki, dajemy dodatkowy koc. W samolocie nie można zrobić wiele więcej – dodaje.

Niewinne flirty i romanse na poważnie, jak z filmów, są nieodłączną częścią życia personelu pokładowego. – Kiedyś pilot uparł się, żeby ze mną poflirtować, objął mnie w pasie. Mężczyzna nawet w powietrzu nie przestaje być macho – mówi stewardesa latynoskiej linii nie-

MARTA MACH I AGATA NAPIÓRSKA

Jak Polacy nakręcili koniec świata

Wybrać się do najdalszego miejsca na Ziemi nie jest łatwo. Ale dzięki pieniądзом sponsorów zebranych w Internecie może się udać. Udowodnili to filmowcy **Mateusz Konopacki i Marek Ulan-Szymański**. Ich dokument o odległej o 20 tys. kilometrów od Polski wyspie pod koniec roku trafi na ekrany kin.

Pitcairn to niewielka wyspa wulkaniczna położona w polinezyjskiej części Oceanu Spokojnego, 5500 km od Nowej Zelandii. Powierzchnia wyspy wynosi 4,53 km², a o jej wyjątkowości zadecydowała historia buntu jej pierwszych mieszkańców – marynarzy z okrętu HMS „Bounty”. Statek przewoził sadzonki drzewa chlebowego, które miały służyć jako pokarm dla niewolników w koloniach brytyjskich na Karaibach. W kwietniu 1789 r., niedługo po wypłynięciu z Tahiti, na okręcie wybuchł bunt. Rebelianci zaopatrzeni w mapy i kompas, po wyrzuceniu ze statku dowódcy i jego popleczników, wyruszyli kuszeni perspektywą znalezienia rajskiej wysepki na środku Pacyfiku. Ośmiu z nich wraz z porwanymi sześcioma tahitańskimi mężczyznami i jedenastoma kobietami dobiło do brzegów bezludnej wówczas wyspy, gdzie założyli pierwszą osadę. Pitcairn znalazło się pod jurysdykcją brytyjską w 1838 r. Mieszkańców dwukrotnie próbowano przesiedlić na wyspy Norfolk i Tahiti. Po miesiącu wielu z nich z własnej woli powróciło na Pitcairn. Jeszcze w 1937 r. wyspę zamieszkiwało 235 osób. Od tego czasu ich liczba systematycznie spada, głównie z powodu migracji do Nowej Zelandii. Obecnie Pitcairn zamieszkują 54 osoby, głównie potomkowie buntowników z „Bounty”. Dla Wielkiej Brytanii ta mała wyspa jest z jednej strony

wrzodem na tyłku, z drugiej archipelag wysp Pitcairn jest istotny – ze względu na kontrolę sprawowaną przez koronę brytyjską na wodach Pacyfiku. Królowa brytyjska i urzędnicy wyższego szczebla na wyspie nigdy nie byli. Chociaż perspektywy są marne, życie w cieniu legendy nie pozwala wyspie umrzeć.

Wartość spełnionego marzenia

Mateusz Konopacki i Marek Ulan-Szymański postanowili wyruszyć w podróż i sprawdzić, jak żyje się dziś na wyspie Pitcairn. Spełnili swoje marzenie i nakręcili film dokumentalno-podróżniczy o ucieczce od życia na koniec świata. Mateusz i Marek poznali się w łódzkiej szkole filmowej, obecnie studiują produkcję filmową na drugim roku. Na początku się nie lubili, ale kosmos sprawił (to stwierdzenie padło podczas naszej rozmowy wielokrotnie), że ich ścieżki się zeszły, a w ich głowach zaczął powstawać wspólny plan.

Marek pochodzi ze swarzędzkiego blokowiska, Mateusz z Buczka Wielkiego pod Piłą. Tworzą zgrany duet: jeden zaczyna zdanie, drugi kończy. Każdy z nich zna swoje miejsce i jest świadomy zakresu swoich obowiązków i kompetencji. Marek zajmuje się reżyserią, Mateusz jest operatorem i producentem. Marek sprawia wrażenie nadpobudliwego, nie może usiedzieć w miejscu, przybija piątkę tak mocno, że jeszcze przez parę godzin od przywitania bolą nas dło-

nie. Mateusz – opanowany, uśmiecha się nieco pobłaźliwie, gdy Marek opowiada o ideach przyświecających podróży i ucieczce od problemów.

– Byłem smutny i zawiedziony życiem. Wiedziałem, że muszę zrobić coś ważnego, żeby się z tego stanu wykaraskać – mówi Marek.

– Ja od niczego nie uciekałem. Pojechałem na wyspę nakręcić film. A kiedy nie robiliśmy filmu, głównie jadłem i pływałem w żółwiach. To Marek miał przemyślenia – mówi Mateusz.

– I całe szczęście – dodaje Marek – bo gdybyśmy obaj zaczęli się tam zastanawiać nad sensem życia, nic by z tego wszystkiego nie wyszło.

Najpierw brat Marka – marynarz i miłośnik dalekomorskich opowieści – pokazał palcem na mapę i powiedział: „Zobacz, to najmniejsza demokracja świata”. Okazało się, że nie tylko najmniejsza, ale też położona najdalej od Polski – 20 tys. kilometrów. Marek nie mógł przestać myśleć o tym, że fajnie byłoby się tam kiedyś wybrać. „Kiedys” oznaczało dla niego „może za kilka lat, kiedy skończę studia”. O pomysły opowiedział Mateuszowi: – Upiliśmy się w pewien piątkowy wieczór i czytaliśmy o wyspie na Wikipedii. Mateusz nas zmobilizował. „Kiedys” przekuł w „teraz”.

Obaj zgodzili się co do tego, że marzenia mają sens dopiero wtedy, kiedy się spełniają. Aby spełnić własne, potrzebowali jedynie pieniędzy.



Domino dobrych ludzi

Mateusz, jak na producenta przystało, postanowił podejść do marzenia o filmie komercyjnie. Już następnego dnia po rozmowie o Pitcairn rozpoczęli pierwsze prace nad wstępnym zarysem scenariusza i zaczęli wysyłać e-maile do firm, które mogłyby zasponsorować wyjazd. Potrzebowali sporo pieniędzy na podróż, utrzymanie oraz sprzęt.

Plan był bardzo prosty. I, jak się później okazało, skuteczny. Marek i Mateusz nagrali nielegalnie wypożyczoną kamerą krótki film, w którym pytają przechodniów, czy zdecydowaliby się wyjechać na koniec świata, gdyby wiedzieli, że znajdą tam odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Film opublikowali na YouTube. W filmie chłopaki apelują o finansowe wsparcie swojego marzenia. Do kogo adresują apel? Do każdego. Postanowili bowiem przyjąć każdą pomoc: mediów, firm, osób prywatnych, rodziny, przyjaciół i znajomych. „Zadziałało domino dobrych ludzi” – przekonuje nas Marek. Po kilku dniach od wrzucenia filmu do sieci zadzwonił Artur Adamczak z Telewizji Poznańskiej, który postanowił zrobić materiał o chłopakach do programu informacyjnego. Kilka dni po ukazaniu się materiału zgłosił się główny sponsor wyprawy: prezes firmy MATBET, specjalizującej się w produkcji wyrobów betonowych i żelbetowych. Jak się okazało, sponsor, który woli nie ujawniać nazwiska, zawsze marzył o podróży na Pitcairn, ale w młodości, za czasów komuny, marzenia nie udało mu się zrealizować, a teraz nie ma już czasu na tak daleką wyprawę. Postanowił spełnić własne marzenie, zostając głównym sponsorem projektu „Get away to Pitcairn”. „Uwierzyliśmy, że kosmos jest z nami” – wspomina Marek.

I jak tu nie wierzyć w kosmos?

W Polsce coraz popularniejszy staje się crowdfunding, czyli sponsorowanie społecznościowe. Powstało kilka portali wzorujących się na amerykańskim Kickstarterze, które zachęcają osoby prywatne do wspierania projektów artystycznych i biznesowych drobnymi wpłatami. Kickstarter bije rekordy i zbiera po kilka

Marek Ulan-Szymański (reżyser) i Mateusz Konopacki (operator i producent) spędzili na wyspie 26 dni. Efektem jest 60-godzinny materiał filmowy, nad którym obecnie pracują.

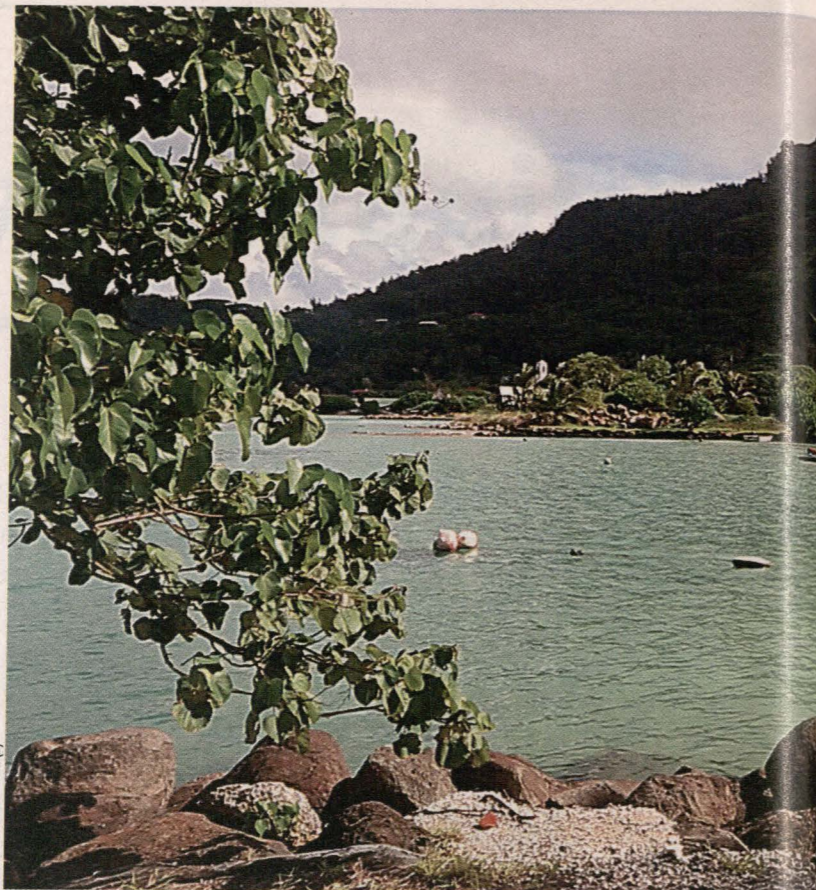
milionów dolarów w ciągu pierwszego dnia od pojawienia się pomysłu na stronie. Polskie portale nie mogą się jeszcze pochwalić spektakularnymi sukcesami.

Idea raczkuje. Projekt „Get away to Pitcairn” pojawił się jednak na Polakpotrafi.pl i okazał się sukcesem. Sukcesem na miarę polskiego crowdfundingu: chłopaki zebrali 4114 zł. Biorąc pod uwagę fakt, że aby wyjechać na Pitcairn, Marek i Mateusz potrzebowali 70 tys. zł i sprzęt wart o wiele więcej, pieniądze zebrane poprzez portal były kroplą w morzu ich potrzeb. Jeśli przyjrzyć się działaniom chłopaków, „Get away to Pitcairn” sam w sobie jest projektem crowdfundingowym. Samozwańcym, ale przemyślanym i przede wszystkim prowadzonym przez osoby najbardziej idei oddane, czyli samych twórców. – Jeśli sami byśmy nie wierzyli w to, co robimy, to nikt by nam nie uwierzył. Do it yourself to jedyny przepis na sukces – przekonuje nas Marek. Wiele, jak utrzymują, zawdzięczają kosmosowi, ale jeszcze więcej ciężkiej pracy. Na czas zbierania funduszy Marek i Mateusz odstawili na bok inne obowiązki i całkowicie oddali się sprawie. Promowali pomysł, gdzie się da, i zbierali pieniądze od każdego, kto chciał ich wesprzeć. Udało się.

Fish and chips na końcu świata

Wyruszyli 25 listopada. Najpierw cztery loty samolotem (Warszawa – Amsterdam – Los Angeles – Papete – Mangarewa), potem dwie podróże statkiem (Mangarewa – Rikitea – Pitcairn). Tak znaleźli się na wyspie, gdzie czekała na nich koordynatorka turystyczna, która ulokowała ich u dwóch gospodyń. Cena doby wraz z wyżywieniem (70 dolarów) została wcześniej ustalona. Z racji tego, że materiałów filmowych o wyspie zostało zrobionych dotychczas stosunkowo niewiele, a większość z nich to kiepskie produkcje telewizyjne, Marek i Mateusz wiedzieli, że mogą spodziewać się wielu niespodzianek. Przygotowali się na to, że praca nad filmem będzie raczej spontaniczna. Marek, marzyciel, artysta i reżyser filmowy, rozmyśla, odczuwa i tworzy koncepcję. Mateusz, operator i producent, filmuje i odpisuje na e-ma-

Dziś na wyspie żyją 54 osoby. Tworzą najmniejszą demokrację na świecie. Odzywają się okropnie i nie mają właściwej opieki medycznej, ale czują się niemal jak w raju – na Pitcairn nikt nie płaci podatków.



ARCHIWUM PRYWATNE (3)

ile. – Jako producent rozkazuję Markowi, który jest reżyserem, a on jako reżyser rozkazuje mnie, operatorowi. Doskonale się uzupełniamy – mówi Mateusz ze śmiechem. Obaj poznają mieszkańców najmniejszej demokracji świata i opisują ich życie na wyspie.

Pięćdziesięciu kilku mieszkańców Pitcairn żyje spokojnie. Większość pracuje i każdy jest tu sobie szefem. Jeśli ktoś nie chce pracować, może właściwie przebić całe życie, chwytając się jedynie dorywczych zajęć. Co ambitniejsi mają po kilka zawodów, w których pracują po kilka godzin dziennie i tygodniowo. Gospodyni Mateusza, Darleen, jest pielęgniarką, a poza tym pomaga starszym ludziom, sprząta drogi i opiekuje się grobem Johna Adamsa, historycznej postaci Pitcairn. Na wyspie nie ma podatków. Owoce i warzywa mieszkańcy hodują we własnych ogrodach. Najważniejszymi wydatkami pochłaniającymi dużą część budżetów domowych są opłaty za prąd i Internet, które na Pitcairn są bardzo wysokie.

Wyspę zamieszkuje cztery klany: Warrenowie, Christianowie, Youngo-

wie i Brownowie. Warrenowie nie lubią się z Christianami, z którymi trzymają się Brownowie. A Youngowie? Żyją na uboczu. Mniejszą część społeczności na wyspie stanowią pracownicy socjalni z Wielkiej Brytanii, którzy przyjeżdżają na kilkuletnie kadencje: policjant, misjonarz i nauczyciel wraz z żonami oraz lekarz i pracownik administracji rządowej. Ci są mniej lub bardziej lubiani, a że przyjeżdżają na wyspę na krótkie, z reguły dwuletnie kadencje, przez rdzennych mieszkańców zawsze traktowani są jak obcy.

Życie towarzyskie ogranicza się tu do spotkań w kościele i sklepie, który jest czynny trzy razy w tygodniu, we wtorek, czwartek i niedzielę od ósmej do ostatniego klienta, czyli do jakiejś 9 rano. Idea wspólnego spędzania czasu podupała, od kiedy na wyspę dotarł Internet. Starsi mieszkańcy z rozrzewnieniem wspominają, jak niecałe 20 lat temu codziennie jedli wspólne obiady w ratuszu, a rozmaite zabawy i gra w krykieta jednoczyły społeczność. Dziś mieszkańcy zamykają się w domach i siedzą przed komputerami. Szkoła prowadzi edukację do 14. roku

życia, później dzieci stawiane są przed wyborem – albo uczą się dalej korespondencyjnie, albo jadą do Nowej Zelandii, gdzie ich dalszą edukację finansuje Pitcairn. Większość wybiera drugą opcję i rzadko kiedy powraca na wyspę. W tej chwili najstarszą z najmłodszych jest Ariel, która ma 21 lat i chłopaka w Nowej Zelandii. Zapewne niedługo też stąd wyjedzie. Niż demograficzny to ogromne zagrożenie dla przyszłości wyspy. Istnieje perspektywa, że znowu stanie się ona bezludna. Ratunkiem ma być utworzenie parku narodowego, o co walczą patrioci i pasjonaci zamieszkujący wyspę. Jest kilka osób, które urodziły się na Pitcairn, wyjechały się kształcić i powróciły tutaj, żeby dalej dbać o wyspę i nie dopuścić do jej wyludnienia. Czują się związani z jej legendą. Kończenie żywota na Pitcairn jest jednak skomplikowane ze względu na brak odpowiedniej opieki medycznej.

Twórców filmu najbardziej zaskoczyła lokalna kuchnia. Lecąc na wyspę na środku Pacyfiku, spodziewali się owoców morza, egzotycznych warzyw i przypraw. Zastali niezdrową kuchnię angielską: jedzenie z puszek dostar-

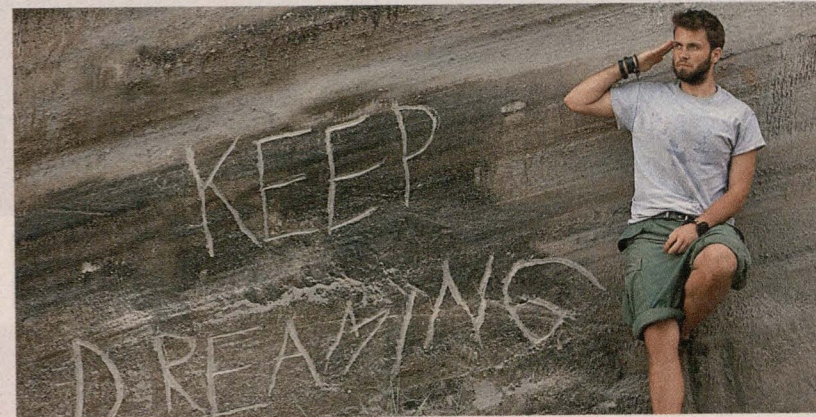
czanych do sklepu na statkach, chipsy, frytki i ryby smażone w panierce w gębokim oleju. Raz w miesiącu organizuje się „market day” – hodowcy przynoszą plony i sprzedają innym mieszkańcom wyspy. Jedyne mięso, które je się na Pitcairn, to sprowadzane z Nowej Zelandii kurczaki. Rocznie mieszkańcy wyspy zjadają 1200 kilogramów kurczaków.

Są dwa bary i jedna kawiarnia – otwierane tylko wówczas, gdy do brzegu dobiegają turyści lub marynarze. Alkohol pije się tutaj rzadko, większość mieszkańców nie pije w ogóle. – Właściwie to piją tylko trzy osoby – wspomina Marek. – Pirate Paul, jego partnerka Sue oraz ich przyjaciel Andrew.

Mateusz i Marek byli na wyspie 26 dni, co czyni ich ekipą filmową, która spędziła tam najwięcej czasu. Wrócili do Polski z 60-godzinnym materiałem i rozpoczęli już proces montażu i postprodukcji. Premiera w kinach planowana jest na koniec tego roku.

Marzenia w butelce

– Aspekt społeczny naszego filmu jest bardzo ważny. Przed wyjazdem przepro-



Film Mateusza i Marka „Get away to Pitcairn” nie będzie jedynie dokumentem o wyspie, na której mieszkają potomkowie buntowników z „Bounty”. To będzie film o spełnianiu marzeń.

wadziliśmy akcję, którą sami nazwaliśmy „Marzenia w butelce”. Na adres firmy Mateusza ponad 200 osób przysłało nam swoje marzenia zapisane na karteczkach. Zabraliśmy je ze sobą i zakopaliśmy w butelce na Pitcairn. Sfilmowaliśmy to, a marzenia pojawią się również w końcowych napisach filmu – mówi Marek.

Władze wyspy podchwyciły pomysł z pozostawianiem zapisanych marzeń „na końcu świata”. Postawiono już drogowskaz do miejsca, gdzie zakopana jest butelka, i skrzynkę na marzenia, tzw. dreambox, gdzie turyści odwiedzający wyspę będą mogli zostawiać zapisane na kartkach pragnienia i życzenia. Rytuał pozostawienia kartki u celu dalekiej podróży ma przypominać schemat wrzucania monet na szczęście do europejskich fontann czy zawiązywanie karteczek z życzeniami na gałęziach drzew w Japonii. Tym samym Mateusz i Marek stworzyli na wyspie atrakcję turystyczną. Film „Get away to Pitcairn” nie będzie jedynie dokumentem o wyspie, na której mieszkają potomkowie buntowników z „Bounty”. To będzie film o spełnianiu marzeń i o tym, że „dla chcącego nic trudnego”. ☞

ROZMAWIA PAWEŁ WILKOWICZ

Życie na kreczę



Do 200 km/h przyspiesza w kilka sekund – właśnie wyrubował rekord Polski do 230,19 km/h. Przy hamowaniu musi uważać, by nie odfrunąć. **Jędrzej Dobrowolski uprawia speedski, ekstremalne hobby, na które zarabia w rodzinnej firmie budującej apartamenty i produkującej kosmetyki. U Dobrowolskich wszyscy mają w genach biznes, szybkość i... sztukę.**

Testament ma pan spisany?

Nie mam. Nie przesadzajmy, ryzyko nie jest aż tak duże.

Oczywiście. 230 na godzinę, na kreczę na nartach. Bułka z masłem.

Sport jest niebezpieczny, bo prędkości są niesamowite, rekord świata to 251,4 km/h. Ale nie miałem jeszcze wypadku. Widziałem kilka z bliska, wyglądały bardzo groźnie, ale nic wielkiego się nie stało. Złamania, to wszystko.

Wypadki śmiertelne też się zdarzały.

Wynikały ze złej organizacji zawodów. We francuskim Les Arcs, na najszybszej trasie na świecie, od kilku lat niestety nieczymnej, dwie osoby zginęły.

Rodzinna tradycja to sport i sztuka. Mama kończyła rzeźbę, jeździła na nartach i panczenach. Tata studiował formy przemysłowe i był w reprezentacji Polski w saneczkarstwie. A ja? Na ASP czułem się jak ryba w wodzie. Od czasu do czasu jeszcze się w to bawię: malarstwo, oleje, koncepty, uliczna fotografia.

kiedyś jeszcze przed startem zawodów. Dojście na trasę było źle zabezpieczone. My nie jeździmy po normalnych stokach, tylko tych najwyższej położeń, gdzie nie ma już wyciągów. Jeśli ktoś tu w ogóle zjeżdża, to freeride'owcy: na nieprzygotowanej trasie. Dla nas ją ratrują, na górę wchodzimy sami. I w Les Arcs chłopak się przewrócił podczas wejścia i zjechał w dół, w przepaść. Lateksowe kombinezony świetnie rozpraszają energię przy upadku, ale nie ma wielkich szans, by w czymś takim wyhamować. Drugą ofiarą była dziewczyna, która też się potknęła, zjechała i rozbiła o skały.

Gdy podczas igrzysk olimpijskich w 1992 r. w Albertville speedski było konkurencją pokazową, w Les Arcs też zginął jeden narciarz. Podczas rozgrzewki. I nie na trasie startowej, tylko zwykłej. Bo ktoś za-

pomniął zabrać ratrak... Nie znam przypadku, by ktoś się w mojej konkurencji, Speed One, tej najszybszej, zabił podczas startu. Ale był taki wypadek w kategorii Downhill, w której narciarze startują na sprzęcie niezbyt nadającym się do prędkości powyżej 200 km/h. Nie mają spojlerów przy nogach ani tak dobrych kombinezonów jak my. Poza tym narty są o 25 cm krótsze, lżejsze. Był taki Francuz, który bardzo chciał granicę 200 km przekroczyć. I, niestety, przekroczył.

Co jest napisane w waszej instrukcji bezpieczeństwa?

Przewróciłeś się, nie wstawaj. Niech najpierw przyjdzie lekarz i sprawdzi, czy wolno ci wstać.

I nie zawałał się pan nigdy?

Moje bliźniaki, Anielka i Kuba, mają półtora roku. Był taki moment podczas niedawnych mistrzostw świata w Vars, że zastanowiłem się, czy dobrze robię. Dotarło do mnie, ile jest do stracenia. Ale przezwalczyłem to, pojechałem 218 km na godzinę i puściło. Żona bardzo mnie wspiera, sama jeździ na nartach, jest instruktorką. Wie, o co chodzi. I wie, że nie podejmę ryzyka ponad miarę. To sport, nie wojna. Nie muszę lecieć na bij zabij. Jeśli będzie silny wiatr, nie wystartuję.

Wiatr?

To nasz największy koszmar. Przy podmuchu można stracić kontrolę. Miałem ostatnio taką sytuację na zawodach, że źle ruszyłem, rzuciło mnie na jedną stronę i tak bujało do końca, z lewej na prawą, jak samochodem w poślizgu.

Wiele osób zawraca ze startu?

Zdarza się. Po każdej rundzie ruszamy z wyższego miejsca. Podczas mistrzostw świata jeden chłopak wycofał się w ćwierćfinale, mówiąc, że dla niego robi się już za szybko. A w kategorii Downhill zawodnik, który ostatecznie nie został wicemistrzem świata, też nie chciał ruszyć w ćwierćfinale. Ale popracował nad sobą.

Ruszyć – to najtrudniejsze?

Gorsze jest hamowanie. Po kilkuset metrach rozbiegu mamy stumetrowy odcinek, na którym jest mierzona szybkość, a potem pojawia się linia – znak, że trzeba wytracać prędkość. Prostuję się wtedy, rozkładam ręce, łapie pęd na siebie. Zrobisz to nierówno, może cię obrócić. Zrobisz za szybko, możesz zacząć startować. Kiedyś tak miałem – złapałem powietrze pod narty i zacząłem się unosić. Przydusiłem i udało się z tego wyjść. Ale rekordzista świata Włoch Simone Origone połamiał się właśnie przy zwalnianiu. Rutyna go zgubiła. Uniósł się, spadł i złamał rękę.

Tylko tyle?

A co można zrobić, upadając przy takiej prędkości? I tak przy wywrotce tracisz świadomość. Kiedyś jadący przede mną Holender upadł przy 200 km/h. Zrobił przewrót w przód, a dalej już pojechał wózek. Nic mu się nie stało, stłukł tylko rękę. Ale nie wyglądało to fajnie.

Sprzęt daje jakąkolwiek ochronę?

Mamy na plecach żółwika, jak motocykliści. Kask z włókna węglowego jest na jeden strzał. Upadasz, odpada. Ale to właśnie pierwsze uderzenie jest najgorsze i on przed nim chroni. Kask i kijki odlatują, narty się odpinają i potem się zjeżdża na tych naszych lateksach.

Zostawiając za sobą zapach palonej gumy?

Widziałem po upadkach kolegów kilka takich przypalonych gum.

Wielu jest na świecie takich jak wy szaleńców?

Do niedawnych mistrzostw świata zgłosiło się 87 osób. Ale jeżdżą też amatorzy. W Szwajcarii są serie zawodów właśnie dla nich. Co roku w Verbier każdy chętny może pojechać. Ja od tego zaczynałem. Nadal korzystam z tych dni otwartych, robię sobie wtedy trening, bo w Polsce nie ma takiej możliwości, nie licząc zjazdów spod skoczni. Na świecie jest tylko 10 takich homologowanych tras. Głównie w Europie, ale też w Kanadzie. Ja jeżdżę do Vars i Verbier, bo tam są najszybsze trasy. Les Arcs zamknęli po śmiertelnych wypadkach. Władze kurortu uznały, że to kiepska reklama. Szkoda, tam jest wbrew pozorom bezpiecznie. Autostrada: 1600 metrów, szeroko, szybko przekracza się 200 km/h. Każdy z nas marzy, że Francuzi zmienią zdanie.



KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

JĘDRZEJ DOBROWOLSKI

Rocznik 1981. Urodził się w Raciborzu, dorastał w Zakopanem, studiował w Krakowie. Kończył tę samą zakopiańską szkołę mistrzostwa sportowego co nasi medaliści: Justyna Kowalczyk, Kamil Stoch, Krystyna Pałka i Luiza Złotkowska. Miał być alpejczykiem, ale zatrzymała go kontuzja. Speedski, które dziś trenuje, to dyscyplina oficjalnie uznawana przez Międzynarodową Federację Narciarską.

jeszcze zabrać kogoś do pomocy, choćby dlatego, że sam bym się nie dał rady ubrać. Rywale mają swoje reprezentacje, sztaby: dwóch trenerów, masażysta. Ja sam sobie jestem trenerem.

Ktoś na świecie utrzymuje się ze speedski?

Nie. Nawet mistrz i rekordzista świata jest w zimie instruktorem narciarstwa, a w lecie przewodnikiem po górach. Oczywiście, od czasu do czasu wpadną jakieś premie od sponsorów, ale nie są to takie pieniądze, żeby trenować i o niczym już nie myśleć. Raz stałem na podium Pucharu Świata, rok temu. Nie ma za to żadnej premii. Dostałem kwiatki, ładny obrazek. Tyle. Ostatnio nasz związek narciarski trochę dołożył do mojego startu w mistrzostwach, ale to nie była nawet połowa kosztów. Na szczęście przynajmniej smary dostają za darmo, od firmy Vola. A sponsoruje mnie nasza rodzinna firma. Obracamy nieruchomościami, budujemy apartamentowce. Produjemy też kosmetyki, mydła i kremy z ozonem. I jeśli czasami przychodzi zniechęcenie speedski, to właśnie dlatego, że podczas treningów i zawodów tracę podwójnie: biorę wolne w pracy i nie zarabiam, a wydaję. Może teraz uda się znaleźć sponsora, bo wynik w ostatnich mistrzostwach świata był już konkretny. Jedenaste miejsce, rekord Polski.

I tak pan skacze na co dzień między dwoma światami?

Właściwie trzema, bo kształciłem się na artystę. Taka rodzinna tradycja: sport i sztuka. Mama kończyła rzeźbę, jeździła na nartach i panczenach. Tata studiował formy przemysłowe i był w reprezentacji Polski w saneczkarstwie. Narciarzem i łyżwiarzem też był. Ja czułem się na ASP jak ryba w wodzie, wszystko mi przychodziło z łatwością. Specjalizowałem się w fotografii i grafice warsztatowej. Od czasu do czasu jeszcze próbuję się w to bawić. Malarstwo, oleje, koncepty, uliczna fotografia. Ale i biznes sprawia mi frajdę. Tata w firmie dba o wszystko,

ja odpowiadam raczej za nieruchomość, żona za kosmetyki.

I jest pan szykowany na dziedzica rodzinnego majątku?

Do niczego nie jestem szykowany, bo u mnie w rodzinie każdy może wybrać, co chce. Mój młodszy brat studiuje reżyserię w Warszawie u Lindy i Ślesickiego. Rodzice nas wspierają, jeśli widzą, że to, co robimy, jest racjonalne. Nieważne, czy chodzi o sztukę, czy speedski.

Własnym dzieciom pozwoliliby się pan w to bawić?

Myślę, że tak. Chciałbym ten sport upowszechnić, pokazać młodym ludziom.

Mówią o nas – najszybsi niezmotoryzowani na ziemi. Chciałbym ten sport upowszechnić, pokazać młodym ludziom. Zrobić w tym roku próbę prędkości na Kasprowym, na Goryczkowej. Potem spróbujemy wytyczyć trasę...

Zrobić w tym roku próbę prędkości na Kasprowym, na Goryczkowej. Potem spróbujemy wytyczyć trasę, a może kiedyś udałoby się nawet zdobyć homologację i zorganizować zawody.

To chyba nie w Zakopanem. Tam nawet zrobienie trasy dla biegów narciarskich jest problemem.

Muszę spróbować, bo sobie potem nie wybaczę. Chcę dalej startować w Pu-

charze Świata i czekać na jakieś zawody na szybkim stoku, żeby znów pobić rekord.

I będzie pan marzył, że któregoś dnia jednak otworzą Les Arcs?

Mam dużo czasu przed sobą, w tym sporcie nawet po czterdziestce można zdobywać tytuły, jeżdżą 50-latkowie. Zresztą zainteresowań mam sporo i pewnie coś jeszcze wymyślę. ▢

Przez tych kilka sekund pędu jest czas, żeby o czymś pomyśleć?

O utrzymaniu opływowej sylwetki. Nie jest to łatwe, bo przeciążenia są ogromne. Mówią o nas, że jesteśmy najszybszymi niezmotoryzowanymi na ziemi. Na wypłaszczeniach tak wciska w ziemię, że trudno ustać. Wtedy liczy się nie tylko siła nóg, rąk, ale i mięśni brzucha. A po całym dniu treningów najbardziej boli kręgosłup: od taszczenia nart, które ważą 15 kilo, od sprasowania przez obciążenia i obcisły kombinezon. Jak go włożę, to barki są wbite w tyłek. Jest duszno. Żadna przyjemność.

Skąd to panu w ogóle przyszło do głowy?

Kusiło mnie bicie rekordów. Wiedziałem, że było przede mną tylko dwóch Polaków. Znałem rekord pana Jacka Niklińskiego i chciałem go pobić. Pobiłem, a potem się okazało, że jest jeszcze rekord nieoficjalny, powyżej 200 na godzinę, ustanowiony przez Andrzeja Tobiasza. Ten też pobiłem, a apetyt dalej rósł. Zawsze marzyłem, że będę alpejczykiem, specjalistą od najszybszych konkurencji. Ale nie było mi to dane, bo kontuzja wyrzuciła mnie z tego sportu, gdy jeszcze byłem w liceum.

Jest we mnie głód szybkości, lubię ten dreszczyk. Skakałem ze spadochronem, bawię się w kanioning, czyli przepławianie się w dół górskich potoków.

Gdy pan teraz ogląda narciarzy alpejskich, jak nadstawiają kark, jadąc 140 km/h w Kitzbuehel, myśli pan sobie: co tak wolno?

Absolutnie nie. Wiem, ile to kosztuje – skakać i skręcać z taką prędkością. My jeździmy szybciej, ale mamy większe przestrzenie, trasa jest w kształcie lejka, jak skocznia narciarska. A oni jeżdżą między ścianami. U nas raczej nie ma ryzyka, że podczas upadku w coś uderzymy. Albo że złapiemy nogą siatkę i nas rozerwie, że przy skoku upadniemy głową w dół.

Jest jeszcze jedna ważna różnica.

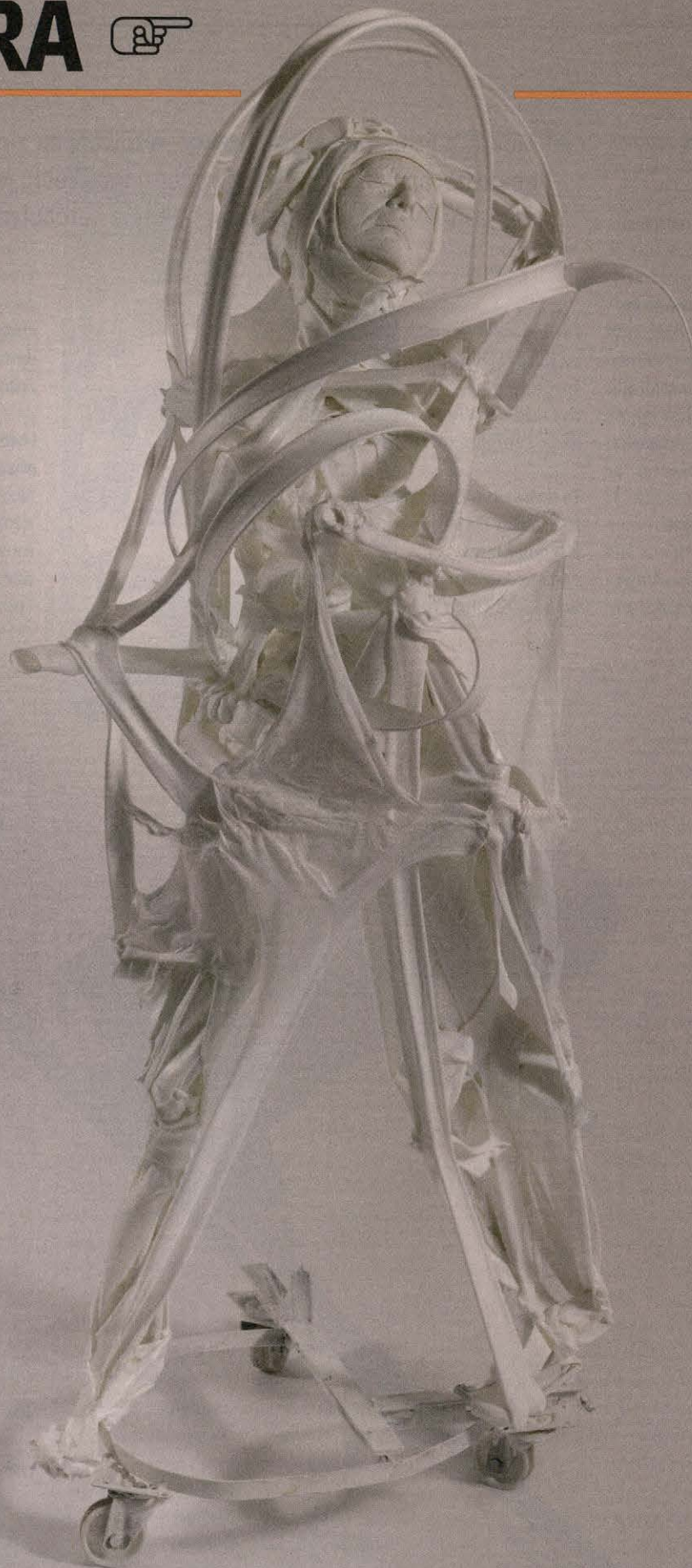
W narciarstwie alpejskim się zarabia.

A u was – dokłada.

Na podstawowy sprzęt: kask, kombinezon, specjalne szersze i dłuższe narty, kijki robione na zamówienie, trzeba wydać jakieś 20 tysięcy złotych. Na szczęście wystarcza na długo. Najdroższe jest jeżdżenie na treningi i zawody, wyjazd na 12 dni to jakieś 15 tysięcy. I muszę



DOMINIC FAVRE/AFP



ZBIERKA UPRZEŻENIA I ARTYSTY. FUNDACJA GALERIA FORSAŁ. OBRAZ INDEGRETIENSGHNEIDER (3)

STACH SZABŁOWSKI

Inni z plastiku

W cynicznym, wyliczonym co do eurocenta świecie sztuki **Paweł Althamer** wciąż pragnie być szamanem i cudotwórcą – i uchodzi mu to na sucho. We Wrocławiu wpuścił do poniemieckiego betonowego schronu armię białych widm – rzeźby, które wyglądają jak duchy.

Najpierw trzeba wejść do schronu. Dziś mieści się w nim tymczasowa siedziba Muzeum Współczesnego Wrocław. Budowla robi wrażenie; jej ciężar czuje się niemal fizycznie. Bunkier Strzegomski zajmowany obecnie przez Muzeum należał do sieci schronów przeciwlotniczych, które Niemcy zaczęli budować we Wrocławiu na początku lat 40. Schron kojarzy się nam z podziemnymi kazamatami, ale ten bunkier niezbyt je przypomina. Masywna rotunda pnie się w górę na 25 m i ma fasadę jak świątynia. W razie nalotu mogła się w nim schronić zaledwie garstka spośród setek tysięcy mieszkańców miasta, ale Niemcy wznosili tego rodzaju betonowe mastaby przede wszystkim ku pokrzepieniu serc – widok potężnej budowli miał działać uspokajająco na nęką bombardowaniami ludność. Inna sprawa, że liczące sobie ponad metr grubości ściany z żelbetu rzeczywiście są w stanie sporo wytrzymać; podczas oblężenia Festung Breslau miasto zostało niemal zrównane z ziemią, ale Bunkier Strzegomski i inne, podobne do niego schrony naziemne wyszły z tego piekła niemal bez szwanku.

Kiedy wchodzi się do Bunkra Strzegomskiego, trudno oprzeć się wrażeniu wkraczania do betonowego grobowca. Na wystawie Althamera to skojarzenie, zawsze silne, nabiera dodatkowej mocy. Grobowiec opanowały duchy. Tak w każdym razie wygląda to na pierwszy

rzut oka. Klaustrofobiczne przestrzenie schronu wypełnia tłum białych figur. Ich ciała, uformowane z plastycznej materii zawieszanej na metalowych szkieletach, przypominają snujące się pasma ektoplazmy. Twarze to maski pośmiertne odlane w gipsie. Pikanterii całej sytuacji dodaje fakt, że ta kolekcja oblicz należy bez wyjątku do żyjących ludzi, w dodatku nierzadko znanych i łatwo rozpoznawalnych.

Prywaciarze, pionierzy i marzyciele

Na tej wystawie można ulec złudzeniu, że jest się w czyścicu pomiędzy tłumem błakających się zagubionych dusz. Widmowy charakter ekspozycji działa na wyobraźnię, ale rozum przypomina, że to tylko figury. Althamer, performer, aukcjoner przedkładający zawsze żywe doświadczenie nad artystyczny przedmiot, zrobił klasyczną wystawę rzeźby? Odpowiedź brzmi: tak, a nawet wręcz przeciwnie. Althamer jest z wykształcenia rzeźbiarzem, ale tworzonym przez niego figurom zawsze bliżej jest do totemów i fetyszy niż konwencjonalnych dzieł sztuki. Jego rzeźby zbudowane są z materii, ale ożywiane stojącymi za nimi ludźmi, zdarzeniami i historiami.

Historia widm z Bunkra Strzegomskiego zaczyna się pod Warszawą na początku lat 80. W tych przedkapitalistycznych czasach ojciec artysty Adam Althamer założył wraz ze współnikiem firmę Almech. Produkowali wodę de-

stylowaną do akumulatorów oraz plastikowe opakowania, które wytwarzali za pomocą maszyn własnej konstrukcji. W rodzinnej firmie pomagał także młody Paweł Althamer.

Dzieje Almechu wpisują się w romantyczny mit polskiej transformacji – w epopeję o pionierach kapitalizmu, prywatnej inicjatywie, marzeniach o własnej firmie i braniu spraw w swoje ręce. Następny rozdział w historii przedsiębiorstwa Althamerów nastąpił po trzech dekadach od jego założenia, w neoliberalnej rzeczywistości, kiedy na zdominowanej przez wielkie korporacje scenie biznesowej zostaje coraz mniej miejsca dla rodzinnych biznesów, małych podwarszawskich wytwórni oraz pełnych entuzjazmu wynalazców samodzielnie konstruowanych maszyn.

Nieoczekiwana zmiana miejsc

Jesienią 2011 r. nieco staroświeckie, pachnące polskimi latami 90. logo Almechu pojawiło się niespodziewanie na reprezentacyjnej alei Berlina, Unter-

EMANUELA SWAR
Po lewej: rzeźba „Bärbel”, poniżej fragment rzeźby „Ognisko”. Obie możemy oglądać na wystawie we Wrocławiu.



der Linden. Co więcej, zastąpiło logotypy dwóch wielkich globalnych korporacji, Deutsche Banku i Muzeum Guggenheima; obie instytucje współprowadziły wówczas w stolicy Niemiec prestiżowe muzeum pod szyldem Deutsche Guggenheim. Cała firma Almech wraz z pracownikami i parkiem maszynowym została tymczasowo przeprowadzona do berlińskiej galerii – i przestawiona na produkcję sztuki. Tymczasem ze skromnej siedziby przedsiębiorstwa Adama Althamera w podwarszawskiej Wesołej zniknął szyld „Almech”, zamiast niego zawisło dumne „Deutsche Guggenheim”.

Nieoczekiwanej zamiany miejsc między potężną berlińską galerią a małą podwarszawską wytwórnią plastiku mógł dokonać tylko Paweł Althamer. Artysta poniekąd specjalizuje się w takich operacjach: jest mistrzem w rozszczelnianiu hermetycznego systemu sztuki współczesnej, otwieraniu muzeów na innych ludzi, inne sprawy – słowem, na nieprzewidywalny żywioł „prawdziwego” życia. Althamer lubi uruchamiać siły podobne do tych, które działają podczas karnawału – świąteczną energię, która wywraca do góry nogami panujący porządek. Oto mały Almech przejmuje miejscówkę znanego muzeum w Berlinie; wykluczeni wkraczają do pałaców sztuki, by zająć w nich przywilejowane miejsca.

Jak Robin Hood

Althamer jest słynny, więc drzwi muzeów stoją przed nim otworem, on jednak przez te ufnie odryglowane wrota wpuszcza do instytucji sztuki Innych. W miejscu przeznaczonym dla Althamera pojawiają się bezrobotni (Wiedeńska Secesja), więźniowie (Westfälischer Kunstverein), „trudna młodzież” z Bródna (Maastricht). W Migros Museum für Gegenwartkunst w Zurychu artysta zaproponował wymianę całego personelu instytucji na dzieci. W Utrechcie (2004) scedował udział w wystawie na siedmioletnią wówczas córkę Weronikę.

W 2003 r. wykorzystał budżet wystawy w nowojorskiej The Wrong Gal-



PAWEŁ ALTHAMER

ur. 1967. Absolwent warszawskiej ASP, student stynnej Kowalni, czyli pracowni Grzegorza Kowalskiego. Jeden z najbardziej rozpoznawalnych w świecie polskich artystów. Performer. Zajmuje się rzeźbą, tworzy instalacje, filmy wideo.

lery na zatrudnienie bezrobotnych emigrantów z Polski. Zlecił im doszczętne zdemolowanie galerii, a potem jej gruntowne wyremontowanie. Z materialnego punktu widzenia bilans akcji był zerowy; nic nie powstało. Pozostał czysty proces i akt redystrybucji kapitałów sztuki, które trafiły w ręce emigrantów. Althamer lubi grać z dziwną rzeczą zwaną ekonomią sztuki. To bardzo szczególna, karnawałowa ekonomia, oparta w dużej mierze na rytualnym marnotrawstwie, ekscyście, potlaczach. Instytucje sztuki są chętne do „marnowania” pieniędzy na najbardziej ekstrawaganckie projekty artystów – muszą tylko wierzyć, że wydatki zwrócą się w postaci kapitałów symbolicznych: chwały, prestiżu, rozgłosu. Ba, muzea gotowe są nawet pomóc bezdomnym albo zainwestować w infrastrukturę zaniedbanych dzielnic – pod warunkiem że zostanie to ujęte w ramy projektu artystycznego. Wypróbując swoją władzę nad tą szczególną ekonomią, Althamer odkrył, że pozycja znanego artysty pozwala mu występować w roli Robin Hooda, który zabiera bogatym (instytucjom) i kieruje zasoby sztuki gdzie indziej – na przykład na Bródno, gdzie wykorzystał budżet przeznaczony na udział w zbiorowej wystawie w Galerii Zachęta do wyre-

montowania miejscowego placu zabaw. Kilka lat później Althamer użył swego artystycznego autorytetu do zrealizowania na osiedlu Parku Rzeźby. Znalazły się w nim dzieła międzynarodowych gwiazd, między innymi Olafura Eliassona i Rirkrita Tiravaniji. Sam Althamer wraz z sąsiadami z bloku przy Krasnobrodzkiej 13 zajął się stworzeniem zespołu bajkowo zaaranżowanej zielni, Rajskiego Ogrodu. Artysta zrobił realną różnicę; przekierowywanie środków finansowych, energii i prestiżu sztuki na Bródno doprowadziło do rewizji wizerunku dzielnicy; blokowisko, któremu wieszczono przyszłość slumsu, stało się celem pielgrzymek hipsterskiej publiczności artystycznej, ale przekonało również władze lokalne, że los osiedla nie jest przesądzony, a sztuka może być narzędziem społecznej zmiany.

Szaman, czyli jeden z wielu

Althamer społecznikiem? Owszem, ale dość szczególnego pokroju. Jest artystą, dla którego istota sztuki dzieje się między ludźmi, we wzajemnych relacjach, wspólnej pracy, w spełnianiu marzeń – a ewentualne dzieła są tylko efektem ubocznym działania uruchomionych przez twórcę procesów i emocji. Jed-

nak w czasach, w których większość artystów tłumaczy swoją sztukę twardym językiem socjologii gęsto nadziewanym marksistowskimi terminami, Althamer bez żenady przedstawia własne poczynania z perspektywy duchowej. Mówi o kosmicznej równowadze, swoich doświadczeniach przebywania poza ciałem, cofaniu się pamięcią do poprzednich wcieleń. Zapytany w jednym z wywiadów o artystycznych mistrzów, za którymi podąża, odpowiedział: „Mam ich wielu. Począwszy od moich dzieci, kończąc na Jezusie Chrystusie i Buddzie”. Obok Althamera – artysty społecznego, organizującego akcje łączące sąsiedzkie wspólnoty i budującego parki cudów na blokowiskach, istnieje także inny Althamer – poszukiwacz trudno opisywalnych doświadczeń wewnętrznych, samotnie wyprawiający się w głąb samego siebie, eksperymentujący z odmiennymi stanami świadomości, transem i dobrowolnym odosobnieniem. To artysta, który w 2001 r. w centrum Warszawy zbudował sobie zwieszony na wysokości trzeciego piętra domek na drzewie i żył w nim jak pustelnik, dopóki policja nie wypatrzyła i nie kazała zlikwidować nielegalnie wzniesionej konstrukcji. To także artysta, który w ramach projektu „Tak zwane fale oraz inne fenomeny umysłu” pokazywał zapisy wideo z peyotlowych sesji, które przeprowadzał na meksykańskiej pustyni.

„Jestem jednym z wielu” – chętnie mawia o sobie. Tak właśnie była zatytułowana wystawa, którą w 2007 r. urządził w mediolańskiej Fundacji Trussardi. „Jeden z wielu”, ale za to jaki! Częścią wystawy był monstrualny człokokształtny balon – 20-metrowej długości nadmuchiwany autoportret nagiego Althamera, który uniósł się w powietrze i zawisł nad Mediolanem. Na jesieni oglądaliśmy tę pompowaną, latającą figurę w warszawskiej Soho Factory. To śmieszny autoportret, groteskowa rzecz. To tylko balon, ale jednak wielki i na swój sposób wspaniały. Althamer potrafi natchnąć sąsiadów z blokowiska na Bródnie szalonymi ideami i namówić

„Od ludzi uważanych za szaleńców dzieli mnie to, że w odróżnieniu od nich potrafię na zawołanie zachowywać się normalnie”.

ich, by przebrani w złote kombinezony nieczym jacyś futurystyczni mnisi podróżowali z nim po Europie, do Afryki i Brazylii. To jeden z wielu w tym sensie, że pragnie jak najgłębiej należeć do społeczności, w której żyje, być i pracować wspólnie z innymi ludźmi. Ten „jeden z wielu” odgrywa jednak wyjątkową rolę, podobną do funkcji, jaką w pierwotnych wspólnotach spełniali szamani, uzdrowiciele, ci, którzy utrzymywali łączność z duchami i wszechświatem. Althamer używa zresztą słów takich jak „szaman”, nie dbając o to, że ktoś mógłby uznać je za kompromitujące newageowe banialuki.

Wystawa produkowana na żywo

„Od ludzi uważanych za szaleńców dzieli mnie głównie to, że w odróżnieniu od nich potrafię na zawołanie zachowywać się normalnie, trzymać kontrolę. Gdybym nie kamuflował swego zachwytu i wyrażał spontanicznie sposób, w jaki przeżywam świat, zostałbym niechybnie uznany za szaleńca i gdzieś zamknięty” – mówił Althamer w wywiadzie udzielonym przed laty koledze ze studiów Arturowi Zmijewskiemu. Na tym polega sekret tego artysty; Althamer potrafi mówić jak nawiedzony, ale jego natchnione wizje urzeczywistniają się tu i teraz – i są bardzo konkretne. Tak było w Deutsche Guggenheim. Artysta zmienił muzeum w zakład Almechu, a moce przerobowe firmy przestawił na produkcję rzeźb. Wychodzące z maszyn elastyczne pasy białego plastiku, na co dzień używane do tworzenia opakowań, były na gorąco nakładane na metalowe stelaże ludzkich figur. W ten sposób powstawały niezwykle improwizowane rzeźby, wyglądające trochę jak mumie, trochę jak duchy, a trochę jak impresje barokowej rzeźby z pokolenia Berniniego. Oblicza figur były zaś odlewami twarzy widzów, któ-

rzy przyszli obejrzyć wystawę. W momencie otwarcia w Guggenheimie nie było bowiem ani jednego gotowego dzieła. Wystawa produkowana była na bieżąco, na oczach zwiedzających. Ci występowali w roli widzów, obserwujących, jak ekipa Althamera drapuje ciepłe jeszcze i plastyczne tworzywo sztuczne. Byli jednak również modelami; odlewy twarzy gości galerii również zdejmowano na miejscu i na oczekaniu montowano na rzeźbach. Niektóre oblicza z tej galerii portretu to znane twarze art worldu, polscy i międzynarodowi kuratorzy, artyści. Inne mają rysy sprzętaczek, strażników i szeregowych pracowników Deutsche Guggenheim. Jeszcze inne należą do widzów, którzy spontanicznie dali się wprzeznąć w althamerowską maszynę produkcyjną. Wszystkie twarze łączy jedno: podczas zdejmowania gipsowego odlewu twarzy trzeba zamknąć oczy. W rezultacie cała ta kolekcja portretów przypomina zbiór pośmiertnych masek.

Althamer w Guggenheimie znów był „jednym z wielu”. Podobnie jak inni przywiezieni spod Warszawy pracownicy Almechu, ubrany w roboczy kombinezon obsługiwał maszyny wypływające pasy białego plastiku, modelował, odlewał w gipsie, pracował.

Po akcji w Deutsche Guggenheim została kolekcja widmowych figur. Dorota Monkiewicz, dyrektor Muzeum Współczesnego Wrocław i kuratorka wystawy, przyznaje, że Althamer interesuje się swoimi dziełami tylko wtedy, kiedy je tworzy, produkuje – kiedy są częścią akcji, działania i życia. Na wystawie we Wrocławiu widz przypomina sobie jednak, że skoro już mówimy o życiu, to jego częścią jest również i śmierć. Almech ze swoją załogą i maszynami dawno wrócił do podwarszawskiej Wesołej – i swojej normalnej działalności. Performance się skończył, plastik zastygł – podobnie jak utrwalane w gipsie oblicza widzów berlińskiej wystawy. Zgromadzone w mrocznym schronie-grobowcu rzeźby powracają z nową siłą – tym razem jako kolekcja widm, duchów żywych ludzi.



Paweł Althamer
Polietylen.
W ciemności
Muzeum Współczesne
Wrocław,
do 15 kwietnia

ADRIANA PRODEUS

Sprawcza moc kina

Berlinale, jeden z najważniejszych filmowych festiwali na świecie, odbył się w tym roku po raz 63. Poza tradycyjnymi projekcjami i konkursem oferował również sporo nietypowych akcji.

Podczas jednego z festiwalowych pokazów trzeba było zanurzyć się w basenie. Unosząc się na wodzie i patrząc na sufit, oglądaliśmy projekcję slajdów z rysunkami na okładce książki Johna Cage'a usypanymi z kokainy. Kiedy włożyło się głowę pod wodę, słyszało się jego muzykę. Rozgrzane, parujące tło dla wrażeń filmowych miało umożliwić całkowite doświadczenie jednej z instalacji Hélio Oiticica, brazylijskiego artysty nowojorskiej sceny lat 70. Seria seansów jego relaksującej „Kosmokoki” (obraz, dźwięk, przestrzeń) cieszyła się tu wielkim powodzeniem. Może dlatego, że pozostałe seanse stawały zupełnie inne wzywiania.

Polityka i gwiazdy

Jedno to zrozumieć problemy polityczne, od kilku lat niezmiennie krążące wokół środowiska LGBT, więźniów politycznych czy krytyki konsumpcjonizmu. Drugie – popatrzeć na gwiazdy (w tym roku były to m.in.: Shia LeBouf, Jude Law, Charlize Theron czy Rooney Mara), które nawet kiedy grają w ambitnych filmach, jak Juliette Binoche u Bruno Dumonta, pytane są na konferencjach prasowych: „Co lubi pani robić w czasie wolnym?”. Trzecie: zobaczyć film

„Top of the Lake” to miniseriał kryminalny, a właściwie sześciogodzinny film, ekranowa powieść pełna motywów i postaci przewijających się w twórczości nowozelandzkiej reżyserki.

znanego reżysera, nawet słaby (w tej kategorii wymieniano nazwiska Wong Kar-Waia czy Gusa van Santa).

W festiwalowej masie natrafia się na wiele filmów bez stylu, charakteru, wdzięku czy humoru. Są też takie, które bawią, nawet jeśli tylko przez chwilę, jak hipsterski mockument „Computer Chess” Andrew Bujalskiego o szachowych arcymistrzach lat 80., pojedynkujących się z komputerami. Nieostry, nakręcony kamerą wideo z epoki jest jednak śmiesznym, wystylizowanym gadżetem, a nie filmem.

Prawda i kobiety

Na drugim biegunie znajduje się kino szantażujące prawdą, jak „Za zasłoniętą kurtyną” irańskiego dysydenta Jafara Panahiego. Po głośnym „This is Not a Film”, przemyconym na pendrivie do Cannes dwa lata temu, reżyser skazany na sześć lat więzienia za antyrządową propagandę draży sytuację aresztu. Opowieść o duchach twórczych uwięzionych w domu reżysera udowadnia, że w skrajnym ograniczeniu kino umiera. „Za kratą filmów kręcić się nie da” – mówi Panahi. W Berlinie dyskutowało się o jego wiarygodności, o tym, na ile obecność filmu w głównym konkursie jednego z największych światowych festiwali jest listkiem figowym irańskich władz.

W Muzeum Kinematografii przy placu Poczdamskim widać wyraźnie, że historia niemieckiego kina skupia się wokół postaci dwóch kobiet: Marleny Dietrich i Leni Riefenstahl. Musiały patronować tegorocznej edycji, gdyż najciekawsze prezentowane filmy dotyczyły kobiet, a nagrody za całokształt przypadły Isabelli Rossellini oraz Rosie von Praunheim (pseudonim NRD-owskiego działacza gejowskiego).

Nadzieja i choroba

Ulrich Seidl domknął tryptyk „Raj” częścią „Nadzieja”. Po historii seksturystry w Kenii („Miłość”) oraz dewotki z misją nawrócenia („Wiara”) pokazuje pierwszą miłość dziewczynki na obozie odchudzającym. Jej wybrankiem jest starszy mężczyzna – lekarz. Ten bodaj najjaśniejszy film w karierze austriackiego twórcy, znanego z upodobania do ohydy i groteski, tym razem pełen jest slapsticku, żartu. Po raz pierwszy Seidl daje też bohaterce szansę na niewinność oraz schronienie przed toksyczną relacją.

Wioskę kobiet po przejściach, osadę zwariowanych hipisek w kontenerach wśród nowozelandzkiej przyrody, w której odreagowuje się traumy z facetami (np. wieloletni związek z gorylem), wymyśliła i nakręciła Jane Campion. Jej

„Top of the Lake” to miniseriał kryminalny, a właściwie sześciogodzinny film, ekranowa powieść pełna motywów i postaci przewijających się w jej twórczości.

Statyczny portret rzeźbiarki Camille Claudel umieszczonej na ostatnie 29 lat życia w szpitalu dla umysłowo chorych uchwycił znany z Festiwalu Nowe Horyzonty Bruno Dumont. Długie ujęcia ukazujące codzienność klasztoru, udrękę pacjentów skupiają się na postaci cierpiącej, dumnej kobiety wykluczonej przez rodzinę, kochanka, zastraszone kobiety, zawistnych mężczyzn. To także film o walce między artystami.

Tabletki i Szumowska

Kanadyjczyk Denis Côté, chętnie odmałowujący udrękę na twarzach kobiet, w „Vic i Flo zobaczyły niedźwiedzia” kaze tytułowej parze lesbijek konać we wnykach na niedźwiedzie. Powstał wizualnie piękny, perwersyjny, lecz pusty film. Żadnych wniosków nie udało się też wysnuć Michaelowi Winterbottomowi z historii erotyki. Jego „The Look of Love” o przesuwaniu granic żeńskich negliży pozostał tylko seria anegdot.

Interesująco wypadły zaś „Skutki uboczne” Stevena Soderbergha, które można nazwać thrillerem farmaceutycznym o kobiecej depresji, w sło-

AF **Polski koń w wyścigu po Niedźwiedzie: Szumowska zrobiła film dużo lepszy od „Sponsoringu”, śmielszy poetycko. Pewnie gdybyśmy oglądali „W imię” w Gdyni, zaskoczyłby nas oryginalnością.**

iczkach z tabletkami tropiącym moc podświadomości. Milcząca, nieśmiała lunatyczka z tego filmu jednym celnym ruchem sprawiła, że 1600-osobowa widownia wypełniona po brzegi Berlinale Palast w tej samej sekundzie jęknęła: „Ach!”. Dla tego poczucia wspólnoty, jednoczesnej reakcji jeździ się na festiwalu.

Polski koń w wyścigu po Niedźwiedzie: Małgośka (wersja imienia wymawialna za granicą) Szumowska zrobiła film dużo lepszy od „Sponsoringu”, śmielszy poetycko. Pewnie gdybyśmy oglądali „W imię” w Gdyni, zaskoczyłby nas oryginalnością, w Berlinie jednak, dokąd przywozimy większe oczekiwania, pozostawił rozczarowanie. Szkoda, że reżyserka wciąż wydaje się podlegać wewnętrznej cenzurze, sprzyjać wyrogom festiwalowej poprawności: prowokacji kontrolowanej, asekuracyjnej. Zachwycają niektóre obrazy: dżungla

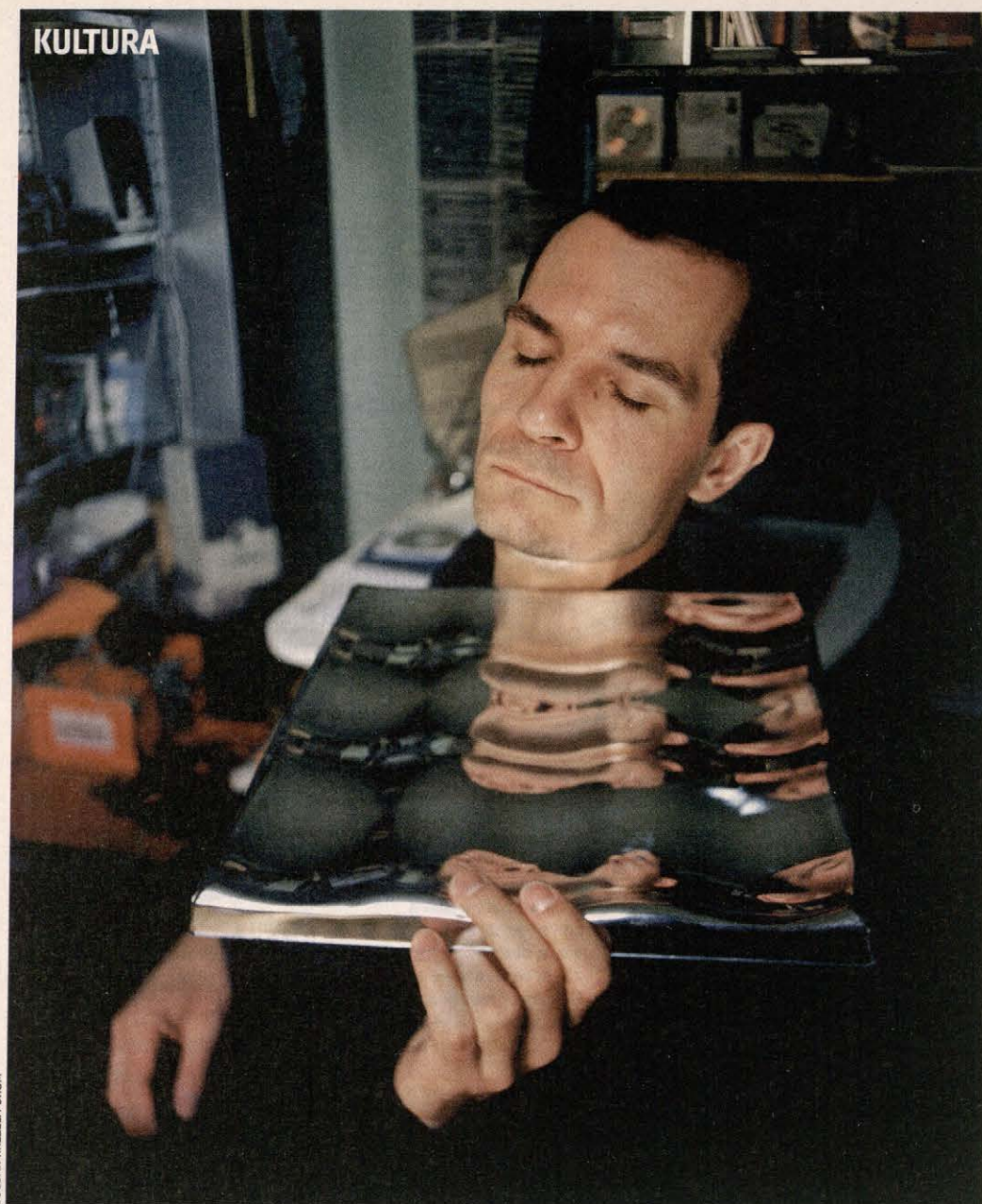
Statyczny portret rzeźbiarki Camille Claudel umieszczonej na ostatnie 29 lat życia w szpitalu dla umysłowo chorych uchwycił znany z Festiwalu Nowe Horyzonty Bruno Dumont.



kukurydzy, nocna wyprawa z latarniami. Nie rozumiem jednak, dlaczego film o homoseksualnej miłości katolickiego księdza pozbawiony jest świętokradstwa oraz – paradoksalnie – erotyzmu. Między grającymi kochanków Andrzejem Chyrą i Mateuszem Kościukiewiczem nie ma chemii, stan kapłański nie jest tabu, w centrum stoi różnica wieku i statusu społecznego. Prorocza okazała się za to scena pijackiego tańca z portretem papieża – śmiało się, że dwa dni po premierze filmu zwierzchnik Watykanu ogłosił odejście.

Komu Niedźwiedzia?

Kto zwycięży w tym roku? Tutejsze werdykty trudno zrozumieć jak ostatnio, gdy wygrał bardzo przeciętny film braci Tavianich. W chwili zamknięcia tego numeru najwyższe oceny krytyki w magazynie „Screen” ma wciąż chilijska „Gloria”, czuła opowieść o rozwódce szukającej miłości. Czy średni film pogodzi wielbicieli radykalnej „Camille Claudel 1915” (na którą stawiam) ze zwolennikami świetnego, komercyjnego kina Soderbergha? A może wybór padnie na mniejsze, lecz spełnione kino – rumuński „Child’s Pose” albo Ulricha Seidla za styl wypracowany latami? Którykolwiek tytuł nagrodzą jurorzy, papież na pewno się do tego odniesie. ☞



DOMINIKA WĘCŁAWEK

Jestem wszystkoikiem

Nie nosi ograniczeń, nie lubi marnować czasu, nie przepada za podziałami. Nagrywa muzykę, występuje na żywo z kilkugodzinnymi koncertami. Projektuje okładki, prowadzi wydawnictwo. Człowiek renesansu? Nie, ktoś znacznie bardziej nowoczesny. To **Wojciech Kucharczyk**.

W założonym i prowadzonym przez Kucharczyka Mik Musik w 2012 r. ukazało się ponad 20 nowych albumów, reedycji i singli. Sześć do każdego z tytułów dołożył swoją cegiełkę. W jaki sposób? Pomagał w nagrywaniu, wykonywał mastering, projektował grafikę. Taki już jest, że zawsze rozciąga opiekę nad artystami.

– Robię też różne rzeczy dla ludzi spoza Mik Musik, na przykład instalacje dźwiękowe czy wideo. Realizuję najróżniejsze zamówienia specjalne – wyciąga Wojtek, człowiek będący nieustannie w robocie. A to dlatego, że po prostu nie lubi czekać. – Jest coś do zrobienia, to robię to. To jest właśnie mój system – przyznaje.

Nadaktywnie

Zawsze tak było. Kucharczyk jest zdeklarowanym przeciwnikiem dzielenia sztuki na dziedziny, zamykania się w wąskich kategoriach, mawia, że to podział sztucznie podtrzymywany na potrzeby biznesu. Pytany o to, kim jest, odpowie więc „Jestem Wojtek Kucharczyk... i jest mi z tym coraz lepiej. Moją specjalizacją jest wszystkoizm”.

Specjalizował się od dziecka: grał, malował, tańczył, rzeźbił, pisał, śpiewał, podróżował. A gdy dorósł i wziął się do pracy, zajmował się pisaniem felietonów, scenografią operową i robieniem wystaw.

– Może w naukach ścisłych jestem słaby, ale nie bez przyczyny nagrałem kiedyś album „Zajmująca fizyka”. Dla mnie zawsze nadrzędny jest temat, narzędzia do jego zrealizowania dobieram potem. Czyli są rzeczy, które lepiej jest sfotografować, i inne, które lepiej zagrać na bębnach – wyjaśnia obrazowo Wojtek. Pojawianie się kolejnych dziedzin działalności widzi jako nawarstwianie się wątków, efekt zbierania doświadczeń, nabywania świadomości, odbywania drogi w czasie, ale i przestrzeni. Bo Kucharczyk nie jest wcale typem nieruchawego pracocholika i prawdziwe eskapady też lubi. Przywozi z nich przede wszystkim nagrania. Terenowe, kiedy łapie dźwięki ulic, śpiewy grajków, odgłosy miast, ale też i studyjne

– czego dowodem może być wydana dwa lata temu w Mysticu, a zarejestrowana w Miami i Meksyku, płyta podpisana pseudonimem The Complainer zatytułowana „The Amor”. Od jego premiery Wojtek zdążył przygotować krążek z Moir Drammaz i nagrać dwa następne albumy w ramach zakończonego w 2012 r. wspomnianego projektu Complainer. W styczniu zaś, już pod własnym nazwiskiem, zaczął tworzyć album „rosnący”. „Bank Account” istnieje na razie wirtualnie w serwisie Bandcamp. Tu co kilka dni publikowany jest kolejny utwór, czasem nawet z teledyskiem. W sześć tygodni zebrało się 12 piosenek. Pewnie byłoby więcej, ale Wojtek w międzyczasie przygotowywał do wydania stuutworowy (!), cztero-płytowy album Tsara Poloza znanego wcześniej jako Deuce.

„Bo Kucharczyk jest nadaktywny” – mawiają o nim inni wydawcy i twórcy. Kucharczyk się broni, mówi, że to nie tak. – Ja po prostu zachowuję intensywność. Nie robię większości z tych rzeczy kompulsywnie. Staram się mieć plan. Czasem życie wymusza chaos, ale nauczyłem się go opanowywać – tłumaczy. Owszem, dużo działa, ale sam raczej postrzega to inaczej. – To większość innych artystów jest leniwa i nieaktywna. Marnują się, wysiadując za długo na niepotrzebnych imprezach i przydługich wakacjach – ocenia. I pokazuje, że można osiągnąć poprzez właściwe współdziałanie, tak dobrze charakteryzujące Mik Musik.

Kolektywnie

Był ten najłatwiej postrzegać w kategoriach alternatywnej wytwórni płytowej, choć sam Kucharczyk unika, jak może, jednoznacznej definicji. Jego rola jest kluczowa, choć w żadnym razie nie czuje się panem i władcą. – Pewnie, mam w tej pracy największe doświadczenie, robię to od prawie dwóch dekad, ale słucham ludzi, pytam ich o zdanie, tłumaczę, dając zarazem wytłumaczyć sobie – mówi Kucharczyk. Ten walor komunikacyjny świetnie wyraża się na koncertach. Jeśli artyści mikmusikowi występują na jednej imprezie, to czynią to razem, nie

W styczniu zaczął tworzyć album „rosnący”. „Bank Account” istnieje na razie wirtualnie w serwisie Bandcamp. Tu co kilka dni publikowany jest kolejny utwór, czasem nawet z teledyskiem.

dzieląc się na pojedyncze projekty. Zamiast tego tworzą nową jakość. Zdarzało się więc nieraz, że muzycy wspólnie improwizowali, ktoś dośpiewał spontanicznie jakiś fragment piosenki, ktoś inny opowiedział anegdotę między utworami. To ma eliminować problemy związane z ego, które, jak tłumaczy Kucharczyk, sztukę niszczy. A ludzie z Mik Musik pracują w jednym celu. Każdy ma wynieść dla siebie jak najwięcej.

– Historycznie rzecz ujmując, najlepiej kolektywność widać w książce „Na sam koniec” wydanej w 2008 r. przez Ars Cameralis, na zamknięcie „starego” Mik Musik. Niby autorem jestem ja, ale tak naprawdę całość jest dziełem wspólnym. Obrazki pokazują mieszanie się talentów, wiele prac, które wykonaliśmy razem, czasem dosłownie siedząc w jednym pokoju – tłumaczy Wojtek.

Kosmopolitycznie

Do tej publikacji warto zajrzeć, nie wolno też przegapić poligrafii mikmusikowych płyt. Kucharczyk lubi bawić się formą, czasem zamyka albumy w kartonowych pudełkach, przygotowuje projekty mocno korespondujące z muzyką – jak w przypadku własnego „Saint Tinnitus is My Leader”, inspirowanego renesansowym obrazem „Ambasadorowie”. Wszystkie wydawnictwa dostępne są do przesłuchania w wersji cyfrowej na stronach internetowych oficyny, fizyczne nośniki rozchodzą się zaś po całym świecie. Mniej więcej połowa nakładu zawsze opuszcza Polskę. – Zamówienia przychodzą zewsząd. Australia to na razie najdalszy region, gdzie dotarł nasz album. Stałych odbiorców mamy w Meksyku i w Japonii. Dystrybuowało nas już londyńskie Rough Trade, wiedeńskie Mego, w Kolonii A-Musik, w Hamburgu Stora – wyciąca



Mik Musik przez 18 lat swojej działalności wydał ponad 100 płyt, z tego około 80 na krążkach i około 30 online. Gatunkowo dominuje alternatywna elektronika.

Kucharczyk. Dodaje też, że jak wielu innych małych wydawców wymienia się płytami z kolegami po fachu z różnych stron świata. – To norma w tym świecie: mały przepływ gotówki, duży przepływ dóbr – wyjaśnia artysta. Do tychczas największym strzałem, jeśli chodzi o sprzedaż fizycznych nośników na świecie, był album „Boazeria” Moir Drammaz, zespołu Kucharczyka i Asi Miny. Zeszło ponad 2500 sztuk, jak wylicza Kucharczyk, może nawet więcej, bo album ukazał się po raz pierwszy w 2000 r., a po pięciu latach pojawiła się reedycja. Zawsze dobrze sprzedawały się krążki Complainera, na stałym poziomie około 1000 sztuk.

– A teraz ilość mnie nie interesuje, robię małe nakłady dla ludzi, którzy tego potrzebują. Oczywiście, jakbym czegoś sprzedał milion, to się będę cieszyć i w końcu pojedę na jakieś sensowne wakacje, ale nie to jest celem. Chcę, żeby dało się publicznie pokazać różne sprawy, które wydają się normalnemu społeczeństwu „dziwne”, żeby było miejsce dla wszelkiej maści outsiderów, ludzi, którzy myślą podobnie jak ja. No i harmonia jest ważna, równowaga, balans. Przeciwstawiam się ujednolicaniu świata, uwielbiam różnice i właśnie różnice chcę produkować. Zapelniać białe plamy, odkrywać nieodkryte – mówi Wojtek, który jest świadom, że zawojowanie świata mu nie grozi. – To było możliwe na początku lat dwutysięcznych, była lepsza koniunktura na muzykę, także z Polski. Otarliśmy się o wielkie światowe festiwale i wielkich VIP-ów na nich. Z niejednym przybiliśmy piątkę. Ale żeby z tego coś było, potrzebny jest pieniądz albo ktoś wielki, kto cię pokocha wystarczająco mocno. I ten moment się nie wydarzył – podsumowuje Kucharczyk. Biznesowo Mik Musik nie zarabia na płytach, to raczej sfera balansowania na granicy opłacalności. Dopiero koncerty pozwalają wyjść powyżej zera. To Wojtka też jakoś nie stresuje. Mieszka od pewnego czasu z dala od miasta i jego pośpiechu, pracuje w domu. Dzieci ma odchowane. I tylko czasem zbyt długo niepozmywane naczynia patrzą z wyrzutem. Ale tak to już jest z pasją.

WANDA MODZELEWSKA

Biuro budowy środowiska

Artyści, projektanci, a nawet inżynierowie próbują zmierzyć się z wyzwaniem odtworzenia **monumentalnych zjawisk natury**. Co nimi powoduje?



Już za trzy lata w Rio de Janeiro Solar stanie City Tower – gigantyczna elektrownia wodna w formie wodospadu, zaprojektowana przez studio RAFAA. Projekt przygotowujący na okoliczność igrzysk olimpijskich.

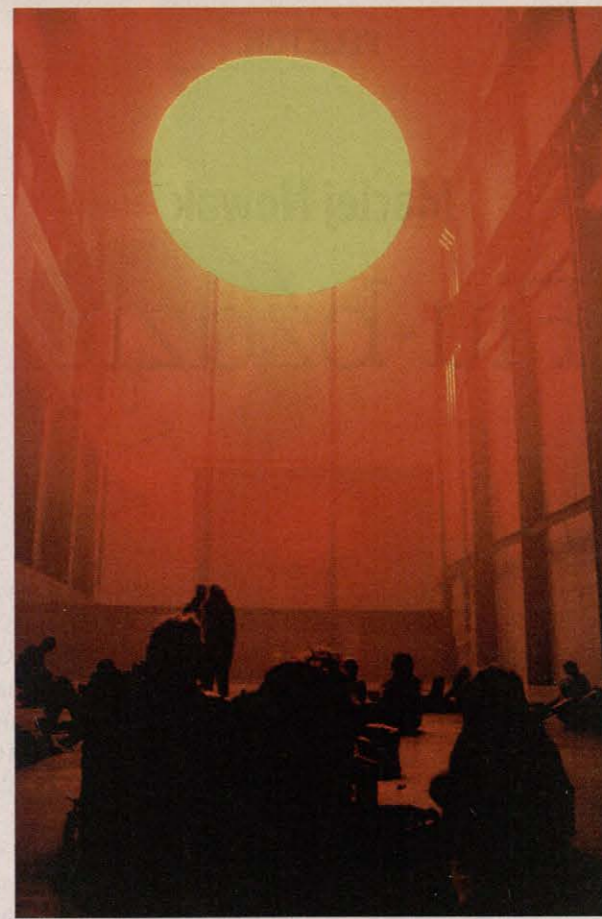
Jednym z artystów najsilniej kojarzonych z tym nurtem jest Olafur Eliasson. Ze swoim ponad 70-osobowym zespołem współpracowników porywa się na takie przedsięwzięcia jak stworzenie sztucznego słońca czy uruchomienie czterech gigantycznych wodospadów w centrum Nowego Jorku. Eliasson, pytany o źródła jego sztuki,

ucieka konsekwentnie od oczywistych skojarzeń z krajobrazem rodzinnej Islandii, choć przyznaje, że jak wielu innym Skandynawom zdarza mu się myśleć, że człowiek jest niczym wobec Natury. Bardzo ważny dla Eliassona jest kontekst, w którym funkcjonuje dzieło sztuki – tak było w przypadku nowojorskiej instalacji. „Chciałem tchnąć życie w martwe miejskie przestrzenie, niepełniące żadnej konkretnej roli. W Nowym Jorku myśliły, że ważniejsze od wody jest Wall Street. Chciałem zwrócić uwagę na coś, co zawsze tam było, a teraz jest niezauważane” – opowiadał w 2008 r. w wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel”. Czyżby więc twórcze zmagania z fenomenami natury były reakcją na naszą znieczulicę, zaburzoną hierarchię wartości, zobojętnienie na piękno przyrody?



Dla islandzko-duńskiego artysty istotne jest fizyczne doświadczenie obcowania z jego dziełami i ich percepcja. Najbardziej znana praca Eliassona, „Weather Project”, zamieniła Halę Turbin w londyńskiej Tate Gallery w gigantyczną plażę, ale także w miejsce spotkań, spontanicznych happenin-gów i politycznych protestów. Słońce zbudowane z setek specjalnych lamp i luster zadziało na setki tysięcy zwiedzających niczym prawdziwa życiodajna gwiazda.

Są jednak projekty naśladowujące przyrodę, którymi może cieszyć się bardzo wąskie grono odbiorców. Należą do nich instalacja „Hypersky”, stworzona przez Clemensa Weisshaara i Reda Crama. Ci dwaj zafascynowani nowoczesnymi cyfrowymi technologiami designerzy na życzenie prywatnego inwestora odtworzyli na suficie jego willi niebo. Cyfrowy fresk jest niezwykle, bo jego wygląd zmienia się stosownie do pory dnia, roku i panującej pogody, dopasowując się do tego, co faktycznie dzieje się na niebie. W ciągu dnia ekran LED transmituje na żywo nagranie nieba z kamery umieszczonej na dachu. Po zapadnięciu zmroku „Hypersky” pozazuje rozgwieżdżone nocne niebo, uwzględniając na nim ruch ciał niebieskich, ale także satelitów oraz samolotów. Gdy pada deszcz, animacja odzwierciedla padanie kropeł na cyfrową powierzchnię, a gdy wieje silny wiatr – termodynamiczną wizualizację ruchu powietrza. Człowiek nie ma żadnego wpływu na formę obrazu pokazywanego na „Hypersky” – o jego wyglądzie decyduje odczyt czujników pogodowych, kamery oraz programu namierzającego samoloty i satelity. Niebo „Hypersky” to zjawisko na poły odzwierciedlające naturę, na poły zaś udoskonala ją – w końcu na nocnym niebie nie co dzień widać gwiazdy, a kiedy patrzymy na lecący samolot, nie wiemy, dokąd leci – to wszystko pojawia się na „Hypersky” dzięki augmented reality, czyli technologii wzbogacania obrazu realnego świata o elementy wygenerowane cyfrowo.



Olafur Eliasson roświetlił galerijne wnętrza alternatywnym zachodem słońca (wykonany z rusztowań, stali i światła). Instalacja o wdzięcznej nazwie „Double sunset” miała premierę w 2000 r. w Utrechcie, a potem była pokazana jeszcze m.in. w londyńskim Tate. Z kolei Holdender Berndnaut Smilde, w galerijnych wnętrzach tworzy chmury.



PAWEŁ ŚLAWSKI/REPORTER

KRAMWEISSHAAR.COM

Również architekci stawiają sobie zadania dorównania naturze. Już za trzy lata w Rio de Janeiro Solar stanie City Tower – gigantyczna elektrownia wodna w formie wodospadu, zaprojektowana przez studio RAFAA. Projekt przygotowywany na okoliczność igrzysk olimpijskich ma pełnić rolę nowego symbolu miasta, śmiało konkurującego z słynną rzeźbą Chrystusa. Konstrukcja ma przede wszystkim dostarczać energię elektryczną z odnawialnych źródeł: baterii słonecznych oraz turbin wodnych – dla wioski olimpijskiej i miasta. Pomieści też amfiteatr, punkt widokowy, restaurację i sklep. Zadziwiające jest przede wszystkim to, jak znakomicie Solar City Tower wpisuje się w krajobraz zatoki Rio de Janeiro. Usytuowana na jednej z przybrzeżnych wysp niemal znika na tle morza i nieba. Ten budynek jest źródłem zielonej energii, a do tego świetnie wpisuje się w piękny, malowniczy pejzaż okolic brazylijskiej metropolii. Właśnie temu ma służyć naturalna „mimikra” stworzona w zaciszu architektonicznej pracowni.

Kopiowanie natury może mieć charakter artystycznej kreacji, tak jak w przypadku Berndnauta Smilde, holenderskiego artysty, który zainspirowany niderlandzkim malarstwem krajobrazowym tworzy w pustych wnętrzach galerii chmury, jak sam żartuje, symbolizujące nieszczęście. Ale kreowanie chmur może mieć także niezwykle utylitarny charakter. Naukowcy z krajów arabskich w tworzeniu sztucznych chmur i burz upatrują skutecznej metody walki z suszą.

Tylko w 2011 r. naukowcy ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich za pomocą jonizatorów cząstek wywołali 52 burze z deszczem tam, gdzie deszcz niemal nigdy nie pada. Choć ta metoda jest na szerszą skalę tańsza od dotychczas stosowanego odsalania wody morskiej, nadal nie jest w pełni kontrolowana i trudno przewidzieć jej długofalowy wpływ na środowisko naturalne. Może więc w naszym naśladowaniu natury czeka nas kolejny poziom zaawansowania?

Maciej Nowak

Fiu-bździu



ARTUR KOT

**Wyrypajew
robi spektakle,
w których wyznaje
niezachwianą
wiarę w logikę
świata, nawet jeżeli
czasami wydaje się,
że popadł
on w szaleństwo.**

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

Na premierze „Ożenku” w reżyserii Iwana Wyrypajewa w Teatrze Studio w Warszawie eleganckie, fiu-bździu towarzystwo, związane z nowym stylem uprawiania teatru, dawało wyraz swojemu niezadowoleniu. Telefony grzały się od esemesów rozsyłanych jak Polska długa i szeroka, a poziom nieukontentowania niczym zły cholesterol zatykał cyfrowe łącza. No tak, twórczość Iwana Wyrypajewa różni się od tego, co dzieje się dzisiaj na najbardziej cenionych polskich scenach. W tej perspektywie współczesny rosyjski styl uprawiania teatru w ogóle wydaje się trochę anachroniczny i nie przez przypadek właśnie w Rosji wyrosła grupa zagorzałych fanów Krystiana Lupy, Krzysztofa Warlikowskiego, Grzegorza Jarzyny czy Jana Klata. W połowie ubiegłej dekady jako Instytut Teatralny organizowaliśmy podróż studyjną po Polsce dla krytyków teatralnych z Moskwy i Petersburga. I wysłuchiwalismy nieustająco głosów zdumienia: czemu tak agresywnie, czemu tak głośno, czemu tak politycznie i dlaczego tak bardzo nie podoba wam się ten nowy świat? Skrupiło się na Eryku Lubosie, który był akurat wtedy ikoną młodego teatru. Zobaczywszy go w „Made in Poland” w Legnicy (reż. Przemysław Wojcieszek), w „Nakręcanej pomarańczy” we Wrocławiu (reż. Jan Klata), w „Cokolwiek się zdarzy, kocham Cię” w Warszawie (reż. Przemysław Wojcieszek) i „Makbecie” w Warszawie (reż. Grzegorz Jarzyna), nasi rosyjscy goście uznali, że Polacy zwariowali, wpuszczając na scenę boksera ze złamanym nosem.

Nowa fala teatru w Polsce opisywana jest często terminem „teatr postdramatyczny” wymyślonym przez niemieckiego autora Hansa-Thiesa Lehmana. W największym uproszczeniu oznacza teatr, który wyrwał się z klasycznych arystotelesowskich więzów dramatycznych i dramaturgicznych. Można szydzić z tego określenia, ale nie należy się obrażać na rzeczywistość, w której taki styl teatru istnieje i cieszy się sporym uznaniem. Czas przystulić też pojęcie następne, blisko z nim spokrewnione: teatr postinscenizacyjny, który niesie w sobie zwątpienie we wszechwiedzącego reżysera-inscenizatora, będącego przez większą część XX w. fundamentem teatru. W teatrze postinscenizacyjnym, zrodzonym najpierw w spek-

taclach Grzegorzewskiego, a kontynuowanym przez Kleczewską, Warlikowskiego, Klata, Zadare, Strzępkę/Demirskiego, Garbaczewskiego, Wodzińskiego, brakuje teleologii, mamy strzępy inscenizacji i strzępy tekstu, przez które aktorzy i widzowie przedzierają się niczym przez zgłiszczą tradycyjnego teatru. Tak się robi przygodę, to jest surwiwal, to pieni krew w żyłach!

Iwan Wyrypajew nie stawia publiczności przed takimi wyzwaniem. On nadal wierzy w gatunki dramatyczne, inscenizację i pewnie dlatego stał się ulubionym reżyserem polskiej klasy średniej. Robi spektakle, w których wyznaje niezachwianą wiarę w logikę świata, nawet jeżeli czasami wydaje się, że popadł on w szaleństwo kontrolowane tak jak w „Ożenku” właśnie. Scena w Studio podzielona jest na dwie przestrzenie. Pierwszą stanowi biały salon, w którym Agafia Tifonowna przyjmuje kandydatów do swej ręki. „Chcecie farsę, macie farsę!” – mówi polskim wyznawcom Wyrypajew, który doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że tak właśnie odbierana jest nad Wisłą twórczość Mikołaja Gogola. Aktorom każe grać w stylu, którego nie powstydziliby się pozostali z komedii dell'arte. Paradują z przyklejonymi długimi nosami, na głowach mają peruki i łysinki. Ręce, nogi, korpusy pracują im niczym u marionetek prowadzonych przez obłąkanego animatora. A jednocześnie Wyrypajew umie zdystansować się do przyjętej konwencji: głos z offu informuje, że Mirosław Zbrojewicz grający Jajecznicę złamał nogę i na scenę wjeżdża na wózku inwalidzkim prowadzonym przez zblazowanego hipstera w ray-banach. Niby jest tylko opiekunem kontuzjowanego, ale też włącza się w matrymonialną drakę. Ten przesadzony, siłowy i nieco manieryczny teatr odbywa się na tle czarnej czeluści, z której dochodzą anielskie dźwięki wykonywanych na żywo cerkiewnych pieśni. Czerń jest ukojeniem, w którym dzięki podwieszonemu wielkiemu lustru postaci Wyrypajewa tracą materialność i zdają się poruszać po podniebnych szlakach. Skoro istnieją gwiazdy, to i naruszenia prawa moralnego powinny brzmieć wyjątkowo boleśnie. Tak przynajmniej wierzy Wyrypajew. Fajnie, że ktoś jeszcze ma na tyle odwagi. ▣



„Ożenek”
Mikołaja Gogola,
reż. Iwan Wyrypajew,
Teatr Studio, Warszawa,
premiery: 4.02, kolejne
spektakle: 17, 18, 19.03,
godz. 19

ANGELIKA KUCIŃSKA

Głusi na trendy

21 lat, 2 miesiące i 29 dni. Tyle fani **My Bloody Valentine** czekali na nową płytę zespołu. Było warto?

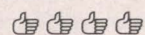


Listopad 1991: wychodzi „Loveless”, druga płyta shoegaze’owego zespołu z Dublina. Święty album muzyki alternatywnej, esencjonalny w definicji nowego gatunku, niedościgniony. Z dowodzącego grupą Kevina Shieldsa zrobił perwersyjnego geniusza dziwnie zaaranżowanej gitary, ale wydawcę doprowadził do finansowej niewydolności. Kiedy zaczęli nagrania, Shields zapewniał, że potrwał kilka dni. Ten człowiek ewidentnie rozumie czas inaczej – nagrania zajęły rok i kosztowały Creation Records (wytwórnia założona przez Alana McGee, w latach 90. jedną z najbardziej wpływowych postaci brytyjskiej branży) ćwierć



ALTERNATYWA

My Bloody Valentine, „m b v”, self-released 2013



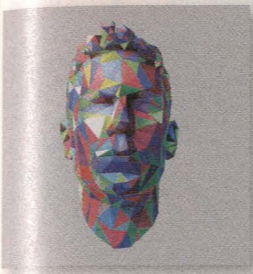
miliona funtów. Doceniony przez krytykę album nie zaskoczył komercyjnie – w Wielkiej Brytanii nie przebił się do pierwszej dwudziestki, kompletnie przepadł w Stanach. Chwilę później wytwórnia rozstała się z zespołem.

Październik 1992: My Bloody Valentine podpisują kontrakt z Island Records. Budują studio nagraniowe (kolejne 250 tys. funtów), oficjalnie zaczynają prace nad trzecią płytą. Nie potrafią skończyć. Shields zamyka się w domu, reszta muzyków nagrywa na boku, basistka podobno zatrudnia się w korporacji taksówkarskiej. 1999: Shields dostarcza wytwórni 60 godzin materiału, częściowo inspirowanego

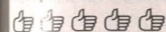
muzyką jungle. Wytwórni się nie podoba, odmawiają wydania – po latach Shields niechętnie przyzna im rację. 2007: zaczynają ponownie występować na żywo, grają na paru festiwalach, jadą w niewielką trasę klubową. W międzyczasie Shields udziela kilku wywiadów, w których powtarza, że z nagrania nowej płyty My Bloody Valentine zwolni go tylko akt zgonu. Dodaje również, że album, który zaczęli nagrywać ponad dekadę wcześniej, jest już w trzech czwartych gotowy. Listopad 2012: Shields zapowiada, że trzecia płyta My Bloody Valentine ukaże się jeszcze przed końcem roku. 24 grudnia 2012: zespół sensacyjnie donosi, że trzy dni wcześniej skończył prace nad nowym albumem. 27 stycznia 2013: na pierwszym koncercie po czteroletniej przerwie grają premierową piosenkę. Shields rzuca ze sceny, że płyta ukaże się na dniach. 2 lutego 2013: wychodzi „m b v”, nowa płyta My Bloody Valentine. Serwer, na którym wisi, nie wytrzyma przeciążenia, więc można jej posłuchać 40 odsłuszeń później, ale czym są dwie godziny przy 22 latach?

„m b v” to płyta arogancko głucha na trendy, tymczasowe podniety i mikroewolucje – jakby przespali wszystko, co wydarzyło się w muzyce przez ostatnie 20 lat. Wychodzi od dysonansowej magmy gitar z „Loveless” (konstytucyjne założenie shoegaze’u), ale momentami zbacza w kierunku popowej przejrzystości. Tyle wystarczy? Tym, którzy cierpliwie czekali, pewnie tak – bo dla nich miarą wielkości jest sam fakt wydania. Problem polega na tym, że kiedyś My Bloody Valentine zmieniali pojęcie o muzyce, dziś zmieniają co najwyżej własną biografię w Wikipedii. „m b v” to bardzo dobra płyta – jedna z wielu bardzo dobrych, które się jeszcze w tym roku ukażą. Tylko tyle.

Płyty ocenia Angelika Kucińska



Jamie Lidell, „Jamie Lidell”, Warp/Sonic



SOUL/ELEKTRONIKA

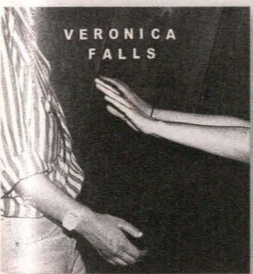
Bo fantazja jest od tego

Gdyby Michael Jackson nagrał soundtrack do filmu science fiction, najpewniej brzmiałoby to jak nowa płyta Jamiego Lidella.

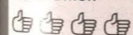
Bo Lidell też by chciał po swoim. Michael Jackson wymyślił własną wersję muzyki pop – od aranżacji po choreografię – i wprowadził nowy przepis na przebój. Porównywanie kogokolwiek ze współczesnych do Jacko jest oczywiście nadużyciem – nie ta skala. Ale Lidell ma coś, co stawia go ponad resztą aspirujących – fantazję. Jego piąty studyjny album to płyta niezdrowo pobudzonej wyobraźni. Futurystyczny soul brawurowo najeżył brzmieniowymi efektami – jest spektakularnie, imponująco i duszno. To też płyta dużej odwagi – bo choć Lidell od zawsze konfrontował klasyczną melodykę soulu z nowoczesną produkcją, jeszcze nigdy nie był w tym miksie tak maksymalny, a pomysłami mógłby obdzielić co najmniej połowę konkurencji. Wróć. Jakiej konkurencji?



MATERIAŁY PRASOWE (3)



Veronica Falls, „Waiting for Something to Happen”, Bella Union

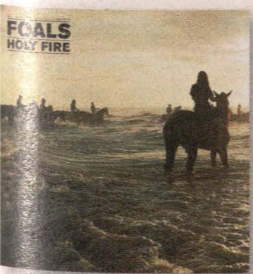


INDIE POP

Śmiertelnie dobre

Ładne piosenki o śmierci? Wróżbita Maciej mówi, że takie połączenie zrobi kiedyś z drugiej płyty Veronica Falls album.

Już był kiedyś taki zespół. Pisali najlepsze melodie, a wokalista pretensjonalnie śpiewał o frustracjach, hormonalnych naporach i generalnym nieszczęściu. Veronica Falls, kwartet z Londynu, są The Smiths swojego pokolenia. Tak, biorę pełną odpowiedzialność za to bluzniercze porównanie. Bo Veronica Falls w podobny sposób przełamali programową beztróską indie popu egzaltowanie smutnymi tekstami. I jeśli te z debiutu – o samobójstwach i miłości na cmentarzu – wcisnęły ich do niewygodnej szuflady „nowy gotyk”, te z drugiej płyty – tylko jedna piosenka o grzebaniu żywcem! – zrobią z nich ulubiony zespół alternatywnej młodzieży. PS. Świetna okładka.



Foals, „Holy Fire”, Warner



INDIE ROCK

Koniec kombinowania

Kiedy debiutowali, byli jednym z bardziej oryginalnych gitarowych zespołów na brytyjskiej scenie. Ale Foals przestali kombinować. Nie jest dobrze.

Jeszcze bawią, już nie intrygują. Kiedyś byli nieobliczalni i gatunkowo niejednoznaczni – zestawiając historyczną postpunkową motorykę i błyskotliwe artrockowe struktury. Dziś są przewidywalni – nawet jeśli nie zapomnieli, jak pisać przyzwoite piosenki. „Holy Fire”, trzecia studyjna płyta Foals, to rzecz przede wszystkim rozczarowująco zwykła. Wszechstronna w emocjach i przemyślana w dramaturgii – bo potężne gitary sprawdzą się na koncertach, a ładne ballady zamykające album wzmruszą w bardziej kameralnych okolicznościach. Ale słyca, że nagrywali ten album z pozycji zespołu docenionego (więc leniwego). Zlecenie na produkcję dostał pierwszozigowy duet Flood – Alan Moulder i to właśnie rutynowe brzmienie najbardziej krzywdzi tę płytę. Niezłe refreny, szkoda, że potencjał nie został wykorzystany.





Dorota Chrobak o filmach



reż. **Malik Bendjelloul**, Szwecja/W. Brytania, 2012, Gutek Film, 86 min
👍👍👍👍👍

DOKUMENT
Sugar Man

Zaczyna się niepozornie – razem z dokumentalistą debiutantem ruszamy na poszukiwania śladów diablo zdolnego muzyka, który błysnął na przełomie lat 60. i 70. XX wieku, wydał dwie płyty, po czym, jak niesie wieść, popełnił samobójstwo. Ale to tylko początek, bo potem na naszych oczach zaczyna się dzieła prawdziwy ekranowy cud. Stajemy się świadkami historii tak pięknej, a przy tym tak nieprawdopodobnej, że aż ocierającej się o SF. Malik Bendjelloul bez wątpienia ma jakieś chody w niebie, bo nie tylko stworzył jeden z najciekawszych dokumentów muzycznych w historii gatunku, ale też udało mu się dotknąć – jakkolwiek górnolotnie by to brzmiało – porządku rzeczy. Porządku przez wielkie P. 📺



reż. **Robert Zemeckis**, USA, 2012, UIP, 138 min
👍👍👍👍👍

DRAMAT
Lot

W zdziwieniu do cna Hollywood jednak da się nakręcić film dotkliwie dorosły i wieloznaczny. Tytułowy lot to wszak zarówno feralny rejs niesprawnego samolotu, który kończy się pikowaniem, jak i „jazda” po alkoholu i prochach, którą siedzący za sterami pilot-bohater (niezawodny Denzel Washington) funduje sobie non stop. Z dniem katastrofy włącznie. W obu przypadkach lądowanie co prawda nie kończy się śmiercią, ale konsekwencje są bardzo bolesne. Zemeckisowi udało się rzecz wyjątkowa – stworzył rzeczywistość widzianą oczami alkoholika: klaustrofobiczną, duszną, niespokojną, drapiącą niczym wełniany sweter założony na gołą skórę. No i nakręcił bodaj najlepszą sekwencję katastrofy lotniczej w historii kina. 📺

Katarzyna Nowakowska o serialach

Poniedziałkowe poranki

Początek tygodnia niemal zawsze jest przykry – bohaterowie serialu „Monday Mornings” wiedzą coś na ten temat – nawet jeśli ośladzać go lekturą nowego numeru „Przekroju”.

Lekarze ze szpitala Chelsea General nie mają choćby tej drobnej pociechy. Ich nieludzki szef Harding Hooten (Alfred Molina) wybrał sobie poniedziałkowe poranki na cykliczne spotkania personelu medycznego, podczas których omawiane są rozmaite błędy, pomyłki i niedopatrzenia – głównie te, które doprowadziły do śmierci pacjentów. Jak łatwo się domyślić, atmosfera tych zebrań nie jest szczególnie miła, zwłaszcza że Hootena cechuje inkwizytorska wręcz dociekliwość w dochodzeniu win i bezlitosny osąd sytuacji. Serial stworzony przez Davida E. Kelly’ego, autora takich telewizyjnych hitów jak „Ally McBeal”, niesie pewien powiew świeżości w dziedzinie medycznych dramatów telewizyjnych. Jest bardziej realistycznie, by nie rzec drastycznie – sceny z sali operacyjnej wymagają mocnego żołądka – a samozwańczy demiurgowie w kitalach muszą się liczyć z własną omylnością, której skutki bywają fatalne. Obsada też robi swoje: Ving Rhames, Bill Irwin, Jamie Bamber – nie są to nazwiska znane czytelnikom plotkarskich pisemek o gwiazdach, ale fani kina i seriali na pewno poczują przyjemny dreszczyk. Czyli można sobie osłodzić poniedziałek. „Monday Mornings” (TNT)



Prenumerata w **egazety.pl** to:

- najbogatsza oferta na rynku – **ponad 370 tytułów**
- atrakcyjne ceny
- wygoda korzystania

PRENUMERATA 2013

Zarejestruj się na **www.egazety.pl** i **testuj za darmo**.
Przy większej liczbie prenumerat skontaktuj się z egazety@egazety.pl, ☎ +48 22 379 16 90



i Rzeczpospolita

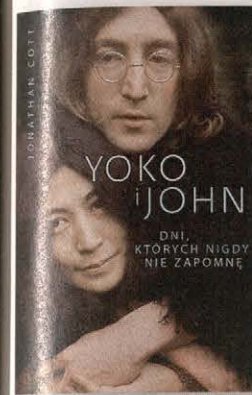


Gdziekolwiek jesteś, korzystaj z najświeższych informacji o Polsce, współczesnym świecie, prawie i gospodarce.

Pobierz aplikację w App Store i Google Play już dziś.

RZECZPOSPOLITA

rp.pl/zakupy



Jonathan Cott, „Yoko i John. Dni, których nigdy nie zapomnę”, Znak, 34,90 zł

Dwa umysły, jedno przeznaczenie

Piosenkę „The Ballad of John and Yoko” Lennon napisał zaraz po słynnej akcji „Bed-In for Peace” w 1969 r., kiedy spędzili z Yoko miodowy tydzień w amsterdamskim Hiltonie. Leżąc w łóżku, przyjmowali od rana do nocy dziennikarzy i odpowiadali na powtarzane bez końca pytanie: „Powiedzcie, co robicie w łóżku?”. Tłumaczyli, że chcą dać światu trochę pokoju, i zachęcali do wspólnego śpiewania „Give Peace a Chance”. To był czas wojny Wietnamie, a oni w ten sposób prowadzili kampanię na rzecz pokoju zgodnie z pacyfistycznym hipisowskim hasłem „Czyni miłość, nie wojnę”. Dziś Hilton oferuje ten historyczny apartament za 2 tys. dolarów za dobę i pozwala parom brać w nim ślub.

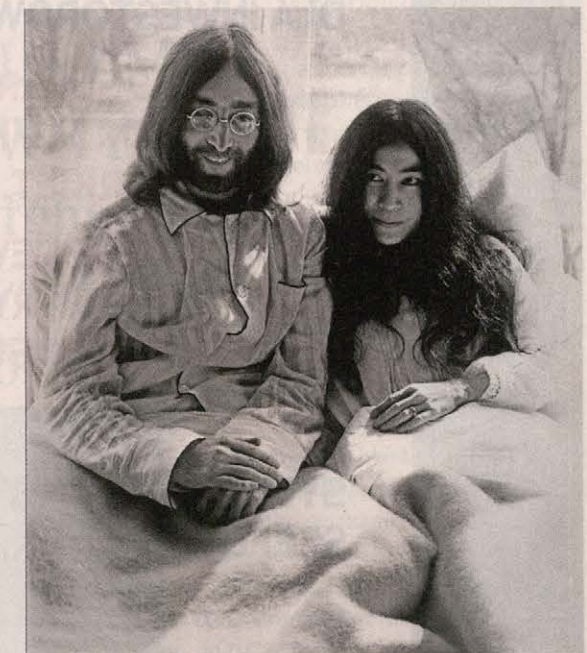
Aby się pobrać, oboje musieli się najpierw rozwiść. John z pierwszą żoną Cynthia; Yoko z drugim mężem, filmowcem Anthonym Coxem. Opinia publiczna oburzała się, że niszczą poprzednie związki. A fani oskarżali Yoko, że jest przyczyną rozpadu zespołu Beatles, nie dostrzegając, że każdy ze słynnej czwórki z Liverpoolu chciał już wówczas iść własną drogą (po latach potwierdził to także Paul McCartney).

Yoko twierdziła zawsze, że nie poddała się presji i wyszła z tej sytuacji cało, bo energię nienawiści można pokonać, jeśli tylko się chce, i zamienić ją we wspierającą siłę. A John określał ich związek jako „Dwa umysły, jedno przeznaczenie”. Niewątpliwie łączyła ich nie tylko miłość. Także wzajemnie się inspirowali; nagrywali razem płyty i organizowali wspólne happeningi i wystawy, nie ztracając jednak nigdy artystycznej indywidualności.

Jonathan Cott, krytyk muzyczny magazynu „The Rolling Stone”, książką „Yoko i John” przypieczętował długoletnią przyjaźń z parą niezwykłych artystów, których poznał w Londynie w 1968 r. A potem odwie-

dział wielokrotnie w Nowym Jorku. – Ta książka to moja osobista opowieść o chwilach, które spędziłem z Johnem Lennonem i Yoko Ono – mówi. Włączył do niej także ostatni wywiad z Lennonem z 5 grudnia 1980 r. – rozmawiał wtedy z muzykiem trzy dni przed jego śmiercią z rąk zamachowca. Jest tu też rozmowa z Yoko Ono przeprowadzona w Sztokholmie zapowiadająca jej 80. urodziny (18 lutego 2013 r.).

Autor jest fanem obojga, więc z jego opowieści bije fascynacją osobowością Johna i Yoko. Z tego samego powodu można mu zarzucić, że mitologizuje ich miłość w stylu popkulturowego romantyzmu. Ale to sam Lennon jest twórcą piosenki „All You Need is Love”. → Monika Kuc



Małgorzata Szejnert, „My, właściciele Teksasu. Reportaże z PRL-u”, Znak, 39,90 zł

Wielki mały realizm

To prawdziwe wydarzenie dla fanatyków reportażu prasowego. Cesarzowa – tak we wstępie do „My, właściciele Teksasu” pisze o Małgorzacie Szejnert Mariusz Szczygieł. Mistrzyni małego realizmu, miłośniczka opisywania świata poprzez szczegół (jej współniczką jest w tym Hanna Krall) jako wieloletnia szefowa działu reportażu „Gazety Wyborczej” wychowała całe pokolenie świetnych reporterów. Szczygieł wspomina, że kładła im do głowy żelazną zasadę: „Ludzie zawsze będą chcieli czytać o innych ludziach”. Teraz do naszych rąk trafia zbiór wyselekcjonowanych przez Szejnert oraz wydawnictwo Znak tekstów z tomów „Ulice z latarnią” (1977) oraz „Niespokojnie, tu i tam” (1980), a także z kultowego „Ekspresu

Reporterów”. Całość, swoiste „the best of Szejnert”, to prawdziwy popis sztuki literackiego autorki, jej niesłychanego zmysłu obserwacji, ale też poczucia humoru. W miniaturkach Szejnert odbijają się wielkie problemy minionej epoki. Tekst, w którym portretuje personel warszawskiego Supersamu, w rzeczywistości jest opowieścią o całym społeczeństwie stojącym w kolejce za kielbasą i złudzeniami. Szejnert sama staje w ogonku „na tradycji”. I z tej, wyłącznie z tej perspektywy przygląda się ludzkim historiom. Nie ma w tym nigdy protekcjonalizmu – widać raczej zwykłą ciekawość, podstawową emocję, którą potrafi Szejnert rozgrzać również w nas, czytelnikach. Błyskotliwe. Zaskakująco aktualne. → Hanna Rydlewska

PARKIET

GAZETA GIEŁDY

INWESTYCJE&REKOMENDACJE SPÓŁKI&NOTOWANIA ANALIZY&OPINIE GOSPODARKA&RYNKI

■ PODSTAWOWE ŹRÓDŁO INFORMACJI DLA INWESTORÓW GIEŁDOWYCH

■ **REGULARNIE CZYTANY
PORTAL FINANSOWY
PARKIET.COM**

■ **SPRAWDZONE NEWSY Z GOSPODARKI, RYNKU KAPITAŁOWEGO, WALUTOWEGO I SUROWCOWEGO**

■ **FINANSE OSOBISTE DLA KAŻDEGO**

■ **SYLWETKI INWESTORÓW, SZEFOW SPÓŁEK, FUNDUSZY**

■ **ANALIZA SPÓŁEK, TRENDÓW, WYDARZEŃ
RYNKOWYCH – RZETELNE REKOMENDACJE
DLA INWESTORÓW**

■ **PORADNIKI DLA PROFESJONALISTÓW, AKADEMIA INWESTOWANIA DLA POCZĄTKUJĄCYCH**



■ www.parkiet.com



■ reklama

tel. 22 463 06 19, 463 06 90
463 06 16

reklama@parkiet.com

**18
LAT
NA RYNKU**

KUBA DĄBROWSKI

Pismo, którego nie widać

Są takie rzeczy, których używamy codziennie i nawet o tym nie myślimy. Rzeczy, które po prostu są. Jedną z nich jest **Times New Roman**.

Londyn, rok 1929. Stanley Morison pracuje w firmie Monotype, światowym typograficznym gigancie, którego czcionek używają wszyscy – od największych wydawnictw po małe miejskie drukarnie. Rola Morisona to przystosowywanie starych, tradycyjnych, często kilkusetletnich krojów pisma do wymogów zmieniających się technologii druku. Morison jest również teoretykiem i pasjonatem czcionek, redaguje pismo „The Fleuron”, w którym zapaleńcy jak on wymieniają się fachowymi uwagami. Morison zamieszcza na jego łamach druzgocącą krytykę jakości druku i typografii szacowanego londyńskiego dziennika „The Times” – pisze o rozlewających się literach i nieczytelności tekstu.

Po publikacji dzieje się rzecz dziwna – wydawcy „The Times” czytają jego opinie, a – co jeszcze dziwniejsze – zgadzają się z nią. Zatrudniają Morisona do naprawienia problemu – zlecają mu stworzenie nowego kroju specjalnie dla gazety. Morison stawia sobie praktyczne wymagania: krój ma być wąski, żeby w szpaltach gazety mieściło się więcej tekstu, ma być doskonale czytelny w małym rozmiarze, tusz ma się nie rozlewać po tanim, gazetowym papierze. Podejście Morisona do procesu kreatywnego jest nader skromne. Pisze: „Zaden typograf nie powinien myśleć o sobie: jestem artystą, będę wymyślał nowe formy liter. Dobry projektant wie, że aby nowy krój pisma odniósł sukces, odbiorcy muszą odczytać go jako stary i doskonale znany. Jedynie fachowcy mogą rozpoznać jego

ABCDEFGHIJKLMN
OPQRSTUVWXYZÀ
ÁÊÏÏÛabcde fghijklm
nopqrstuvwxyzàáéîðøü
& 1234567890(\$£.,!?)



Stanley Morison (z lewej) z Jamesem Wellsem w chicagowskiej bibliotece The Newberry.

nowość”. W pracy nad nowym pismem Morison opiera się na XVI-wiecznym kroju z pracowni Plantin-Moretus z Antwerpii. Prace idą sprawnie. Pod koniec pojawia się nieprzewidziany przez wydawców problem – Morison opracował czcionkę w systemie zatrudniającej go firmy Monotype, tymczasem gazeta drukuje się na maszynach konkurencyjnego Linotype. Obie firmy mają niekompatybilne standardy maszyn drukarskich, montowania liter itp. Drukarnia nie może wymienić maszyn, to byłaby finansowa przesada. Staje na tym, że Monotype odsprzedaje licencję na Times

New Roman, bo tak będzie nazywać się nowy krój pisma, konkurentowi – w ten sposób prawa do czcionki mają obaj rynekowi potentaci.

„The Times” w nowej formule debiutuje 3 października 1932 r. Zgodnie z założeniami Morisona zmiana przechodząca niezauważalnie, z punktu widzenia czytelnika po prostu poprawia się jakość. Wydawcy są zachwyceni. Po roku od debiutu czcionka trafia na otwarty rynek. Dzięki temu, że w ofercie mają ją obie największe firmy, staje się tania, a dzięki cenie i jakości staje się popularna.

Doskonale drukuje się przy jej pomocy tanie książki na słabym papierze i długie, oficjalne teksty. Dodatkowo w wyniku rosnącej popularności szybko powstają utrzymane w kroju dodatkowe znaki: symbole chemiczne, fizyczne i fonetyczne, litery charakterystyczne dla poszczególnych języków – przy pomocy Times New Roman da się wydrukować w zasadzie każdy tekst. Rusza lawina. Times

New Roman szybko staje się bezpiecznym, sprawdzającym się w większości sytuacji rozwiązaniem – krojem pisma „którego nie widać”.

Dziennik „The Times” używa Times New Roman bez żadnych zmian aż do 1972 r. Później, ze względu na zmiany technologii druku, zmniejszenie formatu itp., wprowadza techniczne poprawki. Sławę poza hermetycznym środowiskiem typografów Times New Roman zdobywa, kiedy Microsoft wprowadza go jako domyślny krój pisma w Wordzie i innych programach. Times New Roman zaczyna rządzić w biurowych prezentacjach, pracach semestralnych, ulicznych ogłoszeniach i domowych stronach internetowych. Jest dosłownie wszędzie, ale „nie widać go” jeszcze bardziej.

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.

EWA NIECKUŁA

Oszczędzanie jak odchudzanie

Niskie zarobki to wymówka. Nie oszczędzamy, ponieważ taka jest nasza konstrukcja psychiczna. Nie jesteśmy zaprojektowani do myślenia o jutrze. Dla naszej podświadomości liczy się chwilowa przyjemność.

Większość Polaków – 70 proc. – jest przekonana, że należy oszczędzać, ale tylko 8 proc. z nas odkłada jakąś sumę regularnie. Według badania przeprowadzonego przez Fundację Bankową im. Leopolda Kronenberga ponad połowa ankietowanych co miesiąc wychodzi na zero, ponieważ, jak tłumaczą, całą ich pensję pochłaniają bieżące wydatki. – Zawsze ta sama argumentacja – krzywi się dr Agata Gąsiorowska ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej we Wrocławiu. – Ludzie mówią, że nie oszczędzają, bo zarabiają za mało. Ale tak naprawdę powodem jest nasza konstrukcja psychiczna, a nie wysokość dochodów. Oszczędzić można zawsze, choćby bardzo drobną sumę co miesiąc – zapewnia pani psycholog.

Wojna postu z karnawałem

Prof. Dan Arieli z Duke University jest zdania, że te powszechne problemy z oszczędzaniem, bo przecież mają

nie tylko Polacy, przypominają zmagania z odchudzaniem. Nie jesteśmy bowiem zaprojektowani do myślenia o jutrze. Dla naszej podświadomości najbardziej liczy się natychmiastowa przyjemność, a irracjonalność jest wpisana w ludzką naturę, dlatego wobec chwilowych pokus tak często jesteśmy bezradni. Wewnętrzna walka naszej racjonalności z impulsywnością i rozrzutnością może wyglądać mniej więcej tak: przesiadamy się z samochodu na komunikację miejską (benzyna przecież sporo kosztuje), ale to, co udało się w ten sposób zaoszczędzić, pochłania zakup niepotrzebnych ubrań (bo trafiamy na wyjątkową okazję podczas sezonowej wyprzedaży); mimo nęcącego zapachu kawy nie wступujemy do kawiarni (przecież zaciskamy pasa), ale za kilka dni wydajemy dwa razy tyle, zamawiając do biura pizzę (bo jesteśmy towarzyscy, a koledzy właśnie złożyli zamówienie). Czy nad rozrzutnością da się jednak zaplanować? To w dużym stopniu zależy

od samokontroli i tego, czy ludzie potrafią planować. – Bo planowanie to także nasza słaba strona. Z badań wynika, że osoby starsze są o wiele bardziej skrupulatne, częściej myślą o przyszłości i w kategoriach planowania. Łatwiej jest więc im oszczędzać. Trzydziesto-, czterdziestolatek, który wydaje na prawo i lewo, w gruncie rzeczy nie wie, ile ma pieniędzy w portfelu. Jego ocena, na co go stać, a na co nie, jest często zupełnie oderwana od rzeczywistości – mówi dr Gąsiorowska. Według danych Fundacji Kronenberga problemy ze stanem konta zaczynają się od zarządzania domowym budżetem. Ponad dwie trzecie Polaków twierdzi, że kontroluje najważniejsze albo wręcz wszystkie wydatki. Jednak prawdziwy obraz daleki jest od tego ideału. Co trzecia osoba w ogóle nie planuje większych wydatków, a jedynie 14 proc. robi to z półrocznym wyprzedzeniem. Krótkowzroczność, skupienie na teraźniejszości dominuje nawet u tych nielicz-

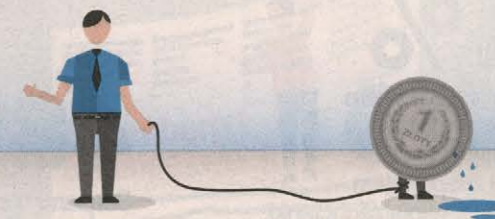
nych, którzy oszczędzają. Prawie połowa z nich odkłada pieniądze przez rok, potem wydaje wszystko, co udało się nagromadzić, a ledwie 20 proc. potrafi wytrwać w postanowieniu przez trzy lata. A co z emeryturą?

Sztuka wyboru

Współczesne badania psychologiczne na temat postrzegania czasu dają zaskakujące wyniki.

– Jesteśmy w stanie robić plany, wyobrazić sobie przyszłość w najbliższym roku, ale powyżej tej granicy czasu zaczyna się już „czarna dziura” – komentuje dr Gąsiorowska. To ograniczenie ujawnia się nawet w prostym eksperymencie przeprowadzonym przez dr Stephena Spillera z University of California. Podzielił on studentów na dwie grupy. Wszyscy otrzymywali tyle samo pieniędzy, ale część miała przypływ gotówki raz w miesiącu, a część dostawała ją w transzach cotygodniowych. Każda z osób mogła pójść na zakupy 20 razy.

8% Poza bieżącymi wydatkami w każdym miesiącu odkładam pewną sumę pieniędzy



Okazało się, że ostrożniej wydawali pieniądze ludzie, którym płacono cztery razy w miesiącu.

– Głównie dlatego, że czas planowania był krótszy. Od poniedziałku do niedzieli mieli mniej możliwości na popełnienie błędu krótkowzroczności niż ci, którzy gospodarowali od pierwszego do ostatniego dnia miesiąca. Zupełnie jak dzieci, którym należy dawać pieniądze w jak najmniejszych kwotach, bo z miesięcznym kieszonkowym sobie nie radzą. Wydawałoby się, że dorośli powinni być rozsądniejsi, ale najwyraźniej wcale tak nie jest – mówi dr Gąsiorowska.

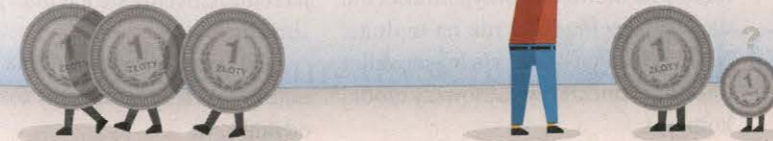
Gdyby klienta salonu samochodowego zapytać, czego nie będzie mógł kupić w przyszłości, gdy wyjedzie stamtąd najnowszą toyotą, najczęściej odpowie, że nie kupi równie dobrego samochodu innej marki. I tu się kryje pułapka. Jeśli zdecydujemy się na zakup samochodu, to najbliższych wakacji nie spędzimy za granicą. I pewnie

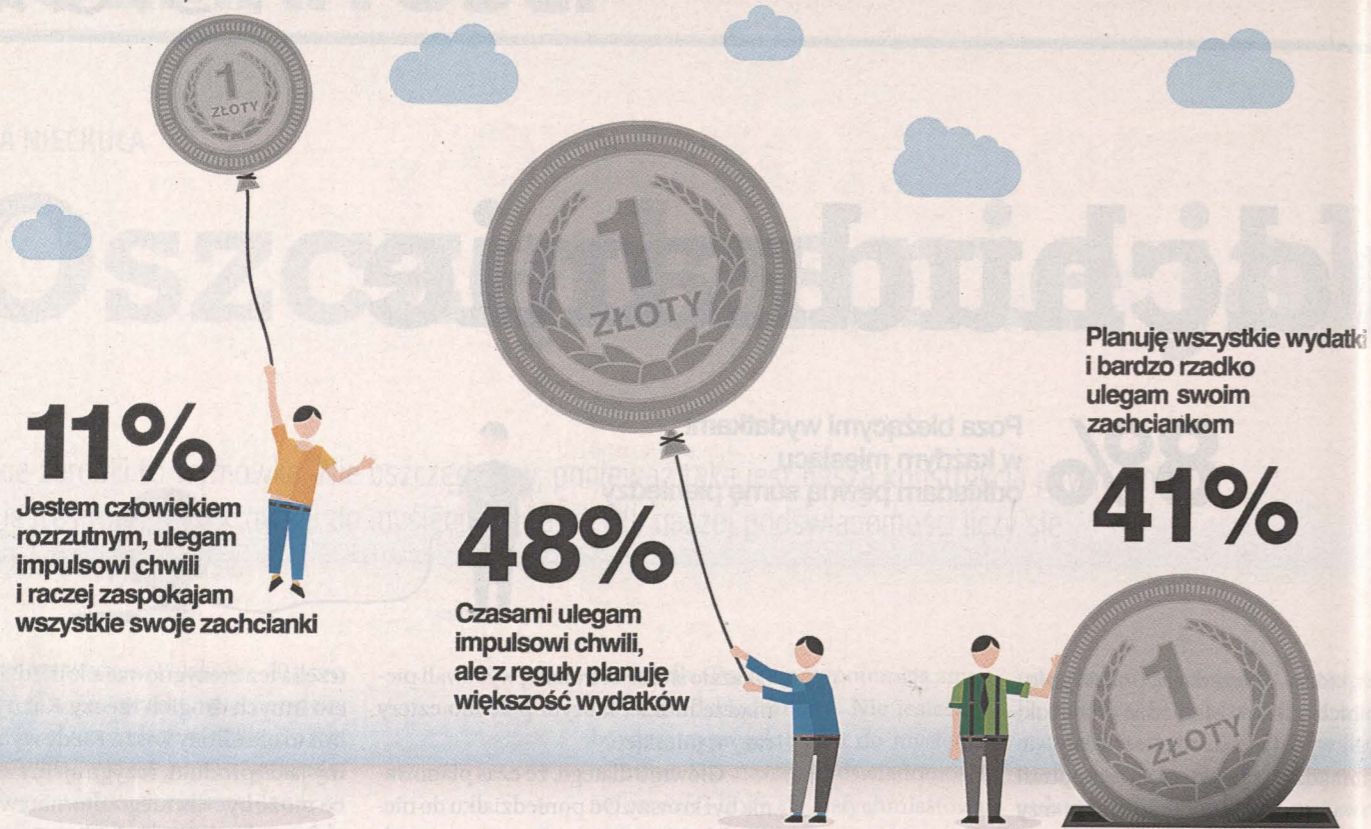
trzeba też zrezygnować z kilkudziesięciu innych drogich rzeczy. Każdy wybór to określony koszt. Kiedy wybieramy jakiś produkt, rezygnujemy z tego, co może być dla niego alternatywą. Jeśli kupimy za 70 zł książkę, nie posłuchamy za te same 70 zł płyty ulubionego zespołu, nie opłacimy rachunku za wywóz śmieci, nie odłożymy na eks-trabuty. Myślenie w kategoriach wyboru, w kategoriach realnej wartości pieniędzy jest kluczowe dla oszczędzania. Okazuje się, że najczęściej postępujemy tak, jakbyśmy żadnego wyboru nie mieli. Zwykle myślimy: kupić czy nie kupić. – Ekonomisci zakładają, że ludzie rozumują racjonalnie. Okazuje się, że taka analiza jest zbyt obciążająca. Mamy dość ograniczony „processor” i zasoby pamięci. Gdy jesteśmy w sklepie i coś nam się bardzo podoba, pozytywne emocje na tyle zajmują nasz umysł, że jest nam trudno dokonywać racjonalnych wyborów – mówi dr Gąsiorowska.

56% Wszystko przeznaczam na bieżące potrzeby



34% Z reguły na bieżące potrzeby, ale od czasu do czasu udaje mi się coś zaoszczędzić





Krótki miesiąc miodowy

Czy cokolwiek można zmienić, jeśli pieniądze uciekają nam jak woda? Można, i to całkiem sporo. Należy pamiętać, że w kwestii wydawania pieniędzy sami sobie jesteśmy sterem i okrętem. Warto się zastanowić, co jest najważniejsze, co daje największą przyjemność, i spisać na kartce. Na co chcemy wydawać więcej, a na czym zdecydowanie oszczędzać. To ułatwi trening konsumencki, czyli wyobrażanie sobie wszystkiego, co możemy mieć w zamian za kupowany produkt.

Oczywiście sami przed sobą udajemy zdyscyplinowanego i pragmatycznego konsumenta, całkowicie odporne na reklamy i markę produktów. I tacy jesteśmy, gdy robimy zakupy spożywcze – szukamy towarów, które mają najniższą cenę za kilogram, za sztukę. Tyle że większość decyzji, gdy w grę wchodzi spora suma pieniędzy, podejmowanych jest pod wpływem emocji, a nie racjonalnego rozumowania. Emocje rządzą, zwłaszcza gdy chodzi o produkt, o którym po cichu myślimy: „Muszę go mieć!”. Na przykład pragniemy ponad

wszystko posiadać najnowszy tablet, mimo że zanim pojawił się na rynku, żyliśmy szczęśliwie.

Psycholodzy dowodzą, że najczęściej przeceniamy przyjemność, jaką da nam zakupiona rzecz. Radość z posiadania najnowszego gadżetu zmniejsza się z czasem. Cieszymy się krótko, a potem coraz rzadziej po niego sięgamy. Podobnie jest z dodatkowym wyposażeniem samochodu (szyberdach z pewnością posłuży w ciągu pierwszych wakacji) czy piekarnika (mierzącej temperaturę wewnątrz pieczonej kaczki sondy użyjemy kilka razy). Myślenie o okresie, w którym będziemy rzeczywiście korzystać z jakiegoś produktu, i o tym, na ile będzie nas cieszył, skutecznie zmienia preferencje. Z większym przekonaniem wybieramy prostsze, tańsze modele.

Może warto też przetestować na sobie, czy przypadkiem wydawanie pieniędzy na niewielkie przyjemności nie daje większej radości niż na te duże. Na przykład co okaże się lepsze: bilet na dobry koncert czy najnowszy model komórki.

Karta znieczula

– Tylko płacąc gotówką, czujemy ból rozstawania się z pieniędzmi. Karta płatnicza nie tylko znacznie poprawia samopoczucie, ale też ułatwia przekraczanie limitu wydatków. Nie nas nie ogranicza, nie musimy odkładać towarów z koszyka na półkę – mówi dr Gąsiorowska. Im wyższy nominal banknotu, który podajemy w kasie, tym gorzej się czujemy, gdy do portfela wraca nędzna reszta, podczas gdy karta płatnicza odsuwa ten przykry moment do dnia, gdy sprawdzimy stan konta.

Ale uwaga, jeśli zaczniemy stosować chwył z gotówką, trzeba nosić przy sobie wyłącznie nowe banknoty. Stare i zniszczone wydajemy bez mrugnienia okiem. Dlaczego? Wyjaśniają to badania Amerykanki dr Catleen Vox. Winna jest nasza podświadomość. Brzydkie pieniądze powodują negatywne skojarzenia. Chcemy się ich pozbyć, bo są „brudne”.

Ból wraca pierwszego dnia nowego miesiąca. Wtedy zaczynamy oszczędzać od nowa.

PRENUMERATA 2013

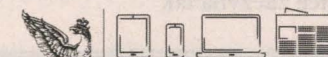
„Rzeczpospolita” z Bloomberg Businessweek Polska

Zaprenumeruj „Rzeczpospolitą”
i zyskaj w każdy poniedziałek tygodnik
Bloomberg Businessweek Polska



Zadzwoń pod **800 120 195**
lub wejdź na www.rp.pl/prenumerata

Pobudzamy myślenie **RZECZPOSPOLITA**



ROZMAWIAJĄ BARTOSIAK & KLINKE

Prosięta, węgorki i... polskie morze

Na saksach w Niemczech z kuzynem Heńkiem kastrował świniaki. Napierniczał młotem pneumatycznym, rozglądając się za ponętymi dziewczętami. O pierwszych płatnych zajęciach opowiada nam **Rafał Bryndał**.

Jak zarobiłeś pierwsze pieniądze?

U wujka piekarza. Był tak zwanym prywatniakiem, bo prowadził cukiernię w Gdańsku-Brzeźnie przy ówczesnej ulicy Karola Marksa. Tuż obok była plaża. Chodziłem w fartuszkach między leżakami i sprzedawałem drożdżówki wujka. Czasami ktoś coś ode mnie kupił, ale kolesie, którzy biegali z lodami Mewa, mieli zdecydowanie większe powodzenie. To właśnie tam, na gdańskiej plaży, wymyślałem pierwsze wierszyki. Chcąc zareklamować ciastka, recytowałem: „Dobra dla matki, ojca i dziecka moja drożdżóweczka”.

Ale zanim zostałeś słynnym rock'n'rollowym poetą, byłeś jeszcze pielęgniarzem.

U mnie w rodzinie prawie wszyscy po medycynie... Ja też miałem być panem doktorem. Dzięki nikłej asertywności na Akademię Medyczną zdawałem aż trzy razy. Oczywiście nieskutecznie. Żeby mieć większe szanse, za każdym razem dorabiałem tzw. punktami, czyli po prostu pracowałem w służbie zdrowia. Tata załatwił mi na przykład robotę portiera w Centrum Stomatologicznym. Miałem nocne dyżury, łączyłem rozmowy telefoniczne i gadałem z palaczami, którzy sprzedawali mi życiowe maksy w stylu: „Do trzydziestki wszystko idzie wolno, ale po czterdziestce zaczyna tak

hulać, że nie wiesz, za co się złapać”. Dziś już wiem, że mieli rację. Czasami przychodziły do mnie koleżanki. Trenowaliśmy to i owo na fotelach dentystrycznych. Były tam też nosze...

Z noszami miałeś potem do czynienia jako sanitariusz na oddziale wewnętrznym Szpitala Bielańskiego.

Pamiętam, jak w zimie zalało podziemny korytarz do prosektorium. Musiałem z noszami jechać górą, przez park. Nagle poślizg i gołe ciało starowinki leci prosto w śnieg. Totalny surrealizm! Kładę babcię z powrotem na noszach i jadę dalej do kostnicy. Jak już tam dotarłem, od razu dostałem setę na uspokojenie. Do dziś pamiętam imię tej babci – Nadzieja.

Piękne. A jakie nadzieje wiązałeś z branżą hotelarską?

Żadnych. Poszedłem do studium hotelarskiego tylko po to, żeby się wymigać od wojska. W ramach zajęć miałem płatne praktyki. Przeszedłem przez wszystkie „piony” w toruńskim hotelu orbisowskim. Od recepcji po piętra (śmiech). Sprzątaczkę kazały mi nastawiać w każdym pokoju „Lato z radiem” i wymieniać poszewki jaśków. Panie dostawały często napiwki w bonach lub dewizach. Dlatego moim kolejnym odpowiedzialnym zadaniem było skakanie do Peweksu po flaszkę. Najzabawniej było w recepcji. Którejś

nocy do holu weszła fajna laska. Pogadaliśmy ze mną, pożegnała się, wsiadła do taksówki i odjechała. Po 5 minutach zbiega koles w samych slupkach i ryczy: „Gdzie jest ta kurwa? Okradła mnie!”. Potem była policja, zeznania... Niezły cyrk.

Po tej traumie postanowiłeś zostać prawnikiem. Zarobiłeś coś jako mecenas?

Prawo tylko studiowałem. Nie zrobiłem aplikacji. Mało tego, studiów też nie skończyłem. Moim największym sukcesem w tej branży było... poznanie żony (śmiech). Jako student pracowałem w spółdzielni studenckiej „Małgosia”. Chodziłem na filię do Elany i zarabiałem malowaniem. Kiedyś koleżanka mnie namówiła, żeby pojechał z nią myć świetliki i okna w jakimś zakładzie pracy. Chodziliśmy po tak zwanym rusztowaniu warszawskim. Przy moim lęku wysokości był to nie lada wyczyn. Myślałem, że umrę ze strachu. Ale czego się nie robi, żeby zaimponować dziewczynie.

W Niemczech też robiłeś na wysokościach.

U niemieckiego ślusarza o aparycji Eгона Olsena (śmiech). Montowaliśmy balustrady na lotnisku we Frankfurcie. Pracowałem też na tamtejszym uniwerku. Wokół chodziły piękne dziewczęta, a ja napierniczałem mło-

RAFAŁ BRYNDAL

Rocznik 1960. Jest satyrykiem, dziennikarzem i scenarzystą. Związany z Radiem ZET (obecnie prowadzi niedzielny „Taniec z Bryndalem”, a od poniedziałku do piątku „Życie podsłuchawki”. Był redaktorem naczelnym miesięcznika „Bluszcz”. Teraz kieruje magazynem literacko-kulturalnym „Chimera”.

tem pneumatycznym. Jak one na mnie patrzyły... Masakra. Ale nie ma tego złego. Potem dzięki uciulanym markom znakomicie się bawiłem na wielu toruńskich imprezach. W Niemczech pracowałem też wcześniej. W 1981 r. pojechaliśmy z kuzynem na saksy. Robiliśmy przy wykopkach, na budowach, ale też... kastrowaliśmy prosięta. Kuzyn Heniek otwierał klatkę, ja wymowałem świnkę, sprawdzałem, czy chłopczyk, psikałem, żeby zdezynfekować, a niemiecki bauer ciął. Coś straszego. Nie mogłem potem spać po nocach. Do dziś śnią mi się prosięta.

Nie próbowałeś nigdy zostać biznesmenem?

Próbowałem. Parę razy na Pojezierzu Brodnickim pomagałem koledze łapać węgorki. Wędziliśmy je i opylaliśmy właścicielom nocnych klubów ze striptizem.

Co na to twoja dziewczyna?

Nie przyznałem się. Poleciałem do niej do Toronto i... z dnia na dzień zostałem na pięć lat. Pracowałem u fajnych ludzi – Persów, którzy musieli uciekać z Iranu po obaleniu szacha. Zajmowali się deweloperką, a ja pilnowałem ich budynków. Byłem portierem, administratorem i złotą rączką w jednym. Obsługiwałem też wielkie traktory do odśnieżania. Czas spędzony w Kanadzie wspominam miło. Bardzo się zżyliśmy z perską społecznością. Zapraszali nas nawet na wesela. Wszyscy goście Persowie i dwoje Polaków – Doroti i Rafi (śmiech).

Do Polski wróciłeś jako gwiazda.

Wywiady, spotkania, zupełnie inny świat. A wszystko dzięki moim tekstom na płycie brata, czyli Atrakcyjnego Kazimierza. Od razu dostałem pracę w „Machinie”. Byłem klasycznym spadochroniarzem wśród starych dziennikarskich wyg. Miałem stresik, żeby się w tej warszawce jakoś odnaleźć.



ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER

AGA KOZAK

Zimowe przetwory

Dżemy, marmolady, kiszonki: choć obecna pora roku kojarzy się raczej z ich spożywaniem, są tacy, którzy luty spędzają obłożeni kamionkami, słoikami i wekami. Zwłaszcza że to nowy **globalny i lokalny trend** kulinarny!

Światowy kryzys dyktuje nowe rozwiązania: nie tylko zjadanie zwierząt od ogona do głowy, lecz również wykorzystywanie warzyw – kulinarnego hitu 2013 – na wiele możliwych sposobów. I kreatywne ich przetwarzanie, często według tradycyjnych receptur. Można – jak proponuje Marta Gessler ze stołecznej Qchni Artystycznej – robić chipsy i frytki z obierek z warzyw korzeniowych. Można – jak twórcy australijskiego „Master Chefa” dla profesjonalistów – dać jako jedno z zadań konkursowych stworzenie wyrafinowanego dania z odpadków, w tym ze wspomnianych obierek i pulpy z przejrzałych pomidorów. Można w końcu nauczyć się codziennego myślenia o zapasach i przetworach, które pozwalają nie marnować jedzenia. Tych, które zjemy za kilka dni, i tych, które możemy wykorzystać za parę miesięcy czy nawet lat.

Buraki słodkie jak jabłka

O ile do tego czasu dotrzymają: najlepsze przykłady z rodzinnej spiżarni zazwyczaj mają krótki żywot. Mistrzynią dżemów jest moja mama, która latem kupowała w Sandomierskim wielkie ilości tanich brzoskwiń czy moreli. Do moreli dorzuciła migdały i dołała amaretto, do czereśni czerwony pieprz, a do śliwek gorzką czekoladę. A że jabłka dostępne są również teraz, możemy je przygo-



tować, łącząc z karmelem i orzechami. Podobnie z cebulą, z której dżem jest idealnym dodatkiem do mięs czy serów. Dla mnie mistrzostwem świata są jej przetwory z buraków: czatnej (czyli słony dżem) z kuminem oraz konfitury. Smażyła je trzy godziny z brązowym kremem i skórka z cytryny, ale z albedo: mają słodycz buraków, konsystencję kandyzowanych owoców i cytrusowy aromat oraz kwaśno-słodki smak, genialne! Dodała też cukier z kandyzowanego imbiru, dzięki czemu konfitury rozpalają.

Dżemy za grosze

Wspomniane cytrusy są w tym sezonie najtańsze i najlepiej nadają się nie tylko na tradycyjną polską skórkę w syropie. Bartek Kieżun, czyli bloger Krakowski Makaroniarz, wielbiciel wszystkiego, co włoskie, razem ze swoim chłopakiem, projektantem Przemkiem Krupskim, kupuje niepryskane cytryny i pomarańcze z sycylijskiej kooperatywy In Campagna. – Pomarańcze trzeba robić teraz – są tanie i świetnej jakości! Na Sycylii sezon w pełni, dlatego właśnie robimy arancello (likier pomarańczowy) oraz szybki dżem i zjadamy go na bieżąco. Przemek robił ostatnio dżem z pomarańczy z imbirem, on się fajnie zmienia z czasem. Na począt-

ku jest pomarańczowy, z czasem imbir zwycięża – opowiada. A co z cytrynami? – Z tych, które zostają po robieniu limoncello do naszej knajpki, Baru Miejsce, maniakalnie robimy lemon curd. Pakujemy do lodówek i zjadamy. Albo na tarcie cytrynowej, albo z biszkoptami do tiramisu. Albo łyżeczką ze słoika! – przyznaje się Bartek. W sezonie przetwarzają więcej: truskawki, maliny, paprykę, ogórki. Z prostej przyczyny: dżemy ze sklepów są niedobre, ogórki to nie to, ajvar nie ma bałkańskiego smaku. – Dlatego szperałem na blogach tak długo, aż znalazłem przepis zasługujący na zaufanie. Serbski! Więc uruchomiłem translator Google’a. A w ogóle to wakacje nam minęły pod hasłem „Maliny są za cztery złote!”. Kupowałem cztery pudełka i kilka słoików później powtarzałem „Przemek! Maliny są za 4 złote!” i tak w kółko – śmieje się z manii słoikowania Bartek. I opowiada o swoim ostatnim lenistwie.

– Chciałem zrobić dżem z gorzkich pomarańczy, ale jak mi powiedzieli, jakie to pracochłonne, postanowiłem nadziać nimi kaczkę. Ja jestem Włoch: ma być szybko i dobrze, niech się Francuzi męczą w kuchni – śmieje się Bartek. Prawdziwe marmolady z cytrusów robi się godzinami, gotuje się w woreczkach

osobno skórki, strasznie dużo roboty, ale czasem się oplaca. Trzeba pamiętać, że można to obejść i zrobić po prostu równie pyszny dżem albo konfiturę, w której specjalizuje się artystka wizualna Mirella von Chrupek. – By uchronić się przed marazmem zimowym, warto zaszyć się w kuchennym zaciszu i trochę popichcić – opowiada i tłumaczy: – Obieranie owoców jest bardzo relaksujące, a zapach unosi się po całej kuchni. Moim specjalnym na ten czas jest konfitura z pomarańczy z dodatkiem cytryny – ani za słodka, ani za gorzka. W przepisie co prawda był zalecany kilogram cukru, jednak wydało mi się to lekką herezją i poprzestałam na 3/4 torebki, co wyszło konfiturze na dobre. Jest idealna zarówno do pieczywa, jaki do wyjadania łyżeczką prosto ze słoiczka. Ja szczególnie ją sobie upodobałam w zestawieniu z ciasteczkami w zwierzątka.

Zasada przyjemności

„Kwaśny będzie nowym słonym!” – ogłosił amerykańscy trendsetterzy. I to nie tylko w supermodnym koreańskim kimchi – bardzo ostrym, przyrządzanym odpowiedniku naszej kiszzonej kapusty, okraszonym nie tylko wielką ilością chili, lecz również imbiru, czosnku, sosu rybnego, a czasem nawet pasty z krewetek. Kwaśne robi furorę również w tym, co do tej pory w dużej części świata uważano za jeśli nie obrzydliwe, to egzotyczne: kiszonych warzywach. Burakach, ogórkach, rzepie, kapuście, pomidorach, papryce...

Na czasie jest Dorota Minta, psycholożka, blogerka kulinarna prowadząca „Kulinarną kozetkę Minty”. – Zawsze uwielbiałam kiszonki, ale to, co można kupić w sklepie, jest słabej jakości. Od zawsze latem robię małosolne ogórki, paprykę, kiszę kruchą sałatę. Kiedyś rozmawiałam z profesorem pediatrii prof. Bożeną Cukrowską, która wychwalała prozdrowotne znaczenie kiszzonego czosnku, ja do tego dołączyłam uwielbienie dla eksperymentów i powstały moje kiszonki – opowiada Minta. Jest od nich uzależniona, być może dlatego że uważa, iż ukiszony barszcz to afrodyzjak: robi je co cztery, pięć dni, by zawsze mieć świeże. Kombinacje? Takie, jakie podpowiada

jej w danym dniu wyobraźnia. – Oczywiście robię klasyczne buraki na barszcz, a potem wykorzystuję ukiszzone plastry do sałatki z dodatkiem oleju z dyni i koziego sera. Najczęściej robię mieszanki. Mam warzywa, które się szczególnie sprawdzają w kiszonkach. Uwielbiam brokoły, cukinię, paprykę. Doskonałe są cytryny i jabłka jako dodatek do dań – wylicza. Jak przystało na psycholożkę, szuka różnych kontekstów przyrządzania najmodniejszych przetworów sezonu, również zasady przyjemności. – Są chyba trzy: sama zabawa w ich robienie, bo za każdym razem odkrywam coś nowego, tworzenie w prosty sposób dobrego jedzenia, no i profilaktyka przeziębieniowa, moim zdaniem faktycznie pomagają w walce z jesienno-zimowymi przeziębieniami – rekomenduje.

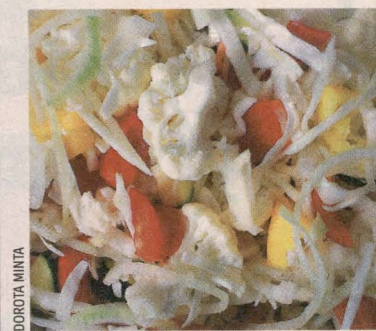
Słodkie i słone łąpówki

Nie do przegapienia jest jeszcze aspekt społeczny przetworów, zgodny z socjalizującymi trendami kulinarnymi na 2013 r. Okazuje się, że wszyscy uwielbiają wypełnione słoiki, a ci, którzy zdecydują się je przyrządzić, wyrastają na lokalnych bohaterów. Jak wspomina Minta: – Ubawiłam się setnie, widząc miny przyzwyczajonych do wykwinnych rzeczy gości, jedzących ze smakiem tę prostą potrawę i słysząc ich ochy i achy nad kiszonymi warzywami. Przetwory są genialne jako prezent – rekomendują właściciele Miejsca Baru. – Robiliśmy w okolicach Bożego Narodzenia dżem pomarańczowy i konfiturę z czerwonej cebuli na prezenty – wspominają. A Mirella von Chrupek opowiada: – Mam małą spiżarkę, w której mogę przechowywać przetwory i konfitury. Szafka jest niemal bez dna, więc można szaleć. Konfiturę rozdaje przyjacielom, np. jako prezent, lub zapraszam ich na wspólne śniadania w zimowe poranki. Jemy wtedy świeże bułeczki, pijemy inkę i wspólnie spędzamy czas.

Przetwory idealnie nadają się na słodkie lub słone łąpówki, dowody miłości, szacunku lub przywiązania. Działają jak mało co. ☺

Autorka prowadzi blog „Ugryzienie Kozak”

Przepisy



Kiszonka Doroty Minty

Mieszanka warzyw:

- kapusta włoska
- papryka
- cukinia (musi być niewielka!)
- brokuł
- cebula (dowolny rodzaj)
- kilka ząbków czosnku
- połówka cytryny
- opcjonalnie imbir lub chili
- przyprawy: liść laurowy, kilka ziarenek pieprzu, może być też kminek

Kapustę i cebulę posiekać drobno. Cukinię i paprykę w trochę większe kawałki. Brokuł rozdrobnić na różyczki. Do tego ósemki cytryny, całe ząbki czosnku, przyprawy. Można dodać kawałek imbiru albo chili, zależnie od naszych ulubionych smaków. Wszystkie wysypać do dużej miski, lekko posolić i dobrze wymieszać. Zostawić na min. 3 godziny, odcisnąć i upchać mocno w naczyniu kamionkowym lub słoju. Zagotować wodę, dosypać soli (1 łyżka na 1 litr), lekko ją przestudzić (ma być trochę cieplejsza niż dłoń) i zalać nią warzywa w słoju. Muszą być zakryte wodą. Na wierzchu położyć mały talerzyk i porządnie go obciążyć.

Konfitura z buraków Anny Kozak

- 2 kg średniej wielkości buraków
- cukier w podanej poniżej proporcji
- 3-4 cytryny
- opcjonalnie – świeży lub kandyzowany imbir do smaku

Gotujemy buraki ok. godziny. Obieramy i kroimy w małą kostkę. Wrzucamy do garnka z grubym dnem, wsypujemy cukier (najlepiej brązowy, w proporcji na 1,5 kg już obranych buraków 1 kg cukru), wlewamy pół szklanki wody, zagotowujemy, zmniejszamy ogień i powolutku gotujemy ok. godziny, mieszając. Cytryny sparzamy i kroimy całe w dużą kostkę, dodajemy do buraków. Można dodać świeży lub kandyzowany imbir. Smażymy dalej na małym ogniu ok. dwóch godzin. Wkładamy do wyparzonych słoiczków.

ETYKIETA TO SZTUKA ZIEWANIA Z ZAMKNIĘTYMI USTAMI. RALPH WALDO EMERSON

77 Jeśli dadzą ci zeszyt liniowany, pisz w poprzek. Juan Ramón Jiménez



Kociak tygodnia: Kajo (lub Kajetan), 27 lat, designer, projektuje wnętrza, meble, longboardy, kocha fale, góry i bębny, jeździ wyczynowo na rowerze. Fot. Maja Kryńska



Szarmantkie ssaki



Jak ostudzić w damie pęd do paniki?

Nie łudźmy się! Nikomu nie jest dane za życia wyzbyć się wszelkich nałogów. Już mniejsza o to, ilu o to wyzbycie tak znowu zabiega w epoce, która łąka się akuratałości i zwyczajności. Może się trafić, iż dama zupełnie wolna od nerwic pospolitych, typu: nikotyna, kompulsywne nabywanie konfekcji czy kleistość w stosunku do sztywnych brunetów, cierpi na nałóg panikopędny. Jest to przypadłość, która chroni co prawda przed ospałością (pozwala przyszczędzić na kawach), ale szkodzi i urodzie, i nerwom, a ponadto rujnuje stosunki zawodowe, towarzyskie, a zwłaszcza miłosne. Damę panikopędną można rozpoznać z daleka po charakterystycznym wywracaniu gałkami ocznymi, nadrucliwości nadgarstków oraz nadproporcji wdechu do wydechu. Wербalnie po seryjnym zamienianiu spraw letnich we wrzące. Jak pomóc damom cierpiącym na panikopędność? W przypadkach lekkich - rozbawiać. W przypadkach poważnych - serwować (zaraźliwy z natury) sceptycyzm. Jest to najelegantsza i najmniej szkodliwa forma objawiania strachu. → Ula Ryciak



Bloomberg Businessweek

Polska

Knowhow i sprawdzona metodologia

Biznes i gospodarka świata

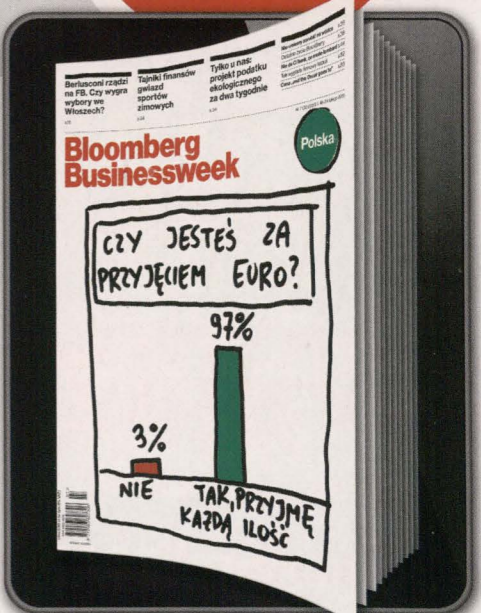
Biznesplan na tydzień

Najważniejszy dla nas jest rynek polski

Bloomberg Businessweek

Polska

7 dni na biznes



W każdy poniedziałek. Dostępny także w kioskach.

OFFplus &
camERA
prezentuje

**bierzcie
i kręćcie**

**zbierz ekipę
i nakręć film**

10



Kamera fDCC 789/009/A7
Patent nr 785/456 Aleksandra
Rys

Łączna pula
NAGROD:
ponad
100 000 zł

www.bierzcieikreccie.com

nagrody
fundują:

plus
Lider technologii LTE

allegro



SAMSUNG

patroni
medialni:

RMF

RMF Classic

PRZEKROJ

onet.

tvn